



Migotania

Gazeta Literacka

Nr 4 (77) 2022 kwartalnik

JUBILEUSZ!
2002 - 2022
PISMO UKAZUJE SIĘ
JUŻ XX LAT

POLECAMY:

- Elżbieta Juszczak, Pomorze, jako dziedzictwo
- Jakub Ciećkiewicz, wiersze
- Adam Bujarski, Dziennik lwowski
- Autorki o sobie, Anna Frajlich - Maria Jentys -Borelowska
- Zbigniew Kresowaty, wiersz
- Piotr Wojciechowski, Wybór Adeli, felieton
- Małgorzata Dorna (Wendrychowska), o Marku Naszczaku
- Marek Katzenmark, Żółwie, fragm. powieści

Fundacja

ŚwiatłoLiteratury

„świat opisany światłem
to świat prostych równań”

Zbigniew Zbikowski: Interferencja)



Marek Naszczak

Hanka Nowobielska

(1912 - 1992)

z cyklu „Mój Świątek”

Wziena go na podolek — w ramionach trzymie swoich,
zywego dała światu — martwym świat oddał go jej...

Od posarpanyk cłonków cofał się wzrok strwozony —
ni ma zdrowego miejsca w ciele okaliconym.

Nawet na cole znaki po cierniokowym wińcu.
Na to zek cie chowała synacku mój jedyńcu?

Na tok ci podchlebiała — z miłością strzegła cujnie,
coby cie dziś skantrzyli, byś umar jako zbójnik?

Plakały towarzyski. Śli Józef z Nikodemem:
Nim zacnie się dzień Paschy w grób go położyć fcemy -

Pogrzeb — pogrzebem zawdy, choć w inksyk kurowodach
i tyn ostatek matko do ziemi musis oddać...

Przesły juz setki roków — ino ten dzień nie minął —
— jej łzami — syćkie matki — swyk oplakują synów...

Śmierć stoi nad kołyską, śmierć chodzi ślakiem wojen,
cheba do końca świata — nie oskną ocy twoje...

**W numerze prezentujemy prace: Marka Naszczaka
Plakat artystyczny, grafik numeru; Marek Naszczak
Plakat Poetycki, Zdzisław Drzewiecki**

Piotr Wojciechowski

WYBÓR ADELI

Felieton ogłoszony na Biesiadzie Literackiej w marcu 2022, na początku wojny w Ukrainie. Nie stracił na aktualności, chociaż dziś może bardziej szokować niż wtedy (PW).

Katakizm – znowu wojna. Czy liczne wojny. Nie spodziewałem się, że znów będę musiał uczestniczyć w wojnach, które wybuchły. Jest ich parę. Lokalna wojna, krwawa i okrutna, toczy się już od kilku tygodni na ziemiach sąsiedniej Ukrainy. Jakby w odbiciu lustra, w przestrzeni słowa, informacji, filozofii, emocji toczy się wojna globalna – wojna o prawdę dotyczącą zbrojnych zmagania, wojna o uzasadnienie napaści, o rozpoznanie prawnej i moralnej sytuacji, wojna przeciw cynicznemu kłamstwu – o winę i karę, wojna o prawdę i sławę. Państwo – czy carstwo – Putina ukazuje się nam jako kraj mroku. Popierający Putina wiernopoddańczy adres rektorów rosyjskich uczelni to dokument z dna ciemności, dorównują jego podłości chyba tylko głoszone od ołtarza kazania patriarchy moskiewskiego Cyryla.

Na styku wojny słowa i tej drugiej – wojny krwi i ognia, toczy się burzliwy proces nowego formowania narodu ukraińskiego. Wojna staje się dla tego narodu nowym mitem założycielskim, z krwi i ognia wytania się nowy panteon bohaterów, którzy przeszli Chmielnickiego, Mazepę, hetmana Skoropadskiego, Petlurę, Banderę, bohaterów Majdanu. Formują się legendy obrony Charkowa, Mikołajowa, legendy męczeństwa Mariupola i Czernihowa. Bohaterskie miasto Chersoń. Żołnierze, politycy i cywile, których czyny pozostaną w podręcznikach historii. A to sumuje się z wojennymi rodzinnymi historiami ucieczek i rozstań, nieznanymi grobów, nieoczekiwanych ocalałych.

Odwraca się karta w księdze dziejów, zaczynamy żyć w innej epoce. Następuje przewartościowanie wielkich przestrzeni mitosfery, bo sąsiadująca z Nową Ukrainą post-sowiecka rosyjskość nie będzie już mogła utrzymać w mocy, dwu filarów swojej tożsamości – legendy Wielkiej Wojny Ojczyźnianej i mitu Trzeciego Rzymu. Dziś mundur rosyjskiego żołnierza okrył się niestawą w pełnej zbrodni bratobójczej wojnie. Jednocześnie moskiewska autokefalia sprzeniewierzyła się światłu Chrześcijaństwa przez wielokrotne i bezkrytyczne akceptowanie imperialnej awantury.

Nie ja jeden mam pewność, że żyjemy „w momencie dziejotwórczym. W okopach na przedpolu Kijowa, w bunkrach Putina, decyduje się, w jaką epokę wejdzie wiek. Optymizm rodzi fakty, dlatego nie chcę myśleć o takiej dla Polski przyszłości, w której przypadnie jej los kresowej europejskiej twierdzy na granicy moskiewskiego supermocarstwa. Wierzę mocno, że spełni się cud i Ukraina stanie się państwem demokratycznym, a jej obywatele będą żyć dostatnio i podróżować bezpiecznie po całej Europie. Jej byt będzie gwarantowany przez potęgę Zachodu, bo tylko tak obroni się Europę przed Wschodem. Jak pisarz mający jakieś doświadczenie w political fiction widzę Ukrainę przewodzącą grupie suwerennych państw na Wschód od Polski. Oto Prusy Książęce, które zrzuciły rosyjską wojskową czapkę, odrzuciły imię bolszewickiego komisarza Kalinina i weszły w szereg państw bałtyckich, czerpiąc wzory kulturowe z kontaktów z całą Skandynawią. Dalej Białoruś nareszcie bez Łukaszenka, z panią Cichanouską rozpoczynającą drugą kadencję prezydencką. Dalej kwitnąca, potężna i piękna Ukraina, roztropnie inwestująca rosyjskie złoto z miliardowych kontrybucji wojennych. Ukraina znowu władająca Krymem, rozwijająca tańców nowych krajów Południa, winnic,

stonecznych sadów brzoskwińowych, spokojnych czasowisk, kolorowych festiwali kultury – od Mołdawii, przez ukraiński Krym i suwerenne Hetmaństwo Kozackie ze stolicą w Krasnodarze, po Armenię i Gruzję.

Fajnie pomarzyć, ale to może się ziszczyć! Wróćmy do dnia dzisiejszego, do Polski.

Przed dwoma tygodniami zadzwonił do mnie Maks, nastoletni kuzyn. Ze zdziwieniem dowiedziałem się, że Adela, jego matka, zabrała go na strzelnicę. Ćwiczyli obsługę broni, strzelali do celu z karabinu i krótkiej broni. Maks martwił się, że nie strzela tak dobrze, jak mama. Z Adelą i jej synem komunikują się rzadko, głównie to kartki świąteczne. Dzielną czterdziestoletnią wdową, mieszka w wielkim mieście, samotnie wychowuje syna, jest cenionym pracownikiem państwowej służby weterynaryjnej.

Zadzwoniłem wczoraj do Adeli. Okazało się że dzień po dniu jedzie na jeden z punktów granicznych i 12 godzin szczerpi zwierzęta, które przywożą do Polski uciekające przed wojną kobiety. Opowiada o psach, które są teraz ważne, bo nie ma już domu. Opowiada o sefkach ludzkich losów, o biedzie jadącej z jedną reklamówką i dzieckiem na rękę. Adela nie była nigdy uczestniczką społecznych organizacji pomocowych. Los włączył ją w sprawę, a ona podjęła to godnie. Odwiedza kobiety z granicy w sali gimnastycznej szkoły w pobliżu swojego domu – tam, w zaimprovizowanej noclegowni zatrzymują się uciekinierki, na dzień, na tydzień czasem. Adela przynosi im środki higieny dla kobiet i dzieci. Aby psy nie były głodne, Adela zorganizowała internetową zbiorczą karmy. Z entuzjazmem mówiła, że tak dużo, bardzo dużo ludzi dają.

Fragment wiadomości internetowej od przyjaciela – z niewielkiego miasta na Śląsku: rozmawiam ostatnio z paroma osobami będącymi blisko MSZ i środowisk mających trochę lepsze oczy i uszy. Według nich wygląda na to, że na naszych oczach wywrócił się jakiś paskudny geopolityczny deal, w którym Ukraina była skazana na pożarcie. Widać, że Niemcy dążyły do jakiejś paranoicznej umowy z Rosją ponad głowami Europy Środkowej.

Z wcześniejszych wiadomości od tego samego nadawcy wiem, że odłożył ślub, bo postanowili, aby wyremontowany na wspólne życie dom dać na razie Ukraince z trzema córkami. Dwie poszły już do polskiej szkoły, trzecie do przedszkola. Potrzebne są gry planszowe w języku ukraińskim.

Tu wtrącić muszę – groźną pogłoskę o postawie Niemców uzupełnił muszę bezpośrednią wiadomością od przyjaciół z Północnej Nadrenii-Westfalii, z małego Hueckenswagen. Tu świetnie i na dużą skalę zorganizowano wysyłanie żywnościowych paczek do Ukrainy. Standard – 9,9 kg w kartonie, olej, ryż, makaron eyc. Miejsco wi Polacy zbierają także wózki dziecięce dla kobiet, które uciekły od wojny, wózki nie mieściły się w autach i załoczonych pociągach.

To tylko parę uwag, sygnały, że musimy na nowo formułować swoje kulturowe i emocjonalne relacje z tym, co rosyjskie,

z tym, co ukraińskie. Nieoczekiwanie Polacy dowiadują się czegoś o swojej dobroci, budzi się coś, co ledwie zdążyło się narodzić w stanie wojennym lat 80-tych. Polska staje się nie tylko „dobrą siostrą”, ale wielkim zbiorowym świadkiem historii. Jest świadkiem exodusu kobiet, ale także świadkiem wojny, w której bracia tak do siebie podobni polują na siebie zaciekle.

„Dobra siostra” została przez historię postawiona w sytuacji dwuznacznej moralnie. Może pomagać, bo jest włączona w ponadnarodowe związki wojskowe i polityczne. Ale ta cenna, dająca pozór bezpieczeństwa solidarność z pozostałymi uczestnikami związków sprawia, że nie jesteśmy w pełni solidarni z Ukrainą, nadal handlujemy z Rosją, płacimy jej za surowce energetyczne, nadal przez Polskę jadą kolumny TIR-ów. Oblepia nas brud tej wojny, która jest jednocześnie lukratywnym biznesem dla handlarzy bronią, dla tych co spekulują na systemie sankcji, wahaniach cen i kursów walut.

Ta wojna pokazuje, jak tania jest ukraińska krew. Tania, nie warta zbyt dużych kosztów z surowcami, energią, płacnościami. Błogosławie fakt, że jesteśmy w Unii Europejskiej i w NATO, przeklinam to, że mało możemy zmienić w nastawieniu tych potęg do naszej wojny. Dla tak wielu ta wojna jest obojętna. Albo potrzebna. Krew jest smarem historii, daje przyśpieszenie karierom, biznesom, zmienności politycznych układów.

Jestem dzieckiem wojny, kiedy szedłem do szkoły w Lublinie jesienią 1944, miałem o wojnie dość bogatą wiedzę, żyję z nią do dziś, nie wychowałem się pod szklanym kloszem, słuchałem tych, co widzieli obóz na Majdanku, widziałem rewizję Gestapo w domu, trupy płynące Bystrycą, wachałem pożary, głodowałem. Wychowanie uchroniło mnie od nienawiści. I dlatego będę się upierał, że jesteśmy odpowiedzialni za to, aby próbować uchronić od nienawiści pamięć pół miliona ukraińskich dzieci, które schroniły się w Polsce. Jesteśmy – my, pisarze, nauczyciele, wszyscy społecznie i medialnie aktywni, odpowiedzialni także za pamięć polskich dzieci, które będą rosły ze wspomnieniem wojny, zobaczonej w mediach - krwawej, brutalnej, utyltanej w kłamstwie.

Na razie czujemy obydwa, że jesteśmy na zapleczu frontu, ja i Dymitr Łazur, bohater „Kamiennych pszczoł” (1967), mojej debiutanckiej książki. Dymitr, razem ze swoim byłym dowódcą Wasylem Murawą, w dziesiątkach wcieleń wędrował przez strony mojej prozy ponad 60 lat. Ostatnio w „opowiadaniach warszawskich” zjawiły się ich wnuki, Luba i Dima Machno, rodzeństwo ze Lwowa. Co mnie pokusiło, aby ludzi stamtąd wpuścić do tych powieści i opowiadań? Podświadomość to część warsztatu, nie da się jej ignorować. Teraz mało pomyślny sezon dla moich książek, wydawcy sygnalizują, że moi Czytelnicy wymarli. Nic to, moi bohaterowie biją się dzielnie.

PIOTR WOJCIECHOWSKI

spis treści:

Piotr Wojciechowski, Wybór Adeli, felieton.....	str.2
Elżbieta Juszcak, Pomorze jako dziedzictwo, esej.....	str.3
Grzegorz Bazylak, wiersze.....	str.6
Andrzej Katzenmark, Żółwie, fragm. powieści	
Podwórko dobrej nadziei.....	str.8
Zdzisław Drzewiecki, wiersze.....	str.11
Czesław Karkowski, Poezja w dobie internetu, esej.....	str.12
Krystian Medard Manteuffel, Dzikie jabłonie, esej.....	str.15
Jakub Ciećkiewicz, Cykl: Wesole życie Jakuba Szpitalnika, wiersze.....	str.18
Joanna Sendrak, Wieloświaty, proza.....	str.20
Dariusz Pawlicki, O tym dlaczego jedni są słyszalni, innych zaś spowija cisza, esej.....	str.22
Dariusz Pawlicki, wiersze.....	str.25
Roman Warszawski, Szklarski. Ojciec Tomka Wilnowskiego, esej.....	str.26
Zbigniew Ikona Kresowaty, wiersz.....	str.28
Marek Wawrzkiwicz, Poezja, czyli kłamstwo konieczne, esej.....	str.29
Anna Paszkiewicz, wiersze.....	str.31
Michał Bukowski, ... sen mara ... (teksty oniryczne).....	str.32
Bożena Maczuga, wiersze.....	str.34
Adam Bujarski, Dziennik lwowski, proza.....	str.35
Jacek Jaszczak, wiersze.....	str.37
Roman Warszawski, Cztery wcielenia Pani W.....	str.38
Jarostaw Perkowski, wiersze.....	str.39
KSIĄŻKA KWARTAŁU.....	str.40
Krzysztof Szymoniak, Wyjście z cienia, rec. Książka kwartału	
Janusz Urbaniak, wiersze.....	str.41
AUTORZY O SOBIE.....	str.42
Anna Frajlich, „Portret w półcieniach” - w aurze środowiska, o prozie Marii Jentys-Borelowskiej	
Maria Jentys-Borelowska, ŻYCIE I KSIĄŻKI (8), Anny Frajlich autobiografia liryczna	
TEATR	
Beata Gradowska, Czy cień odszedł? teatr.....	str.46
Jerzy Lengauer, Ruiny i zgliczca”, teatr.....	str.47
OMÓWIENIA	
Andrzej Walter, Antidotum zezwierzczenia, czyli trzystu poległych - Jerzy Jamiewicz.....	str.48
RECENZJE.....	str.51
Kinga Młynarska, Ludzkie postrzeżenie w rozmaitych okolicznościach	
Jerzy Lengauer, „Współczesność a niezapominanie historii”	
Jerzy Lengauer, „Ponura atmosfera w Dalmering”	
Mateusz Wabik, Jak wydać książkę i nic nie powiedzieć	
Mateusz Wabik, Czytanie języka przyrody	
Wit Romanowski, Przeciw Kiplingowi, Orwell	
Zbigniew Ikona Kresowaty, Córka nie tylko dwujęzyczna	
Kazimierz Sopuch, Lipcowe skrzyzpcie	
Tadeusza F. Machnowskiego (1937 - 2022)	
Agnieszka Tomczyšin- Harasymowicz, Plaga natrętna, ale pozyteczna	
Andrzej Walter, Metafizyka trwania	
Tomasz Kosłyta, Dedykacje, wiersz.....	str.62
SZTUKA	
Małgorzata Doma (Wendrychowska), O tym, co jest ciszą... Późnojesienne spacerzy w modernistycznych pejzażach Marka Naszczaka.....	str.63
Mira Król, wiersze.....	str.68
Leszek Szaruga, Wyprasowanie (41).....	str.70
MIGOTANIA, JESZCZE WIĘCEJ	
Zbigniew Zbikowski, poezja (3 wiersze).....	str.71
Zbigniew Ikona-Kresowaty, Z nowej figuracji Grzywacza, Wspomnienie.....	str.72
Miroslaw Majewski, proza.....	str.74
Piotr Kominek, wiersze.....	str.76
Marek Wawrzkiwicz, Okruchy (6).....	str.77
Tadeusz Zawadowski, wiersze.....	str.80
Przemysław Znojek, wiersze.....	str.81
Roman Warszawski, Postmodernizm, felieton.....	str.82
Nagroda Marszałka Pomorskiego dla Migotań.....	str.83

Elżbieta Juszcak

Architektoniczne znaki

Urodziłam się niemieckim domu. Szereg drewniane schody jak skrzydła niósł mnie świat mały przyjazny wielkim dębem wyjścia, stawem rzeką bliskiej odległości. Dziecięcy świat każe mi przywołać kolorową witrażową szybę na klatce, skrzywienie schodów wielką polerowaną poręcz. Później zastanawiałam się, jakie ręce polerowały tę poręcz, jakie niemieckie dziecko dotykało ją czy niemiecki nazista zstąpił tam odciski palców. Nie ma już dziś tych schodów, nie ma tej poręczy, została kamienica przerobiona, zbrzydzonej późniejszą oszczędną peerelowską estetyką.

Można się zastanawiać jak duży wpływ ma miejsce narodzin na życie człowieka. Wiadomo, że podstawowy, szczególnie przypadku pisarza, opisy dworców, kamienic, izb przetrzeni, którym przyszło się narodzić są nader liczne literaturze – szczególnie polskiej, ale nie tylko. Tak więc ja urodzona wiele lat po wojnie niemieckiej kamienicy dziedziczyć tę niemiecką tradycję, tu na „ziemiach odzyskanych”, zwanych później ziemiami wcielonymi. Dziedziczyć tę tradycję, jest ona moja niezbywalna mojej pamięci, wyobraźni odczuciach. Dziedziczyć układ drzew, plan parku, plan miasta. Dziedziczyć zapach komód, toaletek, szaf, zapewne niemieckich. Mało tego, kocham je uważam za swoje. Oto słoneczne polskie miasto niemiecką historią, gdzie przyjazna jest każda rysa na murze, każdy szpaler drzew. Tak to wygląda, nieco nostalgicznie, ale zrozumiale, bo chodzi dzieciństwo.

Po wielu latach przyszły wyjazdy głąb kraju, na południe na wschód. Jakież było moje młodzieńcze zdziwienie. Jakże wszystko było inne. Ten sam język, ta sama kultura, ale poczucie raczej zdziwienia niż obcości, nie opuszczało mnie. Barokowe, kipiące od nadmiaru kościoły, przysadziste szerokie dworce, klasycystyczne wielkie pałace – budowlę, cmentarne lub parkowe murowane ogrodzenia, parki zamykane na noc – to był zasądzie inny świat. To nie był świat gotyckich neogotyckich kościołów, wysokich secesyjnych kamienic, jasno wytyczonych ulic – promieniście lub szachownicę. Ciągłe, gdzieś boku czyhał na mnie wyskakiwał duch Wielkiego Księcia Konstantego Warszawie, duch Habsburgów Krakowie. Inna rzecz, że jakież niespodzianki szykowały owe miasta, jakież cuda widoki. Wszystko było fascynujące, cudowne, nowe obiecujące, jednak przyjemnością wracałam do mojej nadmorskiej krainy – bardzo prowincjonalnej, rolniczej prawie pozbawionej przemysłu, bagnami, ogromną ilością lasów tåk, niewielkim portami.

Tutaj dworce kolejowe były solidne, wysokie smukłe, stacje transformatorowe eleganckie, wszystkie jednakowo szare wyprostowane żołnierskim szyku. Gospo-

darstwa na wsiach – obszerne, szerokie, murowanymi domami mieszkalnymi ceglany czerwonymi obejściami. Prusy – junkierskie dziedzictwo.

Pałaców było niewiele, jako tako zaopatrzone czasach pegeerów, później pozostawione na pastwę losu. Wcześniej jednak, czasach wojny lub zaraz po niej, wysadzone powietrze przez czerwonoarmistów lub polską administrację. Polonizacja tych ziem miewała różne oblicza – wielką gorliwością tępieno niemieckie ślady nie szanowano kulturowego niemieckiego dziedzictwa. Biedne ziemie - pozyskane wyzyskane, nie licząc pewnych wysiłków industrializacji Ministerstwa Ziemi Odzyskanych. Gomułka – o, to był cały cyrk – hasłem „Byliśmy, jesteśmy, będziemy” historią jedyne Piastowską.

Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie skuteczne. świadomości uczniów wymazano cały okres niemieckości tych ziem, zamian za to faszerując ich przedziwnym nacjonalizmem – jakąś mieszanką Piasta-Kołodzieja wszechmocą

Peerelu. Później, nawet dzisiaj, też nie jest najlepiej. Zamiast pietyzmem rekonstruować przedwojenne zabytki, pozwala się, by niszczały całym okrucieństwem, ocalając nieliczne. To samo zresztą dotyczy, to zależy od świadomości samorządowców, polskiego powojennego modernizmu. Mnie może najbardziej żal, jako że region nadmorski, szczególnie architektury nadmorskiej. Gdzie szukać jej perełek? – najlepiej Sopocie – tam chyba jest najlepiej – pozostała część pasa nadmorskiego Bałtyku budzi zażenowanie. Wszechobecne budy, pokraczne plastikowe doczepione do ulic byle jak, byle gdzie, tylko dla zysku ich właścicieli.

Chcicie zobaczyć jak być powinno? – jedźcie do Ahlbeck Heringsdorfu, czyli od Świnoujścia na zachód. Znajdziecie tam odrestaurowane mola tę wspaniałą atmosferę letniego kurortu, gdzie przeszłość łączy się terażniejszością, której spokój mieszkańcy letnicy zawdzięczają zieleni wyłączeniu samochodów ruchu. oczywiście rezydencjom niemieckiej arystokracji – bo skoro bywali tu cesarze Niemiec cesarz Austro-Węgier – powstawały obowiązkowo. Prospekt reklamowy mówi, że wypoczywali tu pisarze, m.in. Tomasz Mann.

Niemieckie cmentarze – to osobny temat. Wiele ich nagrobnych płyt stanowi dziś ulice jezdnie pomorskich miasteczek. Traktowane bezwzględny okrucieństwem po wojnie wiele lat później, po osiemdziesiątym dziewiątym roku doczekały się polskiej strony upamiętnienia. Zbierano płyty, macewy, ogrodzenia. Niejednokrotnie częściowo zostały odtworzone otoczone opieką przez wolontariuszy. Ich ewangelicka przeszłość została szcążkowo ocalona. Polski poeta Janusz Gryz peregrynujący po swojej małej ojczyźnie tak nich napisał:

Płaskie gruzowisko kamiennych bloków wyszczerbionymi kikutami krzyży. Zapomniany ostęp przeszłości wysklepiony suchymi gałęziami prowadzi ku wzniesieniu, na którym bezmierne pola bitew pierwszej wojny łożą się na zielonym granicę pomnika. Wiodą do niego schodki zarośnięte trawą, →

uniieruchomione spływającą deszczem ziemią. Kanciaste, gotyckie nazwy przywołują mapę Europy. Laz. Graudenz, Rumänien, Belgien, Frankr., Serbien, Russl., Laz. Hamburg, Laz. Malmedy. Brakuje tu Polen, ale Polen odrodziła się dopiero po tej wojnie. Obok strącony orzeł rozpościera potrzaskane skrzydła. Ostre szpony wpięte kamień spazmem rozpaczy. Widzę nich splecione ręce pruskiego chłopca, czyste, krótko obcięte paznokcie wbite pobielatą skórę. Gewidmet den im Weltkrieg Gefallenen. zawsze odwołanie do Biblii poszukiwaniu ratunku przed okropnościami historii . [...]¹.

Gdy Gryz opublikował krótki tekst Friedhof Gorzycy, na Pomorzu trwał już festiwal przypomnień. Lokalna gazeta „Głos Koszaliński” co tydzień publikowała dziesiątki pocztówek regionu czasów niemieckich. Odgadywano dawne miejsca, które dzisiaj wyglądają zupełnie inaczej. Szukano śladów przeszłości. Wydawano kalendarze, zbiory pocztówek, albumy, najlepsze trwał festiwal tożsamości materialnej, jak gdyby za wszelką cenę ogromną intensywnością chciano zapętnić wyrwę świadomości, jaką uczyniła polityka Gomułki Peerelu ogóle. Nagle to, co dawne wydało się ukochane, lepsze, bo nostalgiczne. Jak filmie Woodego Allena 2011 r. „ północy Paryżu”. Każde miasto, miasteczko wieś odkrywało swoją wcześniej ukrytą tożsamość. Pocztówki, filmy publikowano Internecie, tam też ustalano daty, miejsca, nazwy ulic. Towarzyszyła temu walka znaki przestrzenne pozostałe po komunizmie. Przenoszono pomniki, czasami usuwano je ogóle. Jeżeli przypomnieć zmianę nazw ulic, można przyznać, że trwało coś rodzaju powierzchownej rewolucji, powierzchownej, bo emocjonalnej, najczęściej nie popartej gruntowną wiedzą (jak np. przypadku usunięcia nazwy ulicy Karola Marksa).

Kilka lat temu mieszkałam odległej od centrum dzielnicy Berlina. okna widziały prawie to samo, co mojego bloku na Pomorzu. Niewielki skromny domek ogródkiem czerwonym spadzistym daszkiem. Dokładnie taki sam, według tego samego projektu jak ten, który widziałam mojego okna. Że Berlinie leżał przy niewielkiej spokojnej uliczce, ten Koszalinie przy jednej największych arterii miasta, co całkowicie zmieniało jego charakter – to inna sprawa. Zresztą to samo wrażenie miałam podróżując Międzyzdro-

jów do Ahlbeck. Niby wszystko takie same, jednak inne. Dla nas mieszkańców Pomorza Berlin jest swojski – podobne domy dużymi balkonami wciętymi bryłę, te same girlandy maszkarony na elewacjach. Wsie obrzeża miast Polsce to już odmienna rzeczywistość. Nie wspominam tu elementarnym ładzie architektonicznym, którego nas nie ma. Chodzi raczej to, że niezależnie od tradycji szachulcowej regionu, pełno tu dworców lub pseudo-dworców wyjętych prosto wyobrażeń Soplicowice.

Nie to, że widok Warszawy Dworca Centralnego nie sprawia przyjemności, tak jak widok Gdańska jego Dworca Głównego. Ostatecznie różne są odczucia różne estetyki. Chodzi to, że są nieprzystawalne. to, że ludzie Północy muszą się tym mierzyć. To ciągle inne rzeczywistości całym bagażem historii. Do tego obraz Pałacu Kultury Nauki drapieżnym piętnem stalinowskiego pazura, który stał się naszym dziedzictwem elementem naszej kultury.

Tożsamość

Kłopoty tożsamością Ziemi Północnych Zachodnich dotyczyły dotyczą mieszkańców tych ziem. Kiedyś jakże zazdrościłam ludziom Mazowsza lub Krakowa miejsc związanych literaturą czy sztuką. Fakt, że Krakowskim Przedmieściem niegdyś szedł Bolesław Prus, niedaleko Łazienek mieszkał młodziutki Kamil Baczyński, teraz ja idę samymi ulicami, obdarowywał mnie jakimś niejasnym uczuciem, chyba po prostu ciepła. Fakt, że Opiniogórze, krypcie stałam przy grobie Zygmunta Krasieńskiego, wydawało mi się czymś nadzwyczajnym.

Byłam sierotą. moim nadmorskim miasteczkiem nie było przeszłości poety, czy pisarza piszącego polskim językiem. Żyłam też kłamstwie komunistycznej propagandy, niezależnie czy ją akceptowałam, czy nie. Byłam wychowanką komuny, czy tego chciałam czy nie, niezależnie od historii mojej rodziny. Do czasu.

W końcu odnalazłam korzenie mojej nadmorskiej ojczyzny. Podarował mi je Theodor Fontane jego powieść *Effi Briest*?. co językiem? Czy przestał być ważny? Język zawsze jest ważny, ale okazało się, że nie najważniejszy. literaturze poszukujemy właściwie komunikacji. Albo ta komunikacja

jest, albo jej nie ma. możemy ją znaleźć na antypodach różnej przestrzeni czasowej. przypadku Theodora Fontane (1819-1898) znalazłam ją miejscu zamieszkania, ale innym czasie.

Oczywiście młodości czytałam *Effi Briest* byłam pod wrażeniem losów głównej bohaterki – ofiary najogólniej mówiąc pruskiej mentalności pruskiego poczucia honoru (jej sytuacja losy wykazują podobieństwo do Anny Kareniny). Ale jakiś czas temu znajoma powiedziała mi: „Jestem pod wrażeniem tej kulturalnej prozy. Zdaje się, że Kessin to nasze Darłowo”. Tak więc wróciłam do lektury. Jakież to było odkrycie. Znajoma topografia, choć niektóre nazwy miejscowości zostały zmienione. Autor opisuje miasta, miasteczka, przede wszystkim porty miejscowości nad Bałtykiem pasie od Szczecina do Gdańska. Zapuszcza się nieco na południe do Stawna Warcina. Akcja rozgrywa się również Berlinie na wyspie Rugii. Wspaniale uchwycona atmosfera prowincjonalnego Pomorza jego miasteczek. Codziennosc jej rozrywkami, wizytami towarzyskimi, nadmorskie wędrówki – konno na piechotę. Są statki, werandy, gospody, środowisko pruskiej arystokracji jej domami, ogrodami służbą. Są sprawy zbiorów rzepaku, kościoła, nędzy sztywnej pruskiej hierarchii stanowej. Baron Innstetten dużo starszy mąż młodziutkiej Effi Brist jest kessinskim (darłowskim?) starostą, jeździ do Ottona Bismarcka do Warcina (jego posiadłości mieści się dziś technikum leśne) robi karierę. Effi wydana przez rodziców za mąż, osamotniona straszona przez męża, wdaje się krótki mało znaczący romans interesującym oficerem, który zresztą szybko kończy. Innstetten już po latach, Berlinie, przez przypadek odkrywa dawny romans żony imię pruskiego honoru (choć wcale nie ma na to ochoty) pojedynkuje się jej dawnym kochankiem, którego zabija. Od Effi odwraca się rodzina, córka, społeczeństwo. Zniszczeniu ulegają trzy rodziny, Effi Innstetena, rodziców Effi rodzina kochanka dwójką dzieci. Fontane prześwietla absurdalne pruskie poczucie obowiązku godności, którym wychowywane było społeczeństwo niemieckie, jego ofiarami były szczególnie kobiety. Effi może być dzisiaj symbolem opresji kobiet ze strony rodziców, męża społeczeństwa. Książka została wydana 1895 roku, ale dziś jest przejmująca. To arcydzieło.

Pierwsze polskie wydanie *Effi* miało miejsce 1974 roku „Czytelniku”, autorem prze-



kładu jest Izabela Czermakowa, znakomita tłumaczka. książki odkrywamy wspaniałe opisy łąk, ogrodów, pomorskich domów, wydm, dróg leśnych, słowem Pomorza. Ale Fontane opisał morze jego rozmaitych odsłonach. Takich opisów morza nie czytałam żadnego polskiego autora. Oczywiście Fontane jest mistrzem dialogu, którym pojawiają się najważniejsze, skrywane wątki społeczne. Jest też *Efi Briest* coś, co istnieje dzisiaj w polskim Pomorzu Zachodnim istniało Prusach. Pewna senna atmosfera skostniały rys urzędniczo-wojskowej mentalności. Fontane jest piewczą Prus (choć pisał również Śląsk) tam mieszkał, znał doskonale te tereny. Jeżeli Bolesława Prusa uważamy za kronikarza Warszawy, Fontane należy uznać za kronikarza Prus. Ta sama głębia, nieco inny warsztat – Fontane uznaje się za pisarza poetyckiego realizmu.

Niemcy doceniają jego pisarstwo. Rok 2019 został ogłoszony rokiem Fontane ich kraju. Poczdamie znajduje się archiwum, które zgromadziło jego rękopisy, jednocześnie jest to placówka badawcza. Co kilka lat przyznawana jest międzynarodowa nagroda jego imienia. 25 grudnia 1919 roku „Berliner Tageblatt” ukazał się artykuł T. Manna, który stwierdził, że gdyby rygorystycznie ograniczyć swoją bibliotekę do sześciu powieści, znalazłaby się niej *Efi Briest*. Hołdy XIX-wiecznemu pisarzowi składał też Günter Grass. Tytuł jego powieści wydanej 1995 roku *Ein weißes Feld* nawiązuje do ostatniego zdania *Efi Briest*, którą kończą słowa ojca Efi „Daj spokój Luizo... to zbyt rozległa dziedzina”.

Kłopoty tożsamością mieszkańców Ziemi Zachodnich Północnych jakimś sensie zaczynają być niwelowane, to za sprawą poetów pisarzy tutaj zamieszkałych publikujących od lat dziewięćdziesiątych poprzedniego stulecia. Myślę tutaj Kazimierzu Brakonieckim, Pawle Huelle, Stefanie Chwinie. Brakoniecki od lat tkanką swoich wierszy uczynił miejscem, postaci ukochanej Borussii, tylko żal, że recepcja jego twórczości nie sięga szerokich kręgów. Powieści Pawła Huelle Stefana Chwina odniosły sukces. Można tylko być wdzięcznym tym pisarzom za podjęcie tematyki powojennych losów mieszkańców Gdańska. Natomiast wątek niemiecki Szczecina przedstawił Artur Liskowacki. Pisarze ci wyrwali ten kawałek ziemi martwoży, przekazali część wiedzy, ich siła wyobraźni poruszyła naszą. „Mówiące przedmioty” Chwina były są ważne, bo wzmocniły naszą wcześniejszą świadomość ich obecności, której przecież mogliśmy zapomnieć. Nie żyjący już Anatol Ulman, który po odysei wojennej osiadł najpierw Kluczborku, potem Koszalinie, tym ostatnim pisał prześmiewczo, jak na jego talent satyryka przystało. Pewnie dlatego władze koszalińskie nie chcą uhonorować tego autora nazwą ulicy jego imienia. Ale oprócz tonów prześmiewczych zdarzyło mu się napisać opowiadanie końca cywilizacji tacińskiej osadzone realiami poniemieckich, Kluczborku (*Śmierć tacyńcy*).

Są także autorzy podejmujący tematykę przesiedleńczą (Kresów na Zachód), poetka Teresa Tomsia pokazała przesiedleńców ze Świdwina, poeta Tadeusz Żukowski mitologizował ten temat perspektywie historycznej. To ich wysiłki literackie dokonania związane budowaniem odkłamaną tożsamości Ziemi Północnych Zachodnich.

Emocje

Nic tak nie rozgrzewa emocji Polaków jak tematyka niemiecka. Tu ciągle emocje



Marek Naszczak

sięgają szczytu. Mamy za sobą niezaprzeczalne fakty historyczne – okres rozbiorów drugą wojnę światową. Ale mamy też za sobą długi okres normalizacji, fakt uznania granic zachodnich przez państwo niemieckie. Mamy niezaprzeczalny fakt, że Niemcy są naszym największym partnerem handlowym, jak fakt że Polska jest również ważnym partnerem gospodarczym, najważniejszym naszym regionie. Czy to mało – pytam? Mamy Erasmusa, gdzie polska młodzież studiuje Niemczech bywa, że na odwrot. Polacy jeżdżą niemieckimi samochodami, każdym domu jest mnóstwo niemieckich konkurencyjnych innymi produktów. Nie wiem, jak wyglądałyby budżety domowe tysięcy Polaków, szczególnie terenów przygranicznych, gdyby nie praca Niemczech. Nie wiem, jak poradziłyby sobie niektóre polskie kurorty bez niemieckich turystów kuracjuszy. Ale jak widać dla niektórych polityków części naszych obywateli to za mało.

Część nas nie ma pojęcia, że po drugiej wojnie władze Niemiec Zachodnich wdrożyły programy społeczne, polityczne edukacyjne (denazyfikacja) zapobiegające odrodzeniu się totalitaryzmu, co spowodowało narodziny większości tolerancyjnego społeczeństwa. Te wiadomości blokowała komunistyczna propaganda. Komunistyczna propaganda, co oczywiste powodu zimnej wojny istnienia NRD, nie ujawniała również mechanizmów powojennego niemieckiego „cudu gospodarczego” jego złożonością, pomocą Ameryki Ludwikiem Erhardem na czele. To niestety podstawowe braki edukacji szerokiego kręgu społeczeństwa. Trzeba też zauważyć, że dziś władze niemieckie jak dotąd skutecznie kontrolują rewanżystowskie ziomkostwa, chociaż inne zagrożenia istnieją,

choćby programie Af D, która sprzeciwia się uchodźcom.

Polsce nastroje antyniemieckie wywołane przez część mediów mogą padać na podatny grunt. Duch hakaty, duch żelaznego kanclerza, brunatne niemieckie duchy wciąż krążą nad głowami niektórych Polaków. Tyle tylko, że ktoś te duchy wywołuje. Trzyma je na podorędziu jak puszkę Pandory, by stosownym momencie dla politycznych celów grać na polskich resentymencie, ale zadawnionej krzywdzie. Jest to niestety bardzo szkodliwe.

Ale dysponenci duchów mają swoje oręża. Polska kultura dostarcza ich. Polski paradygmat to Rofa Konopnickiej, Krzyżacy Sienkiewicza, literatura powstania warszawskiego, czy *Medaliony* Nałkowskiej. Piękne to dokonania nikt ich nie kwestionuje. Ale też są książki inne, wiele innych książek. szkołach pozycjach lekturowych powinno znaleźć się dużo więcej literatury światowej, uniwersalnej. Lekcje historii powinny uczyć historii świata Europy. Inaczej te dwa piękne przedmioty zamienią się lekcje nacjonalizmu. nacjonalizm to nienawiść, niezrozumienie emocje. Dziś jak przeszłości nacjonalizm jest źródłem wojny. Dlatego jestem za wspólnym dziedzictwem polsko-niemieckim, dlatego jestem za czytaniem Teodora Fontane uczeniem szkołach na lekcjach historii Brandenburgii, Pomorza, Warmii Mazur Śląska. Jak wiemy, glob jest miejscem zapalnym.

ELŻBIETA JUSZCZAK

1 Janusz Gryz, *Fiedhof w Gorzycy*, cyt. za *Almanach literacki. 35 lat oddziału Związku Literatów polskich w Koszalinie*, oprac. Elżbieta Juszcak, Koszalin 2000, s. 38.
2 Theodor Fontane, *Efi Briest*, tł. Izabela Czermakowa, Warszawa 1974.

Grzegorz Bazylak

wiersze pochodzą z tomu *Rewolwery Poli Negri*,
który właśnie się ukazał nakładem Fundacji
Światło Literatury i Migotań

Młotek gumowy, trzonek z tworzywa

Spokojnie,
nie zamierzam dzisiaj umierać,
jak Antonio Negri, więziony przez 17 lat w rzymskim Carcere di Rebibbia,
dobrze wiem, że istnienie musi być pomieszane z nicością,
że trzeba pustki między literami,
aby powstały słowa, szczególnie wtedy,
gdy nieświadomie podejmuje się podróż
po wyjątkowych drogach, zupełnie tak samo jak wieziona lawetą
wśród wiwatujących tłumów przez ulice Londynu,
nakryta diamentową koroną, złotym berłem
i koszem świeżych kwiatów, pusta trumna
królowej multimiliarderów z obszaru euroatlantyckiego
o ścianach szczelnie wypełnionych ołowiem.

Spokojnie,
nie zamierzam dzisiaj umierać,
powiedział do swej kobiety, która jest kobietą,
zmumifikowany Jean-Luc Godard w klinice pod Lozanną,
gdzie już od wielu lat codzienność stała się niewidzialna,
uparcie strzegąc nieodgadnionej relacji spisanego prawa
do nagiego życia, które w końcu i tak unieważni,
aby je wydać nieograniczonej przemocy, bo przecież
człowiek człowiekowi, bez wyjątku, nie jest wilkiem a lekarzem,
dbającym o to, aby przede wszystkim nie szkodzić,
szczególnie wtedy, gdy, jak wszechmocny kapłan voodoo,
weźmie garść drobnej białej soli i posypie twoje stygnące stopy.

Spokojnie,
nie zamierzam dzisiaj umierać,
oświadczył czytelnikom w Nowym Jorku Salman Rushdie,
dźgany nożem prosto w lewe oko podczas całkowicie
aseksualnego kontaktu szatana z szamanem,
gdy znowu okazało się, jak niegdyś u Mirona w Warszawie,
że to jednak sytuacja ma rację, a Pan Bóg, jak zwykle,
nie interesuje się potworami mutującymi *in extremis*,
ponieważ za nadużycia jego władzy odpowiedzialne są także ofiary,
których bierność współdziała z takimi zbrodniami,
a nawet do nich dopuszcza, dlatego stworzona przez nich egzystencja,
to faktycznie jej brak, gdzie tylko skazany na błędzenie i odrzucony przez świat,
o który tak desperacko zabiega, wypędzony spod dawno przekroczonych bram
lub ostatecznie wygnany z życia natrętnie pyta wegetując
za humanitarnym murem pod Yumą, Hawzą, Storstog i Usnarzem:
czy tylko całodobowa bełkotliwość elektronicznych mediów i reklam,
jak szatańskie wersety, kreuje wspólny świat, w którym to, w co wierzysz,
zależy od tego, co widziałeś, od tego, co jest widzialne, a nie od tego,
czemu jesteś gotów spojrzeć prosto w oczy - ?

22-25.09.2022, Bydgoszcz

Zielony łąd nekrofilów

Nekrofil, według Ericha Fromma (1900-1980), jest osobą kochającą destrukcję, wierzącą słuszność przemocy, życie do niczego go nie stymuluje, „sprężyną” jego działania jest strach rutyna, mechaniczny porządek relacji międzyludzkich. Nekrofila kształtuje współczesna cywilizacja – powstał nowy typ człowieka „homo consumens”, „homo mechanicus”. (Erich Fromm, Anatomia ludzkiej destrukcyjności, przeł. j. ang. Jan Karłowski, Poznań 1998, ss. 591).

Zanim trafisz
do zielonej doliny nieśmiertelności
jak kiedyś obłąkany Friedrich Hölderlin
lub introwertyczny Martin Heidegger w niebezpieczeństwie
dostrzeżesz dla siebie ratunek
a w imię anglosaskiego pragmatyzmu
lecz nie prasłowiańskiej prawdy
jak pewien irlandzki frajer co tęsknił za mętną wodą
omijając wraki kaktusy i sępy
będziesz wspinał się bez żadnych obaw ponad
pozbawione tlenu ale solidnie zbudowane z cierpienia i nadziei
szczyty Mount Everest i Kanczenczonga
nie wyczuwając cudu w chwili
gdy się go przeżywa

Zanim trafisz
do zielonej doliny nieśmiertelności
tańcząc z polującymi wilkami
albo pieszcząc głodne niedźwiedzie
jak miliardka Sigrid Rausing na półwyspie Noarootsi w Estonii
albo outsider Tim Treadwell w parku Katmai na Alasce
to najpierw pod swym niebem odnajdziesz piekło
a gdy zupełnie zżółkną ci oczy
wtedy okaże się że nikt nie wezwie nawet szamana
który zarządzając percepcją ale nie bólem
powiedziałby zwyczajne *nkuma mono* w języku
naszych praprzodków od wieków uparcie migrujących na północ
znad rzeki Kongo

Zanim trafisz
do zielonej doliny nieśmiertelności
nie będziesz mógł zasnąć gdyż nadzorując sen
staniesz się tworzywem tego samego opętanego artysty
który w akcie twórczym a nie destrukcyjnym spowodował
że Maurice Ravel wsiadł w Paryżu do luksusowego sedana delahaye 109
a James Dean w Hollywood do sportowego kabrioletu porsche 550 spyder
i pozbawił ich prawa do medytacji ale w zamian
na starannie dobranym skrzyżowaniu obdarował
trwałym i niepowtarzalnym stanem medykacji
aby w ten sposób niezbitcie dowieść
że to co najważniejsze jest niewidoczne
bo tak samo jak każdy bez wyjątku
będziesz musiał na końcu
zabić wszystko to
co kochasz

05-07.10.2022, Bydgoszcz

Andrzej Katzenmark

Żółwie

Urodziłem się pomorskim miasteczku otoczonym puszciami, zagubionym wśród jezior wzgórz polodowcowych, cichym zwyczajnym jak szary dym rozwiany po polach. Słupsk tamtych latach rozbudowywał się socjalistycznym rozmachem niedbałością przeszłość przyszłość. Rodzice wieźli mnie ze szpitala preludeum lata, kiedy na ulicach odległego Poznania wzniecała się robotnicza insurekcja. Czas przemian jak tętrowa pielucha owijał się wokół mojego ledwieistnienia. Oddychałem tym czasem. Cieszyłem się tym czasem, nie rozumiejąc go ani nie usiłując zgłębić. Mijały mój wiklinowy wózek stukoty damskich obcasów, pomruki skrywanym rozmów bezszelestne cienie ubeków. Nie pamiętam zaś nic. Owiewał mnie wiatr, płynęło światło migotały kolory. Świat nic nie tracił ze swojej mocy istnienia. Tylko czasami wydaje mi się, że niezrozumiała jaskrawość złej pokusy przenika tamtych lat pieluchowego spokoju jakąś nieznaną, transcendentną drogą. Widzę tych chwilach olśnienia strzępy zieleni nade mną, przetykane błękitem, poprzecinane strunami światła. tego zaś świetlisto-liścianego kosza wysypują się rozmowy; terkoczą kota; skrzypi wiklina; głosy dorosłych zapowiadają ukaranie Sodomy Gomory. Niemowlęcym krzykiem wyrażam swój niepokój rodzinę niezadowolone sytuacja politycznej kraju; rodzice mnie uciszają, jakby mój krzyk mógł ściągnąć milicjantów lub jakichś tajniaków.

Pierwszym słowem wypowiedzianym przeze mnie był „pingwin”. Imię ptaka, który nie lata, ptaka, który nie mówi. Przed „mamą” „tata” wypowiedziałem to skrzydlate słowo. Cudownie, sam siebie, gębini nieokreślenia nieznanego, bo cóż mogłem wiedzieć pingwinach. Im więcej słów przy-

PODWÓRKO

DOBREJ NADZIEI

(OPOWIADANIA SŁUPSKE)

bywało, tym lżejszy się stawałem, jakbym na końcu tej drogi wzlecieć miał niebo. Służył mi ten pochod słów, labirynty zdań kilkupiętrowych kompozycji. Mówiłem co bądź, nim zacząłem mówić sensem. Legiony sylab najróżniejszych konfiguracjach wybijają rytm zdań jak garściami przesypane kamyki. stadium larwalnym lokucji moje wynurzenia błędziły po wierzchu życia, brodząc pośród piękna niewinności. Dopiero podwórka importowałem ekspresję głębsze rozumienie egzystencji.

Przeżywałem mnie Kabatek. To na Pomorzu kaftan czy kamizelka. Bywało, że wdziewałem coś takiego, biegnąc na podwórko. Strój rudej wełny, bez rękawów. Nie lubiłem tego wdzianka. Nie zapomnij kabatkę, powtarzała mama. Ktoś postępszał się przyjęło.

Bawiłem się właśnie na podwórku. Wygrzebywałem ciemne dziury skorupie ziemi. Penetrowałem wierzchnią warstwę podwórka, szukając żuków, czarnych owadów chitynowych pancerzykach. Lśniły jak karoserie aut. Czekałem na ojca, który miał zejść samolotem wykonanym papieru. Lekki aeroplan latał jak prawdziwy. Lubiełem tę zabawę ze względu na jej przestrzenność, pozwalającą wyobraźni wejrzeć nieznaną; odczuwałem podniebne akrobacje tak, jakbym sam latał. Śledząc powietrzną trajektorię lotu, widziałem okna naszej kamienicy, gałęzie brzoź, gruszy niebo, które nigdzie się nie kończyło.

Ojciec jednak nie przychodził. Mój samolot nie wzleciał, podziemne poszukiwanie żuków nie zrekompensowało braku podniebnej zabawy. Wszedłem na piętro. Ojciec otworzył mi drzwi. Czyścił właśnie buty. Wcierał aromatyczną pastę skórę matczynych pantofli. Głaskał szmatką delikatne buciki. Zapomniał samolocie.

- Ile mam, do cholery, czekać? – zapytałem.

- Co? – zapytał roztargnieniu ojciec.

Nie dowierzał własnym uszom.

- Głuchy jesteś czy jak?

Ojciec ośpował. Nie wiedział, jak zareagować. Nie od razu wiedział. Dopiero po chwili oberwałem cięgi, ale krótkotrwałe, gniewu płynące, preferencji ojca do siebie – za słaby refleks.

Moja codzienność należała do podwórka. Przypisana była tej olbrzymiej, wyolbrzymionej dzieciństwu przestrzeni, która dzieliła się, jak świat podczas gry państwa, na kilka wyraźnie zarysowanych części. Stara grusza, cierpiąca na dendryczny artretyzm, pozwijana, skręcona węzowo, rosta pod betonowym ogrodzeniem, zachodniej części podwórka. Cadyk mawiał tym drzewie: poskręcane jak faja mojego starego. Królowało nad wąskim pasem kępiastej trawy wjazdem na podwórko. Rodziło gruszkę wielkości oliwek, kwaśne cierpki; nigdy nie doczekały wieku dojrzałego. Wspinaliśmy się po barokowym pniu gruszy, po guzowatych gałęziach, wygiętych nieprawdopodobnie zawijasy zygzak, do naszego obozu, który wisił ponad szaro-zieloną powierzchnią podwórka. Ręka natury pokrzywionych konarów stworzyła zawieszony powietrzu ławki krzesła oparciami. Tu radzieliśmy, co tego dnia należało jeszcze przedsięwziąć, gdzie zajrzeć jaką zabawę wymyślić. Stąd rozciągał się widok ku najodleglejszym świątom, ku ogródkom działkowym, szkolnemu boisku fabryce cukierków, która rozsiadła się betonowymi halami tuż za pięcioma rzędami kolczastego drutu, rozpiętymi jak struny sędziwej gitary. Instrument budził respekt; potrafił wymierzyć karę przed zbrodnią. Grusza ironią, trochę złośliwie, wyginała swoje pomarszczone gałęzie ponad rdzawym drutem.

Można też było spojrzeć ku północy, na plac Dąbrowskiego ozdobiony niezwykłą atrakcją dzielnicy, strażackim basenem. Na wprost bramy, za zielonym parkiem okalającym wspomniany akwen ciągnęła się ulica Mickiewicza, na której wypatrywaliśmy zaprzęgów konnych transportujących skrzynki oranżadki. gruszy widzieliśmy tylko rudy skrawek naszej ulicy Deotymy. Błyszcząły granitowe płyty chodnika brukowana jezdnia. Turkotały koła wozów. Drżał od barw dźwięków nasz dziecięcy świat.

Właściwy plac zabaw, podwórkowy interior, prostokąt twardej jak asfalt ziemi, nieskalanej ani jednym źdźbłem trawy, ciągnął się od gruszy do dwóch brzoź, które strzegły naszej krainy przed mieszkańcami sąsiedniej kamienicy. Strzeliste nienatural-



Marek Naszczak

nie zielonych zwieńczeniach wciskały się śnieżnobiałe pnie między rynną domu mur szopy. Migotały liście wysoko na tle ponie-mieckich cegieł tynków, wyplwających ob-drapanych jak sierść osmykującego jelenia. Te dwa drzewa wyrastały podwórkowego klepiska, ubitej naszymi stopami ziemi, wy-deptanej tysiącnych marszach biegach. Stanowiły wschodnią granicę naszej dzie-cięcej enklawy.

Ku południowi biegły grządki warzywni-ka. Każdy mieszkańców miał wyznaczony pasek ziemi uprawnej, pielęgnował go, petł, podlewał, dłońmi formował rabatki, chu-chał głaskąc wschodzące roślinki. Tu rzadziej zaglądaliśmy, ponieważ okna całej kamie-nicy nieczymy oczy baszty obronnej strzegły bezpieczeństwa tego skrawka zieleni.

Cadyk był ode mnie rok starszy, co stanowiło olbrzymią różnicę wieku, którą wypełniała jaskrawa od nowinek eksper-ienca. Zastużenie zatem doświadczenie otrzymywało od natury szereg przywilejów, tym bezpłatny autorytet. Cadyk jak dorośli czasat włosy do tyłu. Ta fryzura nadawała jego dziecięcemu obliczu pozór urzędniczej powagi. Jego ojciec był dyrektorem fabryki mebli. Raz miesiącu przyjeżdżała doń kon-trola ze zjednoczenia. Wracat wtedy późno nocnym stanie rozgoryczenia socjalistycznym porządkiem, czyli całkiem pijany, Cadyk mógł biegać po podwórku do późnego wieczora. bładym blasku latarni oświetla-jących fabrykę cukierków kopat kanały tą-czące kałuże, wznosił miniaturowe mosty usypował wały przeciwpowodziowe. Dłużej od niego bawili się tylko Dolińscy. Mieszka-li na parterze. Oni najpóźniej opuszczali plac zabaw. Przewisko nadali Cadykowi dorośli, ze względu na jego powagę, tak naprawdę ze względu na jego rodziców. Dorośli inaczej widzieli rzeczywistość. Nigdy się nie mylili, nawet jeśli ich stwierdzenia były ze sobą sprzeczne. Cadyk zaakceptował swoje przezwisko. Nie wiem jednak, czy był niego dumny. Ani on, ani my nie docieka-liśmy etymologii przezwisk, podobnie jak nie dochodziliśmy słowotwórczego znaczenia imion. Były takie już. Pyza, Mańkut, Indor, Sum, Mańka, Cadyk, Papa, Puma, Guma, Krowa, Salomon, Piecia, Flinta Kabatek to nasze podwórkowe pseudonimy, jasne jednoznaczne. Tylko Kryśia rudych włosach pozostała przy swoim własnym imieniu, po-nieważ za rzadko wychodziła na podwórko. Tylko Krowa napomykała nieśmiało zmianie przezwiska. Bezsukutecznie. Przewisko jak ry-cerski herb nosiło się bez względu na humor pogodę; przypisane było na zawsze.

Polityki nie rozumieliśmy, toteż gardzi-liśmy nią. Chodziliśmy rękoma kieszeniach spluwaliśmy przez zęby. Spluwaliśmy na cały świat, ten ruski amerykański. Strzykaliśmy śliną pod nogi kumpłom sąsiedniej kamienicy. Dorośli nie uczestniczyli tej pogardzie dla dwubarwnej rzeczywistości. Coś tam szeptali po kątach, żeby, broń Boże, nikt nie usłyszał. Jeśli docierało do nas jakiś strzęp ich rozmo-wy, tak go nie rozumieliśmy. Gwizdaliśmy więc na politykę, która jednak nie zawsze odpataca się tym samym. Niekiedy po nas wyciągała swoje macki.

Minioną wojnę traktowaliśmy mniej lek-ceważąco – ze względu na malownicze opowieści naszych dziadków, którzy przybyli różnych stron świata. Cadyk miną zafras-owanego buchaltera, wiśniowe usta wydęte we wszechwiedzę, tak opowiadał Lenino:

- Oddział mojego dziadka szedł tyra-lierą...

- Co to jest tyraliera – spytałem.
- Że jeden idzie daleko od drugiego. Nie przerywaj, bo ci nic nie opowiem. No więc szli tyralierą. Niemcy kosili karabinów maszynowych. oni ciągle szli, właściwie bie-

gli. Zginęli wszyscy. Tylko dziadek nie, bo co kula leci, to on się schylał.

- dlaczego tamci się nie schylali?
- Bo nie wiedzieli. Młodzi żołnierze.
- Ja bym już wiedział.

Indor przynosił jeszcze inne opowieści.
- Mój dziadek mieszkał takim mieście, co to go już nie ma na mapie. Jak wpadli Ruski...

- Jak się nazywa to miasto? – pyta-liśmy.

- Skąd mogę wiedzieć. Przecież już go nie ma.

Takie wyjaśnienie nam wystarczało. petni logiczne. Jak może nazwać się coś, czego nie ma. Aura tajemniczości okrywała to miasto. Wyobrażałem sobie pałac na wzgórz, mury, baszty bramy, które runęły zapadły się, bo wpadli Ruski.

Nasza kamienica miała głęboką ryse, biegnącą od wejścia, tuż nad drzwiami, aż ponad trzecie piętro, pod kryty papą dach. Nad drugim piętrem ciemne splekanie rozwidlało się biegnęło wyżej dwiema drżącymi liniami, rzekami moich marzeń – Missisipi Missouri opowiadał mojego ojca. Nad Demianiukami, nad Flintą jego rodzicami, znajdowały się źródła tych rzek, nad okienkami małymi jak miasta na mapie. Pewnego razu zapragnąłem zobaczyć, jak mieszka się, jak żyje górnym zbocem wielkich rzek, za okienkami, przez które sączyło się wieczora-mi tajemnicze niebieskawe światło.

Tego dnia bardzo zaprzyjaźniłem się Flintą. Odstąpiłem mu swoją drożdżówkę podzieliłem się oranżadą. Ucieszył się. Marsz-czył radości swoje blade oblicze. Oczami pożerał tę drożdżówkę, nim skończył je-dzenie, tak jakby jedząc, stawał się coraz bardziej głodny. Pakował ją usta wielkimi kęsami. Odbijało mu się głośno, ja aprobatą chichotałem. Staratem się jak najwierniej mu towarzyszyć, byleby tylko pokazał mi to tajemnicze światło jego mieszkaniu. Nie naśmiewałem się nawet jego otwartego rozporka. Każdemu nas się zdarzało, że nie mieliśmy gdzie guzików. Poszukiwałem za-leł jego ducha umysłu. Odnajdowałem te zalety. Eksponowałem je głośno.

- Flinta jest porządku – zachwalałem publicznie kolegę. – Ma tak twarde zęby, że przegrzyza orzech włoski, jakby jadł jabł-ko. gdyby chciał, to by przegrzył łańcuch rowerowy.

- łańcuch rowerowy może by przegrzył – powiedział Cadyk – ale nie przegrzyłby pasa cnoty.

Znowu mnie zaskoczył. Nie wiedziałem, co to jest pas cnoty.

- ty byś przegrzył? – spytałem zaczep-nie.

- Chyba zwiariowałeś. Dobry pas cno-ty jest tak zrobiony, że nawet koń go nie ruszy.

- Jak koń go nie ruszy, to po co ma go ruszać Flinta?

Cadyk zaśmiał się przebiegle.

- Bo Flinta, tak samo jak ty, nie wie, co to jest pas cnoty.

Zarzuty te jeszcze mocniej związały mnie Flintą. Nie odstąpiłem też od podjętego rano zamiaru. Na przekór trudnościom – po drodze był jeszcze obiad – konsekwentnie zmierzałem do celu, jakbym płynął dymią-cym parowcem górę rzeki, ja biały pionier, osadnik, traper... Po południu graliśmy kli-pe. Pozwoliłem Flincie bronić kota moim kijem, do którego tak się przyzwyczaił, że pod koniec gry musiałem mu go wyrwać. Trochę popsuta się nasza przyjaźń, lecz na krótko. czasie gry noża powróciło zaufa-nie. Zamieniłem się nim na scyzoryki. Znowu się cieszył, śmiech zarysował pergamin-o-wą cerę siecią linii plam, jakby kanałó-wodnych sadzawek. Twarz miał podobną

do zmiętej kulę gazety, oczy wodniste jak jesienne kałuże. Tylko radość płacz potrafiły ożywić napuchnięte oblicze. Cieszył się, ja, rozbudowując jego euforię, realizowałem powzięty plan.

- Pokaż mi tę lampkę, co mówites – na-mawiałem.

Rodzice nie pozwalali mi chodzić do Flin-ty. Toteż nigdy tam nie byłem. Flinta też nas nie zapraszał. Tylko Cadykowi udało się dwu-krotnie go odwiedzić. Opowiadał potem lampce, żółwiach, które ruszały się na niej po całym pokoju. Opowieść tym czarodziej-skim światelku pochłonięta moją wyobraźnię. Ilekroć patrzyłem okna Demianiuków, wy-obrazałem sobie wypełniony niebieskawą poświatą pokój unoszące się nim żółwie. Musiałem je zobaczyć, ponieważ Cadyk tyle nich opowiadał. Musiałem je zobaczyć, bo musiałem odstąpić skrywaną pomiędzy źródłami Missouri Missisipi tajemnicę.

Dopiero wieczorem ucichły podwórkowe zabawy. Przebrzmiała klipta, gra noża, państwa, chowanego próby zabawy pod-chody, jak zwykle nieudane. Obsiedliśmy gruszę. Ustąpiłem Flincie miejsca na wyższej ławce, naruszając tym samym hierarchię przyjętą przez wszystkich na podwórku. Ca-dyk zachichotał na ten widok. Znowu pró-bował piętrzyć przeszkody na mojej drodze, tak jak tym pasem cnoty. Przeczuwałem, że chciał być obok Flinty jedynym, który poznał tajemniczy blask lampki żółwiami. Udawałem, że nic się nie stało, że nie ma większego znaczenia, gdzie kto siedzi. Ca-dyk nadal chichotał. Guma Krową stały pod drzewem. Zabrakło dla nich miejsca. Weszły, dopiero gdy rodzice zawołali Salo-mona. Podwórko przykryta szarozę zmierz-chu, trochę złotawa od świetlistych smug na zachodzie. Na opustoszałych ulicach fabryki cukierków zapanowała dociekliva jasność, właściwie przenikliwa bladeść od przedwcześnie zapalonych lamp, które ba-dawczo wpijały się każdy kąt zakładu. Tropi-ły śledziły. Unosił się tym światłem landrynkowy zapach zaułków. Do nas też docierał ten zapach. Nie widzieliśmy jednak jego źródła, jakby wysnuwał się pustych hal zakładu. Patrzyliśmy na martwą pachnącą fabrykę. Och, jak chcieliśmy tam wejść.

- Dobrze, że nie wypuszczają psów – powiedział Cadyk.

- Psy by wpierdoliły wszystkie cukierki – stwierdził Flinta.

- że druty nie są pod prądem – dodał Indor.

- To przecież tak wszystko jedno – wtrą-ciłem – nigdy się tam nie bawimy.

- Puma tam był.

Wszyscy umilkli. Puma górował nad nami wzrostem, wiekiem doświadczeniem. Obecnie przebywał poprawczaku. Nie po raz pierwszy. Kiedy wracał po takiej przerwie na nasze podwórko, zasiadał na najwyższej ławce na gruszy. To on wymyślił zabawę „kto ostatni przebiegnie przed samocho-dem” „kto najdłużej utrzyma palec zepsu-tym gniazdku prądem”. Przejść jednak przez wysokie ogrodzenie zwieńczone drutem kolczastym spacerować pustymi ulicami fabryki nikt poza Pumą się nie odważył. Pamiętam ten dzień. Siedzieliśmy wtedy na gruszy patrzyliśmy, jak zwinnie wspiął się na płot, potem przesadził jednym susem kol-czaste druty. Potem spacerował bez cienia obawy po fabryce, białej koszuli czarnych spodniach. Podziwialiśmy Pumę.

- Kiedy pokażesz mi tę lampkę żółwiami? – dopytywałem natrętnie.

- Zaraz pójdziemy – wymigiwał się Flin-ta.

- Chodźmy teraz. Dam ci jutro śrubokręt, ten błyszczący jak czerwona latarka, do małych śrubek.

- Daj teraz.
- Mam domu. Jak pójde, to już nie będę mógł wrócić. Mama już raz mnie wołała.

- Na pewno mi dasz?
Poszliśmy. Najpierw po guzowatych gałęziach dół, ciepły sierpniowy wieczór. Lampy przygasły za betonowym murem. Zatrzymaliśmy się jeszcze na środku podwórka, nad kratką ściekową, centralnym punktem placu zabaw, może całego świata. Splunęliśmy obaj między stalowe pręty, delikatne szmeranie głębi ziemi. Ciemność kapu-kapu płynącej strugi. To mógł być środek świata. Nikt nie wiedział, co dzieje się tam na dnie; gdzie jest to dno; dlaczego pluski dobiegają ze środka podwórka. Pobiegliśmy stronę drzwi do klatki schodowej, tam gdzie znajdowało się ujście Missisipi. Zdążyłem jeszcze spojrzeć na dynamicznie rozpiętą rysę, aż do połączenia Missouri. Kansas lowa panowała już ciemność.

- Indianie już śpią – szepnąłem.
- Co ty, Kabatek, pierdolisz? Jakie Indiany? Kabatek zwariował.

Wspięliśmy się po cichu na ostatnie piętro. Kamienica rozbrzmiewała nieludzkim rykiem Karola Pośredniaka, ojca Pumi, Krowy Gumi. Powtarzały się różnej kolejności dwa słowa: „kurwa” „zapiardole”. Zawahałem się, czy iść wyżej. Tymczasem inicjatywę przejął Flinta, który już czuł dół ręką do śrubokrętu do małych śrubek, mimo iż jeszcze go nie otrzymał. Weszliśmy na poddasze. Powąta wisiła tuż na głową, wiele niżej niż naszym mieszkaniu, gdzie sufit zdawał się naśladować niebo. Drzwi do mieszkania Demianiuków wyglądały tak, jakby codziennie otwierano je to-

mem lub siekierą. Flinta wyciągnął kieszeni gwóźdź. Umieścił go drewnianym otworze pod klamką przekreślił wprawą. Zgrzytnęło. Drzwi jękiem uchyliły się. Flinta pchnął je ramieniem. Gwóźdź spadł na podłogę.

Weszliśmy do niskiego, rozległego pomieszczenia. Ktoś zapomniał podzielić mieszkanie na pokoje. Wyglądało więc jak świetlica. Na niższych kondygnacjach ta sama powierzchnia dzieliła się na kilka pomieszczeń. Tu była jedna uszanką rzadka meblami pustynią. Flinta zapalił światło, ciemności jasność. Ze środka sufitu zwiśała na ciemnym kablu blada żarówka. Pętały po ścianach blaski poruszonego światła. Żarłoczne błyski nie pozwalały od razu rozejrzeć się sytuacji. Żarówka blada przestrzeń dookoła. Nic więcej nie widziałem. Flinta zgasił światło.

- Chodź – mruknął.

Po omacku pokonaliśmy pustą przestrzeń dzielącą nas od stolika lewej części pokoju. Stęknęły deski podłogi. Idąc, macałem stopami nierówności. Zaszurały sandały. Dotarło do mnie, że pomieszczeniu nie ma prawie żadnych mebli. Dlatego tak gwałtownie zaatakowało nas światło. Flinta uklęknął wsunął się pod metalowe łóżko. Wyciągnął stamtąd przedmiot mego pożądanego, lampkę żółtymi. Widziałem ją niewyraźnie, raczej wyobrażałem sobie jej wygląd. pokoju unosił się kwaśny zapach alkoholu, jakby czyjeś trzewia spalały wódkę, przemieniając ją życiodajny węgiel, jakby żarzyły się kimś hańdy koksu. Nie dym, ale gaz mieszał się powietrzem, podobny do tego, jaki wytwarzała na Moniuszki miejska gazownia. Usłyszałem, że ktoś przewraca się na łóżku, za stolikiem.

Zatrzeszczały stalowe sprężyny. Zasycały czyjeś śpiące usta jak nieszczelna butla gazem. Mocniej zionęto spalaną wódką.

Od kiedy Flinta wyłączył górne oświetlenie, nic nie widziałem oprócz kilku nągich okienek na środku ściany; za nimi błyszczały martwo światła fabryki cukierków. Brakowało mi słodkiego zapachu landrynek. Nadal syczały przez sen usta starego Demianiuka. Jak zięjący ogniem smok, ojciec Flinty rozsiewał woń destylatów ropy naftowej. Wokół sapania pustka jak zimowe pole. Nagie okna, szare od fabrycznych lamp ściąny, po których bez przeszkód pełzał smutek liszaję beznadziejności. Chęć opuszczenia tej izby walczyła we mnie ciekawością. Cadyk widział, ja też musiałem zobaczyć.

Flinta majstrował coś przy kontakcie. Wpychał go powrotem ścianę. Klął szepetem. Potem celował wtyczką niewidzialne otwory. Ja gładziłem stojącą na stoliku lampkę. Wykonana była z plastiku, śliskiego gładkiego jak fotograficzna klisza. Przestraszyłem się, kiedy nagle rozbłysła błękitnym blaskiem jak egzotyczny poranek. Oparliśmy łokcie na stole. Patrzyłem oczarowany tajemniczą poświatą, tajemniczą jak ta wokół gazowych latarni przed ratuszem. Przezroczysta folia błękitnawym odcieniu dwiema warstwami otaczała żarówkę. Na obu powierzchniach namalowane były żółwie, kolorowe żółwie kąpiące się brzegów Galapagos. Ich wielkie skorupy lśniły od wody. Kiedy żarówka rozgrzała się dostatecznie, żółwie zaczęły się poruszać. Te wewnętrznej warstwy wędrowały na zachód, te na zewnątrz – na wschód. Oczy zatapiałem świetlistych głębiach mórz południowych. Żółwie, barwne jak rajskie ptaki, mijały się powolnym kadrylu. Płynęły różne strony jakichś świetlanych żółwych celach.

- Popa, jaki film – szepnął Flinta.

Cały Pacyfik rozlał się po pokoju Demianiuków. Żółwie żeglowały swobodnie po ścianach suficie jak gigantycznym akwarium, jak jakiejś pacyficznej lagunie, której nigdy nie zobaczymy. Rozwiała się pustka pokoju. Jak teatrze zapetniła się dekoracjami naga scena. Za stołem widziałem wyraźnie łóżko-okręt, na którym płynął stary Demianiuk-Dionizos pośród pluskających się żółwi. Trzymał się mocno burty żeglarz, aż mięśnie pleców mu grały. na tych plecach oprócz żółwi płynęły piękne dziewczyny, wytatuowane przez kolegę celi. Wydał mi się Demianiuk marynarzem pływającym po morzach, których opowiadał mi ojciec, odległych jak sen lub marzenie.

- Zgaś, kurwa, tę lampkę – usłyszałem rozkaz łodzi.

- Śpij, ojciec! – rzekł Flinta.

- Żeby nie musiał ci pierdolnąć w głowę!

- Już gaszę.

Żółwie zniknęły ciemnym jak loch morzu. Dotykałem jeszcze ciepłej, wirującej lampki. Żółwie nadal płynęły, ale gdzieś głębi morza. Zazdrościłem tej lampki Flincie. Zazdrościło Flincie całe podwórko.

ANDRZEJ KATZENMARK

Zdzisław Drzewiecki

Pamiętnik wojny

znowu zapadają się miasta
 aż do najgłębiej chowanych kości
 pustka metalowego nieba nie daje żadnych nadziei
 jak zwykle
 kiedy ludzkie dzieją się sprawy

odchodzimy od zajęć
 od rodzin
 od zmysłów

już się przyzwyczałam
 że gdy wyprowadzam psa na spacer
 on nie szczeka i nie patroluje
 osiedlowych trawników
 wtula się w moje nogi i drży

na moim podwórku nie ma dzieci
 czuć swąd spalenizny
 i słyhać wiatr w ślepych oknach

na balkonie zabita sąsiadka
 z niewywieszoną w ręku bielizną
 jakby wzywała pomocy
 podczas rejsu
 przez martwe morze

Patriotyzm

jestem małym chłopcem mam pięć lat
 w słoneczny lipcowy dzień
 moja lewa ręka bezpiecznie zamknięta w dłoni ojca
 ledwie nadażam stawiać kroki
 wokół idą inni i śpiewają
 ojciec też śpiewa
 nie rozumiem słów pieśni
 jest kolorowo i to wszystkich pochłania
 czerwony krawat ojca
 i moje śnieżnobiałe podkolanówki
 to mnie podnosi na duchu
 płyniemy całą ulicą
 nie zna granic ni kordonów pieśni zew

na koniec święta jest wódka pod salceson z musztardą
 dla mnie lemoniada i cukrowa wata
 dorośli luzują krawaty i rozpinają koszule
 pełnia lata i pełnia szczęścia
 wokół leżą porzucone chorągiewki
 mnie wolno szybować z innymi dziećmi
 na coraz luźniejszej uwięzi

krawat ojca w musztardzie
 i jego ciężka ręka na moich plecach
 pozwalały mi wierzyć w dobrze spełniony obowiązek tropiciela
 który zna wszystkie szlaki powrotne do domu

kiedy nieco później już w szkole
 pytano mnie co to jest patriotyzm
 opowiadałem o czerwonym krawacie ojca
 i moich białych podkolanówkach
 czterech pancernych i Szarika dodawałem w bonusie
 o musztardzie dyplomatycznie milczałem

POEZJA W DOBIE INTERNETU

Niemal dziesięć lat temu kwartalnik „Migotania” opublikował mój esej „Schyłek poezji czy jej rozkwit”. Szkic ów dotyczył instytucjonalnej społecznej roli poezji we współczesnym społeczeństwie amerykańskim. Istotą tego tekstu była kwestia marginalizacji roli poezji wśród publiczności czytającej (twórczej) paradoksalnie dlatego, że instytucjonalnie poezja nigdy nie miała się Ameryce tak dobrze, jak dziś.

Poniższe rozważania - choć stanowią swoistą kontynuację tamtych uwag: dotyczą sytuacji poezji we współczesnym społeczeństwie - biorą jednak głównie pod uwagę swoiście nową sytuację - pojawienie się tzw. mediów społecznościowych - przeniesienie publikacji wierszy (pojedynczych czy całych zbiorów) „on line”. tej przestrzeni również toczy się większość dyskusji poezji. Wraz zanikaniem „papierowych” magazynów literackich, otwierają się nowe „przestrzenie” sieci - od wykorzystywania popularnych platform społecznościowych typu twitter, instagram, poprzez publikację utworów elektronicznych magazynach (dostępnych tylko internecie), albo pismach, które zamknęły swe papierowe edycje - przeniosły się do sieci, po rozpowszechnianie całych zbiorów poezji „on line” - na stronach internetowych autorów, albo odrębnych, elektronicznych wydawnictwach. Możliwości są ogromne, niemal nieograniczenie większe niż dawniejszych czasach zinstytucjonalizowanych wydawnictw - całym system przyjmowania (albo odrzucania, co częściej) autorskich tekstów do druku oraz rozwiniętą siecią księgarń, gdzie wstawiano opublikowane tomiki na półkę. Wówczas autorowi (zwłaszcza początkującemu poecie) bardzo trudno było się przebić przez ów podwójny mur (wydawnictw księgarń), aby ewentualnie pokonać trzecią przeszkodę - dotarcie do czytelnika - ocenę krytyków. Dziś, gdy wydawnictwa, księgarnie znikają krajobrazu miejskich (zwykle) sklepów, przed poetami otwierają się ogromne szanse bezpośredniego zaleźnienia uwagi odbiorcy - przepastnej przestrzeni internetu.

**

Być może uwagi na rozwój literatury nowym elektronicznym medium - federalna instytucja National Endowment for the Arts odnotowuje wzmożony wzrost zainteresowania poezją społeczeństwie amerykańskim,

obszernym, ponad stustronicowym raporcie “U.S. Patterns of Arts Participation: Full Report from the 2017 Survey of Public Participation in the Arts” (Amerykańskie formy udziału sztukach pięknych...) znajdujemy stosowne fragmenty dotyczące zainteresowania poezją. Prawie 12 proc (11.7 proc. dorosłych) czytało więcej wierszy 2016 roku niż okresie poprzednim. Oznacza to, że 28 milionów dorosłych sięgało po lekturę wierszy. stosunku do całej populacji USA jest to najwyższy wskaźnik czytelniczego zainteresowania poezją.

Skąd ów wzmożony pęd ku poezji? Jako najoczywistszy powód podaje się właśnie radykalną, już jakościowo odczuwalną zmianę na lepsze dostępie do wierszy za pośrednictwem internetu. Wspomina się także instytucjonalnych, zwiększonych staraniach spopularyzowanie poezji: Ameryce od dawna istnieje funkcja „poety narodowego”

- na funkcję nominowanego „U.S. Poet Laureate” na ograniczoną (roczną) kadencję powoływani są znani cenieni autorzy. Mają do dyspozycji spore środki federalne (nie tylko finansowe) do propagowania poezji. Niektórzy nich są bardzo aktywni tym dziele. Podobnie, każdy stan USA ma swojego „stanowego poetę” podobnych obowiązków do wykonania. Powstają nadto liczne mniej lub bardziej formalne organizacje, stowarzyszenia także poświęcone sprawie poezji, czy po prostu kół zainteresowania pisaniem i czytaniem wierszy, ich rozpowszechnianiem, zachęcaniem ludzi do lektury. Jest tego co niemiara najrozmaitszych postaciach. Ktokolwiek więc chce pisać czytać poezję, ma ogromną łatwość dostępu do tej formy literatury, znacznie łatwiejszą niż czasach słowa drukowanego, ograniczonym zasięgu tylko do miejsc księgarniami - czyli istocie większych skupisk ludzkich.

pozoru „niepoetyczne” społeczeństwo amerykańskie zaprzątnięte tylko pieniędzmi, biznesem, istocie przenikają silne „podskórne” trendy kulturalne, wśród nich niebagatelną rolę odgrywa wzmożone zainteresowanie mową wiązaną. Do nowych zjawisk należy także zaliczyć renesans wydawnictw księgarń: po latach zamykania wielkich domów wydawniczych magazynów książkami, dziś dużych miastach, jak Nowy Jork, Boston, Chicago czy San Francisco powstaje mnóstwo małych instytucji, tym księgarenek „specjalistycznych” - sprzedających książki modzie, przyrodzie, albo jedzeniu, tym także rozmaicie pojętą literaturą piękną.

Raport National Endowment for the Arts odnotowuje tylko zmiany ilościowe. Siłą rzeczy nie wspomina nic na temat jakości. Rzeczytyc malkontenci mogą natychmiast wykrzyknąć (takie głosy się pojawiły odpowiedzi na ów dokument), że rozwój mediów społecznościowych inwazja internetu na nasze życie doprowadziły do zalewu tandety. Wobec braku „filtrów” redakcyjnych, także wypowiedzi analiz krytyków literackich (wobec zaniku pism specjalistycznych), każdy ze swym utworem (zbiorem) znajdzie drogę do przestrzeni sieciowej. Ilość tym wypadku niczym nie świadczy.

Zapewne jest tym stanowisku nieco (dużo?) racji. Ale istotniejsze wydaje się zwrócenie większej uwagi na nowe zjawisko, które wytyczać będzie przyszły kierunek rozwoju prozy poezji: publikacje internecie. Sprawa ta jest znana od dawna, ale na dobrą sprawę niewielu krytyków pokusiło się przeanalizowanie zjawiska. Przynajmniej ja znam zaledwie kilka obszerniejszych komentarzy na ten temat.

Jednym powodów takiego (rzekomego) braku zainteresowania potężnym zjawiskiem, całkowicie zmieniającym oblicze literatury, leży właśnie na stronie mediów elektronicznych. Miał systematycznych analiz, refleksji, pojawiają się krótkie wpisy oceniające na twitterze, instagramie tym podobnych forach, gdzie zasadą ograniczeniem jest zwiększość wypowiedzi. Uwagi te mają więc charakter doraźny przejściowy; pojawiają się znikają. Brak (względny) natomiast obszerniejszych krytycznych analiz ocen twórczych dokonań artystycznych.

**

Co zatem się dzieje amerykańskiej poezji? Pierwszą chyba najważniejszą sprawą jest zanik hierarchii wypowiedzi literackich. Poniższe uwagi dotyczyć będą zasadniczo rozmaitych aspektów tego zjawiska.

Zaciera się coraz silniej granica między osiągnięciami czołowych poetów, „pomniejszych”. Określenia te mają dziś charakter dużej mierze umowny, bo na dobrą sprawę coraz mniej wiadomo, kto jest poeta znaczącym, kto - zaledwie bardziej lub mniej godnym uwagi.

Sprofesjonalizowana poezja, okopana zwykle murach wyższych uczelni rozwijająca się wokół programów nauczania „creative writing”, zbudowała swoistą kulturę poetycką własnymi regułami tworzenia oceny. Jest to towarzystwo wzajemnej adoracji. obronie ich środowiskowych zawodowych interesów pisałem sporo we wspomnianym artykule sprzed dziesięciu lat. Głosy ich przedstawicieli nie mogą więc być miarodajną opinią na temat wartości powstających utworów, albowiem tym środowisku obowiązują specyficzne wzorce „dobrych” wierszy (stąd utwory te, publikowane jeszcze dawniej pismach literackich były są tak podobne do siebie, jak spod linii „produkcyjnej”), krytycznie przez recenzentów tej samej grupy ocenianych wysoko.

Wobec upadku pism na papierze ofiarą pierwszej kolejności tej tendencji stały się czasopisma poświęcone sprawom kultury. Zabrakło więc tej części publiczności czytającej, zainteresowanej literaturą. To znaczy, ona dalej istnieje, ale znikła pola widzenia. byli to odbiorcy recenzji literackich, czytelnicy polemik, analiz krytycznych, ocen porównań. wyniku systematycznych dyskusji krytyków, twórców, czytelników, publikowanych na lamach tych czasopism kształtował się obraz współczesnej literatury wraz na ogół akceptowaną hierarchią twórców: ci należą go głównego nurtu poezji, stanowią czołówkę artystyczną, wytyczając nowe kierunki rozwoju sztuki poetyckiej; inni są porównaniu najlepszymi swoistym zapleczem. tak dalej.

Takiej ogólnej dyskusji środowiskowej dziś brakuje. Wraz rozwojem internetu, czasopisma „papierowe” walce byt pierwszej kolejności ograniczały albo wprost likwidowały działy kulturalne. złudnym przekonaniu, że najtańsza, powiem - jarmarczna rozrywka - przyciągnie rzesze czytelników, zaś teksty poświęcone „kulturze wysokiej” tylko odstraszą przeciętnych, coraz gorzej wyedukowanych odbiorców, stanowią balast. Oczywiście, ów manewr nie uratował tych publikacji, ale swoisty styl myślenia związana nim praktyka utrzymuje się: sprawy poezji, sprawy dobrej literatury nie interesują głównych odbiorców mediów. internetowych wydaniach całkiem nawet renomowanych magazynów zagadnienia literackie (bardzo ograniczonym zakresie) oddano gestię całkowitych amatorów. Dlaczego? Bo taniej. Cięcia po kosztach wyeliminowały przede wszystkim zawodowych, solidnych krytyków. sieci panuje prze-

konanie, że każdy przecież potrafi pisać, zna się na literaturze, na poezji może się tych kwestiach wypowiadać miarodajnie. rezultacie nie sposób dowiedzieć się, kto jest dziś uznanym wybitnym, dobrym poetą, kto nie, skoro równym stopniu autorytatywne na ten temat wypowiadają się fachowi recenzenci, co „niedzielni” krytycy.

Własny osąd przeciętnego czytelnika zawsze był trudny. Musiał się zdać na opinie profesjonalnych „czytaczy”, ogarniających lepiej współczesny chaos zjawisk artystycznych. czasem dopiero stabilizował się obraz dokonania epoki. ciągłej dyskusji, interpretacji reinterpretacji pewne postaci, ich osiągnięcia, przesuwają się na owej skali wartości: uznawane są za poetycko lepsze lub gorsze. Same kryteria zmieniają się czasem, toteż często poeci zapomniani nagle zaczynają jaśnieć pełnym blaskiem, uznani – zapadają w niepamięć.

Jest to zjawisko bardzo dobrze znane, ale przypominam nim, właśnie uwagi na zanik tej sfery obsługi (że się tak wyrażę) życia literackiego, który doprowadził do wspomnianego na początku zatarcia granic między poezją dobrą taką sobie.

Zarazem pojemność sfery internetu sprawiła, iż pojawia się sieci znacznie większa liczba dokonania poetyckich niż kiedykolwiek dotychczas. Każdy przecież, kto para się wierszotwórstwem, może wrzucić swój utwór „on line”.

Poza tym, miejsce dawnych, tradycyjnych wydawnictw pojawiło się mnóstwo nowych małych oficyn, co wraz łatwością własnej, niezmiernie taniej publikacji „na żądanie” sprawia, że odbiorca czy krytyk nie może już polegać na renomie wydawnictwa redakcyjnej selekcji. Ma do czynienia wprost tomikiem poezji. rosnącej ich liczbie po prostu gubi się.

Jedni widzą tym zjawisku znaczące osiągnięcie demokracji twórczości poetyckiej, wciąż uznawanej za stosunkowo elitarną (przez wybranych dla wybranych) działalność. Internet położył kres swoistemu terrorowi uprzywilejowanej grupy rzekomych znawców, którzy swoimi wąsko potraktowanymi kryteriami eliminowali życia literackiego twórców spoza głównego nurtu działalności poetyckiej. Może nie tyle eliminowali, co marginalizowali, na proces ów duży wpływ miały także środowiskowe preferencje. Twórca dobrze usytuowany towarzysko silnych ośrodkach literackich zawsze mógł liczyć na życzliwsze oceny niż ktoś spoza tego kręgu. Ten drugi mógł nawet nie zostać zauważony.

Inni przekąsem kwitują zalew kiczu literackiego. oceńnię mierności toną niezauważenie perły poezji. Każdy tej chwili może opublikować swój zbiór „on line” do tego jeszcze sam napisać pochlebną recenzję tej publikacji, albo poprosić kolegę taki tekst wobec braku siła redakcyjnego, każda wypowiedź znajdzie miejsce świecie elektronicznych mediów. Na równych prawach.

obu tych skrajnych stanowiskach doszukając się można swoistej, cząstkowej racji. Ale rzeczywistość twórców mieści się między tymi dwoma biegunami. Wielu albo większość poetów zwłaszcza młodszego pokolenia, skazanych jest na taką właśnie autopromocję. co za tym idzie, musi się godzić ze swoją marginalizacją swych dokonania. Był to zwykły los poetów, ale dziś elektroniczny chaos stawia, moim zdaniem, jeszcze większe wymagania autodyscypliny, uporządkowania nad własną twórczością. Na finansowy sukces nie mają co liczyć, poklask publiczności odpada, uznanie renomowanych krytyków nie wchodzi w rachubę. Samotność poety dzisiaj jest bardziej dojmująca niż kiedykolwiek. Musi po prostu wierzyć, głęboko



Marek Naszczak

wierzyć wartość własnej twórczości pilnie wystrzegając się rezygnacji, jeszcze bardziej jej przeciwieństwa – samozadowolenia.

Znajdujemy się bezsprzecznie trudnym okresie przejściowym, kiedy stare sprawdzone, choć oczywiście niedoskonałe mechanizmy funkcjonowania poezji społeczeństwie – wielokrotnego filtrowania dokonania podług przyjętych kryteriów, ustanawiania hierarchii ciągłej rekonfiguracji tego porządku, uległy załamaniu. Nowe mechanizmy jeszcze się wykrystalizowały. Na pewno jednak literacka przestrzeń internetowa żyje bardzo dynamicznym życiem, tworzy nową jakość społeczną, jej główną chyba oznaką jest wzrost znaczenia zjawisk poetyckich czy ogólniej – kulturalnych we współczesnym społeczeństwie. Ten stan rzeczy odnotował raport National Endowment for the Arts.

**

Na podobny temat pisał Daniela Bell „Cultural Contradictions of Capitalism” (Basic Books, New York 1978). rozprawie tej znaleźć można wiele inspirujących uwag, choć sam tekst – zaledwie sprzed ponad 50 lat, taka starość. Wina autora, że starał się ująć rzecz modny wówczas, marksistowski sposób (choć ideologia tą nie był utożsamiany): muszą być sprzeczności, konflikt, gra interesów; muszą być uciskani uciskający.

Ale nie idzie polemikę rozprawą Bella. Zrobiono to już wcześniej starannie. Traktuję „Cultural Contradictions...” jako szkic, którym dziś można się postawić do ogólniejszej refleksji obecnych czasach. Wpisania nie miejsca roli artysty, zwłaszcza poezji.

Współcześnie zasadą rządzącą społeczeństwem zachodnim jest niepojętne dążenie do indywidualizmu, nacisk na jednostkową możliwość realizacji, żądanie osobistej ekspresji jako najwyższego prawa. Jest to nie tylko znak czasu, symptom przekształceń obrębnie systemów demokratycznych, ale swoista etyka – krytyka jest obrazą, zniewagą, wyrazem braku wrażliwości malcontenta na jakieś osobiste cechy autora (płeć, preferencje seksualne, rasa, grupa społeczna albo coś jeszcze innego), których ma rzekomo wypytywać wartość utworu/dokonania poetyckich. Panuje swoisty terror kry-

teriów drugorzędnych. Każda krytyka zostaje uznana nie tyle nawet za osobistą obelgę, co za atak na system wartości reprezentowany przez autora.

Gdyby podług takich właśnie wartości sądzić, najwybitniejszą postacią dzisiejszym świecie poetyckim nie tylko USA, ale na całym Zachodzie, byłaby Amanda Gorman, która napisała wyrecytowała wiersz na inaugurację prezydentury Josepha Bidena. Reprezentuje wszystkie pozytywne cechy: jest kobietą, czarnoskórą, opowiada się po „właściwej” stronie politycznego podziału społecznego; wniosek – jest twórczość musi być doskonała, ewentualny krytyk jest zapewne przeciwnikiem powyższego. Stąd jej przesadna adoracja.

Nastąpił zanik artystycznych kryteriów oceny dzieła przesunięcie punktu ciężkości na wartości pozaliterackie. Prawie nigdy (wyjątkami, jak np. socrealizm) nie było tak, aby dzieło mierzyć wyłącznie podług norm ideologicznych. Dziś jednak rzetelna dyskusja poezji internecie zostaje zepchnięta gdzieś na głębokie dno przez ocenę według czynników światopoglądowych, które szermuje się kryteriami spoza literatury jej komunikatu.

**

Elektronika dała jednostkom narzędzia zrównujące każdą osobną twórcą klasycznym sensie tego słowa: dziennikarz, pisarz, poeta, muzyk, piosenkarz, filmowiec, artysta – każdy przy pomocy komputera/telefonu formuje swój przekaz komunikuje go milionom (potencjalnie). Nie jest istotna „zmiana”, nowość, oryginalność wypowiedzi, głębia myślowa; natomiast nacisk zostaje położony na „ja” – ja jestem twórcą, ja to powiedziałem/zacytowałem; ja zaśpiewałem, zrobiłem film; ja przekazałem dalej, ja pochwaliłem/zganilem, etc.

Jeśli wszyscy są równi zajmują się twórczością artystyczną, to jak mam się wyróżnić, wyodrębnić, zaznaczyć, żeby zaważono mój komunikat, uznano, że jest ważniejszy? Przez zróżnicowanie: ja to nie tylko „ja”, ale ja czarny; ja kobieta, ja homoseksualista; ja uciemniony (maltretowany przez rodziców), etc. Mój więc przekaz jest

godniejszy uwagi, mnie słuchajcie/czytajcie/oglądajcie.

ESSE
Dziś wszyscy są artystami. Publiczność jest zarazem twórcą odbiorcą. dwojakim sensie: nie tylko każdy „tworzy”, dodaje coś do społecznego obiegu komunikacji, nawet jeśli tylko powiela przekazuje dalej cudzy twór traktowany jako własny, więc wpisany osobisty system wartości. Zjawisko to stwarza interesujący efekt zanikania autora klasycznym sensie. Paradoksalnie, indywidualizm prowadzi wprost do „zniesienia” autora jako autonomicznej jednostki twórczej.

Po drugie, nie ma najwyższego, hierarchicznie nadrzędnego autorytetu ponad jednostkę, monadę. Co znaczy praktyczny brak kryteriów odróżniających artystę, twórcę, od zwyczajnego uczestnika kulturze; każdy dziś jest „aktywnym autorem” – powyższym sensie.

Monadą mogą się łączyć ze sobą „szeregowo”, ale nie wertykalnie. Bo nie ma też chwili kogoś takiego, jak najwyższy autorytet, znawca, ekspert. Ktoś inny jest dla mnie autorytetem dopiero wtedy, kiedy „ja” potwierdzą, czyli przekażą dalej – element jego mądrości. Ale tej sytuacji „znoszę go” jako autorytet, bo dopiero ja jako arbiter waloryzuję go, przyznaję mu pozycję rangę „moim” systemie. To, co on mówi/robi, ja też mówię (jego słowami) robię, zwykłej wypowiedzi, brzmień to będzie mniej więcej: „mędzec ów ma rację mówiąc, że...” To „ja” nobilituję jako słuszną, trafną, wypowiedź autorytetu, nie on mnie. Każdy jest jednak kompetentny, zwłaszcza zdolny do równorzędnego życia, ekspresji.

Po trzecie, brak autorytetu bierze się nieustannie od dziesiątków lat rewolucjonizowania kultury, sztuki, wartości. System oficjalny, tj. społecznie dominujący, zostaje zakwestionowany jako funkcja władzy, opresji, dominacji. Ciągłe podważanie, podawanie wątpliwość jest obowiązującą normą; wiadomo: krytykować coś, nawet bezmyślnie, jest łatwiejsze dziś bardziej uprawnione niż kiedykolwiek. Krytyka – jakakolwiek, czyli negacja, odrzucenie, dokonuje się nie tyle imię meritum, co właśnie na zasadzie dystansu wobec „autorytetu”. Teraz ty się broń pokaż, że nie jesteś tym czy owym, Dowodzenie, odrzucenie negacji jest praktycznie niemożliwe. Dowiedz, że nie jesteś wielbłądem – głosi stare szydercze powiedzenie.

Prawdopodobnie podobną sytuację do współczesnej miał na myśli Friedrich Nietzsche, kiedy pisał nagłej karierze Sokratesa – mędrcą, szydercy, którego dialektyka pozwala na stawianie pytań znaczenie dawnego systemu wartości – poprzednio nie kwestionowanego. Dziś takich „dialektyków” ubogiego ducha są miliony – struktura społeczna ulega degeneracji, widziana jest jako dekadencja. Dawny znawca, ekspert smaku, został dziś wydrwiony, sponiewierany. Wszelki status quo reprezentuje bowiem stan całkowitej represji, na który to stan trzeba przypuścić atak.

**

Jak ująć, jak zrozumieć (pozorny) chaos współczesności? Leibniz bodaj jako pierwszy próbował ująć warunki indywidualności – przeciwieństwie do niwelującej filozofii „cogito ergo sum”, czyli poznania egzystencji jednostki jako elementu szerszej klasy – po prostu „każdego”.

Monadą „czyli to, co jest jedno” charakteryzuje się dwiema cechami: postrzeganiem dążeniem. Skoro każda jest odrębną, toteż nie można sobie wyobrazić, aby dwie monady postrzegały jednakowo ani

aby dążyły dokładnie do tego samego. Są podobne, ale nie identyczne; reprezentują odrębne punkty widzenia, odmienne „osobowości”. Na każdej świąt załamuje się inaczej. Innymi słowy – widzą jasno wyraźnie, ale każda inaczej; nie jednakowo, jak koncepcji Kartezjusza.

Czym więc jest ów „świat” stanowiący jednak wspólny układ odniesienia, rzeczywistość wszystkich jednostek? Zasadniczo konstruktem monad dominujących. Leibniz nie wyraża się jasno – ani tym traktacie – „Zasadach filozofii, czyli monadologii”, ani we wcześniejszym „Zasadach natury łaski opartych na rozumie”. Można jednak interpretować jego myśl, iż monada dominująca to ta, która najlepiej wyraża siebie. ponieważ każda monada „stanowi na swój sposób zwierciadło wszechświata” (§63), tedy ta, która wyraża siebie, określa zarazem ów świat danym czasie najtrafniej, dominuje, czyli zestraja inne monady we wspólnym postrzeganiu dążeniu. Tym samym „ja” staje się czynnikiem najważniejszym, bo „ja” jestem/mogę się stać monadą dominującą. Zarazem „ja” zanika chórze niemieli identycznych głosów.

Innymi słowy: jestem więc tą jednostką – twórcą, poetą, myślicielem - której tendencja najlepiej zgadza się dążnościami innych, choć nie potrafią one wyrazić swych pragnień tak trafnie, jak monada dominująca.

Stąd radykalny indywidualizm, co jest osnową oświeceniowego poglądu – całkowitego zaprzeczenia społecznej odpowiedzialności, zasady podporządkowania jednostki wartościom grupy; dominacji obowiązków nad uprawnieniami. Rządzi zasada nakierowania na jednostkowy podmiot jako źródło wartości. Tylko „ja” jest źródłem wartości: nie ma znaczenia, kim jestem, ważne, że „ja”. Przeświadczenie to brało się arogancji rozumu, wiary potęgę człowieczego intelektu, opinii oświeconych, ponieważ ludzie nie są stanie przeniknąć tajemnic rzeczywistości, przeto praktykowano sztukę zwątpienia, ironii, dystansu. Stałość rozumu uznano za jego wielkość, małość – za sposobność do godno-

ści. Rozum jest ograniczony, ale pragnienia człowieka – nieograniczone. Życiowe porażki postaci, zwłaszcza literackich późniejszych francuskich egzystencjalistów - za tytuł do chwały.

**

Odnotowane zjawiska – indywidualizmu permanentnej rewolucji kulturze występowały wcześniej, ale nigdy chyba takim natężeniu. Poza tym były hamowane, temperowane przez cały system owych filtrów. Obecnie zmiany przekroczyły próg ilościowy, tworząc nową jakość.

następstwie tych zwłaszcza dwóch procesów nie sposób dziś doszukać się miarę bezstronnej oceny dokonań poetyckich. Tendencje kulturowe wraz zanikiem niezależnej krytyki literackiej (dawnym stylu) sprawiają, że nie wydaje się ogólnie możliwy dyskurs aktualnej twórczości poetyckiej. Stąd powyższym szkicu czytelnik nie znajdzie tego, czego być może się spodziewał: przedstawienia tendencji nurtów artystycznych. Uwagi te stanowią raczej tylko próbę określenia ramowych warunków wspomnianej pierwszej części tego szkicu nowej sytuacji społecznym funkcjonowaniu poezji, związku tym – kształtu samej poezji. Media społecznościowe doprowadziły do niepoohamowanego wzrostu, zgoła terroru indywidualizmu. Każdy zbiór wierszy, każdy utwór, ba – każdą wypowiedź należy rozpatrywać jako klasę dla siebie. Ów zanik zróżnicowania, utrata hierarchii wypowiedzi związana unieważnieniem społecznie akceptowanych (względnie) kryteriów oceny wiersza następuje na skutek „szeregowego” połączenia tekstów poetyckich.

Jaki związek ma ta sytuacja jakością współczesnej twórczości poetyckiej? Nie sposób ocenić to jest właśnie istotą współczesności. Sam internet jest stanie żywiołowego niekontrolowanego rozwoju. to dopiero wstępna faza. Na pierwszy rzut oka panuje wielki chaos, którego zacznie wyłaniać się nowy porządek.

CZESŁAW KARKOWSKI



Marek Naszczak

Krystian Medard
Manteuffel

DZIKIE JABŁONIE

ESEJ

(impresje po lekturze książki Jerzego Szatkowskiego
„To tak nieprawdopodobne, że aż prawdziwe”)

- Dzikie jabłonie – powiedziała Ruth. Powiedziała te dwa wyrazy tak wyraźnie po polsku, że nigdy wcześniej nie zauważyłem, że niektóre polskie wyrazy mają takie szczególnie swoiste brzmienie, a my wymawiamy je tak niedbale, że dopiero cudzoziemiec, gdy wczuje się w ten słowiański język potrafi oddać ich niepowtarzalność. Opowiadałem jej właśnie, chyba już dość długo, o Stedzie i Brunie; chyba już dość długo i chyba nie był to epitet dla tych dwóch poetów, lecz po prostu zbliżyliśmy do miejsca, gdzie one rosty, te dzikie jabłonie i od pewnego czasu słuchałem sam siebie. Wczoraj jeszcze idąc na spacer, fotografowałem je; na gałęziach wiszą jeszcze jabłka. Ruth, którą sprowadziłem tutaj w roku 1944 polski jeniec wojenny, tłumaczyła mi ich pochodzenie. Wrócić jeszcze w odpowiednim momencie do tego.

Książka nosi logo wydawnictwa „TEMAT”. Przed paroma godzinami przeczytałem i zamknąłem tę książkę. Od początku, gdy książka się ukazała, do jej przeczytania namawiali mnie usilnie moi przyjaciele, którzy są też przyjaciółmi autora. Tak czasami bywa, choć z samym autorem nie znamy się osobiście. Szczerze mówiąc to ktoś mnie wpuścił w tę lekturę polecając mi ją jako książkę o Brunie, a ja biorę wszystko w czym go znaleźć mógłbym. No i rzeczywiście. Chociaż ta książka jest autobiografią Jerzego Szatkowskiego to o samym Szatkowskim można dowiedzieć się najwięcej ze słowa wstępnego Dariusza Lebiody. A Dariusz Lebioda, który Szatkowskiego znał, jak rzadko kto, pisze o autorze:

„Každy, kto autentycznie interesuje się polską literaturą współczesną, kto śledzi jej linie rozwojowe i punkty dościa, kto zna historie Bursy i Wojaczka, Obarskiego i Rationia, nie może nie wiedzieć kim jest Jerzy Szatkowski. Już edycja pism wybranych Bruna i obecność w życiu Stachury (...) spowodowały, że wszedł on do uniwersum kultury polskiej, a przecież sam jest też niezwykle twórcą, innowatorem języka polskiego, lirycznym codzienności i wieczności zarazem, artystą chwil jaskrawych i jakże złowieszczo przemijania.”

A więc, jeżeli rzeczywiście ktoś jeszcze nie wie, choć to nieprawdopodobne, to powinien książkę przeczytać, bo jest prawdziwa i szczerą. A szczerłość Szatkowskiego okazuje się w samym fakcie, że jest to książka o Ryśku Milczewskim-Brunie, o fragmencie jego biografii; w jego życiu obok Stachury (patrz wyżej), był obecny Szatkowski. Rozmawiałem o tej książce z Jerzym Grupińskim: uważa ją za niecodzienną i kwalifikuje ją do prozy poetyckiej.

Więc recenzować książki nie będę, nie śmiem. Liczyłem na wywołanie duchów Bruna i Steda, i mam satysfakcję. Po raz pierwszy pojawili mi się, gdy leżałem w malgynie po operacji serca w Tybindzie. Utrwaliło mi się to tak sugestywnie, że dziś jeszcze to widzę. Zapisalem, gdy było mnie już stać na to i wystalem do żony jako jeden z listów:

...piwo

„Ruszaj się, Bruno, idziemy na piwo, niechybnie brakuje tam, nas...”
śpiewanie Steda

...byli u mnie obaj!

Myslałem, że dusze ich mnie tutaj nie znajdą, a oni bez słowa tak weszli, jak gdyby to była niedziela sierpniowa, jak dawniej w naszym ogrodzie pod gruszą.

Cóż, wiesz – me serce takim wizytom jest rade,
więc lałem im piwo, a oni śpiewali...

Czy piłem wraz z nimi?

Sam piłem, wszak oni już zmarli,
nie pija się piwa z duchami.

P. S.

...co u mnie? ...nic, tylko czasami poboli, poboli, przestanie... -

Twój K.

No więc, gdy już zamknąłem okładkę książki Szatkowskiego, a głowa szumiła, a to, co w głowie ulatywało daleko od niej niespodziewanie, jako pierwsza pojawiła mi się refleksja optyczna: to ta kora na apli okładki, stara, bruzdami porwana kora starego dębu, i teraz, gdy książkę zamknąłem, jakby wróciła na swoje miejsce, zamknęła, zastąpiła goły pień drzewa, który był dla mnie cały czas odstonięty, a ja badałem kolor jego tyka, drogę korników, a potem stojąc za stojem, tę metrykę drzewa. Że jestem z zawodu papiernikiem, uczono mnie jak czytać zyciorysy drzew, które dla papiernika są surowcem do produkcji. Brutalne? Pasjonujące! Bo po przecięciu pnia stojąc w tym samym drzewie drugiemu stojowi nie jest podobny, gdyż kształtowały się one w różnych klimatach, czyli pogodach (ducha?). A można w nich odkryć też rany. Przez chwilę tylko pomyślałem sobie o wydawcy książki, także moim przyjacielu i poecie, że zaiste głęboko metaforyczna jest ta szata graficzna autobiograficznej książki. Aby dowiedzieć się prawdy o drzewie trzeba więc drzewo w pierw zabić i tego trupa rozciąć przez wszystkie warstwy jego życia; sekcja zwłok, czyli autopsja.

Pomyślałem tak, uśmiechnąłem się, uśmiechnąłem się we mnie wampir, i podszedłem do okna. Że niby, aby spojrzeć na szerszy horyzont. Ale wiem, że musiałem zrobić coś, aby stworzyć sobie dystans od tego, co przeczytałem, do siebie samego.

Za moim oknem na horyzoncie jest

jesień. Mój dom stoi w kotlinie otoczonej zboczami gęsto porośniętymi drzewami liściastymi wszelkich gatunków; może tylko za wyjątkiem wierzb rosochatych, co to nad Zgłowiączką, topól strzelistych, strażniczek dróg kujawskich, olch na rozlewiskach Wisły i lip, co stały przed moją rodzinną chatą kujawskiego miasteczka. A przecież ta mozaika barw na obcym horyzoncie, do złudzenia przypomina „złotą polską jesień”; drzewom przyrasta właśnie kolejny stój jego zyciorysu i korona ogłasza to barwą liści. Mogę z tej odległości, po kolorze jesiennych liści, rozpoznać gatunki drzew. Najwięcej jest tutaj buków. Impozujące to drzewa: ich kora koloru stali, konary rozgałęziając się tworzą zgrubienia na podobieństwo męskich bicepsów u ich nasady, gdzie zbiegają się linie naprężeń. A korzenie ich, wyrastając pomiędzy marglowych skał, kłębią się na powierzchni jak zwoje potężnych węży.

*

Wracam do książki czekającej na mnie na biurku. Rozchyłam korę. Szatkowski:

„Po rozwiązaniu związku małżeńskiego przez rozwód, po opuszczeniu domu rodzinnego, Bruno (poważnie schorowany, psychicznie rozbity, zżerany alkoholizmem, zamieszkał u mnie w Antoniewie. Odstąpiłszy mu (Iwona i ja) maty pokój, zagwarantowaliśmy mu też wikt i opierunek (gratis!). (...)”

I dalej:

„Pamiętam, jak Bruno obdarował pewną panią do wzięcia aż trzema wiadrami kwiatów. (...) Podarunki Bruna były zawsze oryginalne.”

Próbuję zsynchronizować ze sobą czasowo mój obraz z obrazem zapisanym już w pierwszych słowach w książce Szatkowskiego. W roku 1968 mieliśmy już, ja i Bruno, wydane po jednej książce w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej i trochę opublikowanych wierszy i prozy w bydgoskim „Pomorzu”, w „Faktach” i w kilku innych czasopismach. Ja mieszkałem wówczas w Świeciu nad Wisłą, a więc prawie po sąsiedzku przez Wisłę. Mogliśmy już wymienić między sobą te pierwsze publikacje.

Na początku lat siedemdziesiątych wyjechałem do Finlandii na praktykę produkcyjną. Tam napisałem ten wiersz, a pamiętam, że przywołał go jakiś bezdomny pies, który od kilku dni pojawił się przed drzwiami leśnego hoteliku fabryki celulozy w Rovaniemi:

...abol

„Straciłem zęby w podrózach - do Abol?”
Bruno: Kilka próż do moje trzydzieste urodziny

...Tobie wciąż ten bimber warlubianych tęsknic
od serca aż do serca zmyśla wierszem „Abol”.

...tylko pies ci liże wyciągniętą rękę, →

że dziw to, bo psów dużo, ale wiary mało
 ...ja tutaj w Finlandii skaczę na oluta,
 chmiel mi z uszu wyrasta i zaraz zamarza;
 nie ma kraju ABOL, dałem się oszukać,
 idea mi zdechła, a tak dobrze żarła.
 ...tutaj białe noce... albo nie tu, albo?..

Że książki dedykowane mi przez Bruna szczególnie sposób zachowały się, to cud. Gdy wyjeżdżałem do Niemiec maluchem (to były lata osiemdziesiąte) musiałem oddać wszystkie książki za wyjątkiem słownika, nawet maszynę do pisania celnikom, na co otrzymałem pokwitowanie na odbiór powrotnej drodze. Potem dwóch przyjaciół zdecydowało się przewieźć kilkadziesiąt książek pod sztuczną podłogą żuka; postawili na tym bańkę ropą, bańka się przewróciła. Szczęśliwie nie było tam książek Bruna. Dziś, są już dość słabe, nie wożę ich już tam nazad.

Przyjeżdżała też Irena. Rozumiał się Kamą. Zresztą Bruno też był bardziej otwarty wobec Kamy, niż wobec mnie. Książki też dedykował tak, jakbym ja nie istniał. „Szył” do niej? Irena nie kryła przed nami troski powodu jego niefrasobliwości. Dziś wspominamy to Kamą, jako obawę niego. Cieszyła się, gdy był nią, często ginął gdzieś Polsce razem ze Stedem. Bruno był bardzo wrażliwy, powiedziałbym miękki, choć może na takiego nie wyglądał. Szczególnie wobec Kamy otwierał się ze swoich kompleksów, płakał. Powiedział kiedyś, że chciałby, aby było nich tak, jak nas. Pewna rezerwa między nami wytworzyła się powodu mojego zaangażowania politycznego; oni obaj nie interesowali się polityką, jakby bali się tego aspektu lub wręcz brzydili nim. Ja byłem pewien, że gdyby weszli te sprawy, mogliby się pięknie swej poezji dopełnić. Może wybrałby końcu życie...

Cóż, czas mijał, mnie udawało się coraz rzadziej coś opublikować, oni na moich oczach stawiali się legendą. Zresztą praca zawodowa pochłaniała mnie. Pojedyncze wiersze ginęły teczce. Niektóre publikuję dopiero dzisiaj.

Ta wspominka Szatkowskiego trzech wiadrach kwiatów zatrzymała mnie przywołała coś prawie analogicznego. To było tak: Gdy byłem na szkoleniu Finlandii przyjechała do nas, do Świecia, moja mama, aby pomóc prowadzeniu domu. Świeciański kombinat celulozowo-papierniczy był „wielką budowlą socjalizmu”; najnowocześniejszą na tamten czas technologię zakupiono Finlandii Szwecji, ale wkrótce okazało się, że do tych nowoczesnych urządzeń trzeba było szukać ludzi. Kama jeździła niedzielę, że wioski przy pomocy proboszczów organizowała werbunek po mszy. Zresztą także surowca brakowało; linia celulozowej wiskozowej bazywała na krótkowłóknistej celulozie drewna bukowego. To był wyrok na zasoby buka Bieszczadach. (Siekierzada. Wróć do tego.) To było właśnie wtedy, gdy byłem Finlandii moja mama uznała, że Kamie trzeba pomóc prowadzeniu domu. Kama tego nigdy nie zapomni: Było wcześniej rano. Szykowała się do wyjścia do pracy. Rozgardiasz. Śniadanie. Wyprawianie Pawła do szkoły. Dzwonek do drzwi. Bieganie Kama biegnie też mama. Wpada Bruno. Kama do wyglądu do kondycji Bruna była przyzwyczajona, ale mama miała ochotę wypchnąć nieproszonego

gościa, gdy był jeszcze jedną nogą na klatce schodowej. Bruno jednak nie dał się, wszedł nie bardzo zważając na przeżoną starszą panią.

- Kama, gdzie masz łóżko?
 że rozkładzie mieszkania był oblany, więc nie czekając na zaproszenie, kierował się do tego miejsca, które teraz interesowało go wyłącznie bez reszty; po to tutaj przyszedł. Pościel była jeszcze ciepła. Trudno było Kamie zamknąć sprawę przed teściową naiwnym wyjaśnieniem: - Mamo, to nie mój przyjaciel, to przyjaciel Krystiana.

Do mamy nie docierało. Gdy Kama wróciła pracy Bruna nie było, mama zapomniała po co przyjechała, spakowała rzeczy, siedziała przy walizce, milcząc czekała, abym ją odwiózł do Włocławka. Dopiero pod wieczór Bruno zjawił się wiadrzem kwiatów „dla starszej pani”.

„*Położyłem się wieczorem obudziłem się rano. Tak powiedziałem. Ech. Gałązko Jabłoni, co ja widzę? (...) Przecież to jest jedno najpiękniejszych zdań świata, to jest olśniewające, to jest snop światła same oczy, same usta. Jak mogłem tego nie zauważyć? Ile razy wypowiedziałem to zwyczajnie proste zdanie, nie zdając sobie sprawy, nie widząc, ślepy, że to jest przecież cud, opisanie cudu.*”

To Sted, „Siekierzada”. Książka zjawia się na biurku obok książki Szatkowskiego. Przekartkowałem obie, coś zjadłem wyszedłem. Nic nie napisałem. Teraz jeszcze przyplątało mi się to odkrycie Steda, że można się było nie obudzić, się obudziło. tym czasie przy pozyskiwaniu surowca dla budowli socjalizmu Świeciu nad Wisłą pracował ciężko Bieszczadach. Nie tym jednak chcę teraz pisać, jeśli do tego wróć, to na koniec. Książka Szatkowskiego przywołuje mi obrazy rozsypane, pomieszczone innymi, przecież nieprawdopodobnie prawdziwe. Pisałem gdzieś, że Steda spotykałem zawsze Brunem, oto te migawki: bluza, gitara balon fermentującymi dzikimi śliwkami. Musiało być wtedy chłodno, może nawet zimno, gdy Sted przyszedł do nas samej koszuli wciskając siebie gitarę jak grzałkę.

- Gdzie pan przepił swoją bluzę? - słyszę głos Kamy (Kama mówi do siebie „pan”, „pani”).

Sted: wyciąga przed siebie gitarę.
 - Bydgoszczy na rynku, za tą gitarę.
 Kama mówi dziś, że dała mu wtedy jakiś mój sweter, czego ja już nie pamiętam, ale musiał być chyba trochę za duży na niego.

Wróciłem wyżej kilka zdań *Siekierzady*. Znalazłem je baz trudu (dużo książek mam Polsce, ale część Stachury mam tutaj). Teraz, gdy idę, przypomina mi się inny obrazek tej książki: balon fermentującymi śliwkami Pana debata Stachury Peresada jaki sposób można by się dostać do zawartości tego balonu. Balon fermentującymi śliwkami. Czy to było wtedy, gdy pohandlowałem bluzę za gitarę? Nie pomnę. Poszedłem ze Stedem, bo miałem pokazać mu nasz ogródek działkowy. Odkupiłem go za grosze, bo był zupełnie zapuszczony, „był zapuszczony” między innymi dzikimi śliwkami, które rosły po całym tym pięćsetmetrowym areale. Śliwki, chociaż dziko zrodzone nie szlachetne, były soczyste, smaczne, że nie dało się ich przejeść trafiły do balonów. te balony bardziej zainteresowały Steda, niż sama altanka, którą chciałem się pochwalić. Specjalistką od pędzenia była Kama, mająca praktykę laboratoryjną.

Ona też postarała się zestaw destylacyjny. Sted miał przyjechać znów, gdy będzie „pędzenie”. No, dziwne, bo Kama pije wódkę tylko łyżeczką.

- Ech, Sted... No co? Wiem, już nie przyjdiesz.

*

Nieprawdopodobna opowieść Szatkowskiego jego peregrynacji Brunem po knajpach poruszyła mnie najbardziej opisem dramatu bezdomnego psa. Mam otwartą stronę numer 8, gdzie to się zaczyna: Obaj, Bruno Jerzy, chcieli uszczęśliwić bezpańskiego psa, który właśnie liczył na jakiś ochłap „Taniej Jatkii”. wywłoka to był. *Istny szkielec. Przypominał rozciągniętą harmonijkę*. Kupili schaboszczaka razem talerzem, ale nieborak nie był nawykły do takiego uszczęśliwiania na stronie 55 zdechł konwulsjach zabierając do żywota wiecznego uczucie tytości, pod powiekami obraz dwóch poetów altruistów. Pewnie takich nie spotkał nawet tam, gdzie odszedł, choć skrzydlaci tubylcy mogliby mu się kojarzyć drobiem.

Znów łaziłem, bo piękny, słoneczny, jest ten początek października tej dolinie, gdzie mieszkam pół roku, gdy nie mieszkam drugie pół roku dolinie Białych Kujaw czuję, jak wnikiem tę polsko-złoto-jesienną szatę, która nie była polska. Dotykam policzkiem szorstkich bruzd na korze starego dębu, otwierają się stój za stojem, nie, to kartki książki Jerzego Szatkowskiego niech mi Jerzy Szatkowski daruje, że to tak wygląda, jakbym ja wcale nie jego książkę pisał tylko leciał nad tym wszystkim lotem szarej czapli.

Mgła zawisała nad doliną:

...znalazłem sobie miejsce przy tej ulicy;
 nawet ładne.

Ten pies szczekał na mnie zajadle,
 gdy spotkał mnie po raz pierwszy.

Za drugim razem
 - obwąchał moje obce ciało poszedł.

Ale teraz już
 podnosi przyjaźnie tylną nogę
 sika na moje dziurawe buty...

To pies Ruth. To osobna historia. Ta mgła nad doliną pozostanie aż do zarnia. Słońce, gdy wreszcie wychynie spoza zbocza od strony wschodniej przeniknie przez tę chmurę, potem przesuwa się tuż nad południowym zboczem tak, że to zbocze jest praktycznie zacienione, właśnie to przeciwległe, na którym ja mieszkam, jest nasłonecznione. Za kilkanaście minut słońce wędrujące po łuku, schowa się wreszcie tak, że rzuci cień na całą dolinę także na okna mojego domu. Dzień jest więc tej szwabskiej wiosce krótszy niż gdzie indziej, uliczki pustoszej stają się dłuższe, biegną południa na północ jak bieguny kołyski rozpoczynając kończąc swój bieg na krawędzi stoków doliny, dalej już tylko łąki, żółte poletka łubinu, kukurydzy łąki, potem zaczyna się królestwo buków porastających zbocza. Czasami rzeczywiście przypomina mi to krajobraz *siekierzady* tak prawdziwie, że aż nieprawdopodobnie. Teraz nie ma kwiatów przed domami.

Gdy przestali hodować świnie dawnych gnojownikach, które szwabskich wioskach robione były przed domami, aby wygodniej było gnoić przerzucić do fury, pojawiły się nich kwietniki, świerki tuje.

Ciekawa ta ziemia. Ludzie; Niemcy, przecież nie Niemcy, tylko Szwabi, podkreślają swoją odrębność. Taki jeden policjant podczas okupacji moim rodzinnym Brześciu Kujawskim, gdy rozmawiał moją mamą, nie zapomniał podkreślić: *ich bin kein Deutscher, ich bin Bayer*. Ale śmierć nie rozróżniała. Zastużył? Był okupantem. Ja, gdy tutaj przyjechałem, nie byłem dla nich Polakiem ani okupantem; ważne było, że byłem obcy, obcemu trzeba się dobrze przyrzec. Więc przyglądali się. Najprędzej zaakceptował mnie pies Ruth; pojawia się koło mnie najróżniejszych miejscach okolicznościach, gdy serce wysiadło, chcieli dać mi jakieś tutejsze.

*

W końcu otworzyli się ci parafii ewangelickiej, starej, ci kościoła katolickiego, który trzeba było wybudować, gdy po wojnie tyłu ich tutaj przyszło ze Wschodu. Opowiadają chętnie. We wszystko wierzę. Ruth miała mi pomagać opanowaniu niemieckiego, ale ona nie zna niemieckiego; mówi domu po szwabsku, który ma się do niemieckiego, jak kaszubski do polskiego, więc coraz chętniej sięga do polskiego, którego uczył ją tata. Ruth nazywa się Schuck, wymawia się Szuk, ale jej ojciec nazywał się Żuk, czego Ruth nie może wymówić chociaż wymawia tak ładnie: *dzikie jabłonie*. Polski jeniec wojenny trafił tutaj dzięki swojej profesji; był szwaczem, tutaj akurat wysegregowano spośród jeńców wojennych tych nieocenionych specjalistów, aby robili buty dla dzielnych żołnierzy niemieckich na drogach bezdrożach Europy. Także miejscowym mężczyznom kazano walczyć za Adolfa. Ruth nie wie już dokładnie jak do tego doszło, że jej mama, Szwabka jej tata, Polak to czasie, gdy mogli za to zapłacić życiem. Mama mówiła jej, że chlewiku, którego już teraz nie ma, był kojec dla prosiaków tam schowała tatę. Po wojnie mieli jeszcze jakiś czas świnie Ruth opowiadała mi jak tatą mamą zbierali dla świnń orzeszki bukowe jabłka dzikich jabłoni rosnących na łąkach.

Ruth towarzyszy zawsze ten wielorasowiec, Bury. Dzięki niemu poznałem Ruth. Teraz biegnie obok, rozgrzebuje mysie norki, gdy gryzonie wyskakują na powierzchnię, zżera je; nie, on je chyba połyka żywcem.

Ruth chwyta przyciąga do siebie gałązkę, patrzy na mnie mówi wolno wyraźnie:

- Gałązka jabłoni.

Zdaje mi się, że całej opowieści *siekierzadzie* zapamiętała powieści Stachury tylko tę metaforę. Już gdy pierwszy raz jej to opowiadałem. Zafascynowały ją te dwa wyrazy dopiero po jakimś czasie zorientowałem się, że to brzmienie zgłosek: ...*abt...* tak ją zafascynowało, że postanowiła się nauczyć tej niespotykanej języku niemieckim wymowy. ...*abt...* *jabłoni*. Teraz ja zwróciłem uwagę na to, że wymawiam ten dźwięk nonszalancko, to przecież tak plastyczne, niepowtarzalne, polskie.

Zapytałem ją kiedyś skąd tutaj tyle tych dzikich jabłoni.

- To tutaj Herr Gott Paradis zrobił – opowiedziała absolutnym spokojem. - Hier był Eden, tutaj żyła Ewa jadła jabłka. Du weißt das doch aus der Bibel.

No oczywiście, biblii. Wiem.

- Jabłko – poprawiłem. - Jedno jabł-

ko. Zjadła - jedno - jabłko.

- Aber nein, nie jedno. Jabłka gerne, jadła oft und herum te, no...

- Ogryzki. O-gryz-ki – przyszedłem sukurs.

- Ja, ja die und szucała die herum.

- No dobrze. Ale to była jedna jabłonka, jednego gatunku, tutaj rosną różne, czerwone, żółte, szare.

- Ihr, alle Polaky, sind so... zweifler. (*zweifler – nieufny, sik*) No... może Herr Gott viele Abfelbäume setzte hin. An die Bibel nie można so sehr...

- Bardzo ufać? Nein, nicht bardzo ufać. Alles klar?

Nie jest klar, dziewczyno. Skąd ty się wzięłaś? Przecież Ewa miała tylko chłopców, dwóch lorbasów, którzy nie bardzo się kochali. Skąd więc ty się wzięłaś. ty, ja, ci dwaj poeci, których myślę? Nie zapytałem to; mój język niemiecki jest ciągle bardzo staby, po polsku Ruth nie wszystko rozumie. Czy Ruth lubiła te jabłka? Rzuciła za siebie ogryzek jabłka, za ogryzkiem pobiegł Bury zrobiła się balanga, bo tam, nad strumykiem, stała szara czapla, która teraz wzbija się tomatem skrzydeł. Bury skoczył, aby chwycić jeszcze jej długie nogi obrzucił ptaka psimi wyzwickami. Dużo jest tych czapli tutaj trudno je zauważyć, gdy tkwią zaczajone na zdobycz, są wtedy jak patyk wsadzony ziemię. Ale gdy rozłożą skrzydła, trudno oderwać wzrok od ich majestatycznego lotu.

*

Pobłogostawiony na bonifatra?: / Handlowałem świniami - poznałem się - na ludziach / Rozładowywałem wagony młotków / Prostowałem baranom rogi / Tudzież banany porcie / Szyłem pokrowce - na co większe - pałace kultur / Opitem kilka browarów - ty-leż - / przespałem kościotłów / Straciłem zęby podróżach - do Abol? / Sławomir to syn Yrta / moja żona - / O, do oczu mi nimi - wiele gorzej - - / Oglądają mnie zwierzęta / Wykpiwa kapusty poezja / Ćma moich snach się mota - Za czerwono / pod pachami siwieję - - / Hajdawery ściagnę chyba / do tyłka śpiewać zejdy - albo dalej - -

Dobra ta moja szczęśliwość

Bruno: *Kilka próz na moje trzydzieste urodziny*

*

Wróć do domu położę się myślą, że zasnę, będzie mi się śniło, że nie śpię obudzę się rano. Może skończę pisać, bo wiem już co napiszę na koniec bardzo, bardzo mi się nie chce tego pisać. Oj, „Gałązko Jabłoni”...

„...ja wierzę ten cud, że jutro wstanie słońce, wierzę ten cud: że ona, Gałązka Jabłoni, położy się wieczorem obudzi się rano, że ja położę się wieczorem obudzę się rano, że już niedługo: razem, blisko siebie, położymy się wieczorem obudzimy się rano.” (Sted - „Siekierzada”)

„Słońce, póki co, zachodziło kończył się dzień.”

- Sted, ech Sted...

*

- ...dzień, jak każdy dzień,

nikt prawie nie dostrzegł,

że jest to dzień, po tym dniu,

którym poeta zmarł...

- ...nie, on tylko odszedł

- ...dzień, jak każdy dzień, gdy swoje wiersze pisał...

- ...nie, on ich nie pisał

- ...gdy struny gitary uderzał...

- ...nie, on nie nie uderzał

- ...gdy swoje ballady śpiewał...

- ...nie, on...

- ...ale ta jabłoni!.. ona rosła tutaj, dzika

dzień,

dzień...

- ...nie, ona już nie zakwita

(to ja po śmierci Steda)

*

... międzyczasie znów był grudzień, znów ludzie wyszli na ulice. Te „niepomyślne wieści”, ten „grudzień”- to metafory tamtych czasów. Ale gruncie rzeczy nawiązuje on do naszego ostatniego spotkania, ze Stedem Brunem. Było to po ukazaniu się *Siekierzady*. Sted przyjechał Brunem do mnie, jak zawsze bez zapowiedzi. Musiałem iść do pracy, byłem wtedy głównym dyspozytorem produkcji „Celulozie” Świeciu moim pierwszym obowiązkiem była analiza przebiegu produkcji za minioną dobę na naradę produkcyjną, tzw. „dyspozytorke”. Przyjechali do mnie do pracy. Pokazywałem im stopy drewna bukowego, które było wyrąbane beżliźnie Bieszczadach dla Świecia właśnie, dla tej „gigantycznej budowli socjalizmu” (po roku 1989 zaprzestano Świeciu przeróbki drewna bukowego *aby ratować Bieszczady*). Sted był tak bardzo zafascynowany pracą jako drwal, ja pokazałem mu na „obałki”, czyli drewno bukowe przycięte na metrowe kawałki mówiłem: „Widzisz, to są Twoje trupy. To ty je zabiłeś. Patrz na ciebie...”. Potem przeprowadziłem ich przez całą linię technologiczną, aż do finalnego produktu. Nad taśmociągami transportującym drobno porąbane drewno bukowe wisiał elektromagnes wyłapujący metal; były tam poprzyczepiane pociski karabinowe, które tkwiły bieszczadzkich bukach. Do dzisiaj stoją mi gardle te słowa, ostatnie, jakie mówiłem do nich, żywych. Ale zabolowało go to, ja nie znalazłem nic mądrego, aby go od tego, co powiedziałem, odwieść... Miałem wrażenie, że nigdy mi tego nie zapomnieli. Poszli obaj do naszego wspólnego znajomego, Janka Jakubika, który był pracownikiem komitetu partyjnego Świeciu wystarał się kasy pezetpeeru pieniądze na ich wieczór poetycki. Pili znów do rana... Ale już beze mnie. Dlaczego Sted wspomina swoim pamiętniku mnie Jakubika, instruktora komitetu powiatowego partii, nie wspomina Bruna? Dlaczego nie wspomina innych spraw, które się tego dnia działy? Cisza... Bam... Gdzieś jabłko spadło.

Od pierwszych słów, które przeczytałem książkę Jerzego Szatkowskiego, wiedziałem, że nie sama książka, lecz ten chaos wspomnień, który Szatkowski przywołał, pojawi się moim zapisie. Dlatego rzeczywiście musiałem wielokrotnie przerywać pisanie, odejść od książki, zaskoczyć szarą czapłą nad strumieniem, pod dziką jabłonią przywołać anegdotkę zastysznaną kiedyś od Ruth, skojarzyć ją sobie „Gałązką Jabłoni”, dać wiatru wysuszyć zawilgotniane czy, wrócić do biurka, zapisać, co pamięć przyniosła i... skreślić, co ma tylko przy mnie pozostać. Autor książki też nie zapisał wszystkiego. I tak już zostanie: poboli, poboli, przestanie...

NIEMCY, JURA SZWABSKA, 2012

KRYSTIAN MEDARD MANTEUFFEL

Jakub Ciećkiewicz

Cykl: Wesołe życie Jakuba Szpitalnika

Profesorowi Piotrowi Chłońcie,
który uratował mnie 5 września 2022 w ostatniej godzinie

Pieśń Orfeusza

widziałem Cię w smugach światła
promienną blondyneczkę iskiereczkę i chciałem...
chciałem, ale się zesrałem w łóżko
dwie salowe myły mi tyłek
w śmierdzącej ciszy upokorzenia
słyszałem brzęczące muchy wstydu
potem przynieśli protezę i mogłem chodzić do kibla albo gdzieś

byłaś tak zwiewna w wózku inwalidzkim
jak kwietniowa mgiełka albo delikatne fałdy arabskich muślinów
piliśmy kawę w kąciku pacjenta
opowiadałaś o chorobie trojgu dzieciach mężu szkole języków w Norwegii i o swojej książce

dzieliła nas rzeka czasu
a przecież chcieliśmy pić życie wiadrami
uciec na lodowiec do Laponii albo na Grenlandię
i było tak dobrze tak bezpiecznie tak niepewnie
że mogło się zdarzyć wszystko
a potem lekarka powiedziała „ma pan przerzut”

przenieśli mnie. Obok pokutował hipopotam który codziennie pił litr wódki
aż mu urósł nowotwór wielki jak katedra
ciągle rzygał bo nie mógł nic przełknąć
to był stary komuch współczesny biznesmen

przyszedłem do Ciebie w odwiedziny
z oliwną gałązką uśmiechu
z białym ptakiem radości
z latarenką nadziei
z koszem pachnących jabłek...
jechałaś
prosto w objęcia nocy,
w kanały nieczynnego metra,
w miejsca wilgotne, okropne...
cuchnące padliną.

Pogłodziłem Cię po policzku stejpowaną czarną taśmą
- szpitalny Orfeusz.
Złośliwa pielęgniarka powiedziała: „he, he, zakochał się.”
Pewnie, miłość ocala, ty cipo.

Wizyta u brata

Leży w pokoju samotnie, jak w celi, bo za bardzo się ciskał. Walił głową w poduszkę, wyrwał rurkę i wenflon.
- Było w tym coś strasznego – opowiada półgłosem pielęgniarka. – Atak bezsilnego gniewu. Musiałyśmy wołać psychiatrę...

Siostra jest wysoka jak sosna, pachnie lasem, rzeką. Szczupła. O długich, gęstych, włosach. Wielbłądzich oczach. Małych piersiach, długich nogach. Ideał.

- Dlaczego z taką urodą...

- Chciałam się opiekować dziadkiem – mówi cicho. – Miał cukrzycę...

Jej głos spływa jak miód z leśnej pasieki.

Niebo za oknem ciemnieje, kołysze się na sztachetach drzew.

Księżyc wypala dziurę. Wschodzi miękko. Można napisać wiersz... miłosny.

Stoję w szlafroku z workiem moczu. Złapałem dwie kurewskie bakterie, a jestem w szpitalnym wariatkowie od pół roku. Przywlokłem się do brata z urologii.

Bartek leży spętany jak zwierzę.

Umiera jak zwierzę.

Ręce związane rzemieniami. W nosie sonda. W pęcherzu cewnik. W krtani rurka od tracheotomii. W ramionach wenflony. Twarz skrzywiona, rybia. Oddech karpia na plaży oceanu cierpień.

Przez 68 lat był dzieckiem. Miał reumatyzm, ZZSK. Cierpliwie znosił ból i niedołęstwo. Więc dlaczego?

- Dlaczego... męki Jezusa nie przedstawiano naturalistycznie? – rzucam w ciemność.

- A kto by chciał wielbić brzydkiego? – pyta siostra.

Brat na mnie patrzy i chce coś powiedzieć. Porusza ciałem jak foka. Foka w sieci. Foka przybita do krzyża.

- Trzymaj się stary, dasz radę...

Mnie mówią: „masz mocny głos”, albo „dobrze wyglądasz, ja się na tym znam, zdrowiejesz”.

Kto by pomyślał, że wywrócimy się równocześnie.

A dziewczyna, dziewczyna... pije sok w recepcji.

- Miłego dyżuru.

- Dobrej nocy.

Ma zdrowe ciało, księżycowy uśmiech. I wszystko jeszcze przed nią.

Kwiat w gilotynie

Gilotyna starości tnie ostro nagle
czujesz bezsilny zapach moczu krwi ropy
z olbrzyma zmieniasz się w karzełka
pokraczniejesz
twój świat dawniej szeroki jak step
pustynnieje teraz mieszkasz w świecie celi
odbywasz podróże do toalety
wyprawiasz się do kuchni
czasem coraz rzadziej latasz liniami marzeń
ale to nie są dawne marzenia
zbiedniałeś
zaniedbałeś się
nosisz stare wymięte ubrania
czasem jeszcze zadzwoni syn albo córka wnuki
zajęte młodością już nie mają czasu
ani potrzeby

a przecież wczoraj było jaśminowo błękitnie słonecznie
wielbiłeś trunki i kobiety przemierzałeś zamorskie krainy i miałeś tyle planów
jednak
kiedy zakwitnie kwiat
który hodujesz na biurku
poczujesz się trochę lepiej

Joanna Sendłak

WIELOŚWIATY

Podczekał lotniska o lśniącej posadzce z kamienia. Na blaszanych ławkach drzemiał podróżni, środkiem petznie niemowlę. Wzywają pasażerów do Barcelony. Biegnie para z szarą walizką. Wojskowy samolot kołuje na pas startowy. Wózek bez bagaży kolebie się, podskakuje. Wysokie schodki przyspieszają na zakręcie. W szybie samolotowej kabiny błyska słońce. Samochód z przyczepką, schodki, wóz lotniskowego serwisu znikają za skrzydłem. Terkoczą walizki w formie klocków lego, ortalionowe na kółkach, czarne, różowe, plecaki, torby z czerwonymi uszami. Ktoś odrywa wzrok od gazety, dziewczyna z perłami i tabletem, cała na czarno staje w kolejce do odprawy. W dudnieniu silników, w drzeniu metalu unoszę się i znikam w kłębach pary wodnej. W górze otwiera się błękit.

Kolory, zapachy, szmery. Ciemnoskóry mieszkaniec Lizbony rozparty na obramowanym złocistym korkiem krzeselku metra uśmiecha się do ekranu smartfona. Obok mężczyzna w czapeczce nasuniętej na oczy czyta kieszonkowe wydanie *Snu nocy letniej* Szekspira. Żebrak uderza kijem w podłogę wagonu, budzi trwożę klekotem kubka. Korytarz lizbońskiego metra pachnie pomarańczą, odbija wonie dawnych dni.

A jeśli najmniejsze składniki świata nie są cząstkami lecz strunami – drobnymi włóknami energii, które drgając wytwarzają podstawowe zjawiska natury, to gdy bardzo się skupię, moje myśli zawibrują zgodnie z tkanką świata i gęsta materia czasu rozsunie się niczym kurtyna. Niedostępne będzie namacalne. Wychodzę na powierzchnię metra, ulicą kroczy słoń z czapakiem na głowie. Za nim skrada się lampart. Jego szyję obejmują kleszcze obroży. Niewolnik trzyma smycz, ma skórę ciemną niczym lamparcie cećki. W gwarze ulicznych rozmów bębni stukot gazelich kopyt. Orszak króla Manuela ozdabia stado papug. Nosorożec w obroży z zielonego aksamitu, biegnie do współczesności poprzez drzeworyt Albrechta Dürera.

Podczas pierwszego rejsu do Indii, w ciągu sześciu miesięcy pokonano trzydzieści tysięcy kilometrów. Król Manuel I rozkazał, by mapy i globusy robiono wytyczając dla portugalskich marynarzy, by zmylić weneckich szpiegów. Wyprawy po Oceanie Atlantyckim, Indyjskim, Morzu Czerwonym. Wielkie, drewniane żaglowce „naus” zwane karakami. Na Praia do Restelo bógostawiono żeglarzy, załogi w plusku wiosel płynęły na statki.

Jeśli w skali kosmicznej istnieją wieloświaty, wyglądałyby jak kieliszek szampana. Każdy bąbelek obrazowałby osobny wszechświat. Z murów Zamku Św. Jerzego patrzę na geometryczną tamigitówkę czerwonych dachów. Ulicami idą turyści, cenni niczym przyprawy, które składano w Domu Indii przy Paco da Ribeira. Pachnidła, perły, rubiny, szmaragdy z Indii, worki pieprzu, cynamonu, gałki muszkatołowej, goździków i rozmaitych korzeni, porcelane, jedwab, kadzidła czy mirry. Za patacem ciągnęła się Rua Nova dos Marcadores. W arkadach pięciopiętrowych kamienic otwarto składy sukienne, sklepy z tkaninami, z korzennymi przyprawami, apteki, aż jedenaście księgarni, sklepy z galanterią i biżuterią. A potem wszystko zniknęło, rozpadło się.

Prawda zdaje się relacją między teorią, a światem. To, co widzę staje się piękne, gdy

umysł sięga poza kurtynę rzeczywistości. Stać do królewskich stoni czerpie trąbami wodę z fontanny, dla zabawy oblewa stojących chłopców. Nad rzeką ustawiono szubienice, na nich, podobne do płaszczy, wiszą ciała skazańców. Przeciętni mieszkańcy Lizbony gnieżdżą się w labiryncie wąskich uliczek i uskakują przed wylewanymi przez okna odchodami.

Lizbona w październiku jest upalna. Siedzę w kawiarni obok Casa Antica Pessoa. Przede mną szary ażur Elewatora Santa Justa. Ulicą jedzie elektryczny rower z przytroczonego do bagażnika koszem dla psa. Brzęczą naczynia. Pachnie kawa szykowana w Copenhagen Caffée. Kobieta w czapce z terkotem ciągnie czerwony kosz na śmiecie. Na ławce śpi żebrak. Przed nim, na wystawie eleganckiego sklepu, przeciąga się satynowa, błękitna sofa. Przy stoliku obok, blondyn uderza w klawisze laptopa. Na czwartym piętrze domu ozdobionego kafelkami, przy drewnianym biurku siedzi Fernando Pessoa. Przed chwilą wrócił z biura mieszczącego się także przy Rua dos Douradores. Więc praca to życie – myśli. „W takim razie czwarte piętro, na którym mieszkam przy tej samej Rua dos Douradores, reprezentuje Sztukę. Tak, Sztukę, która mieszka na tej samej ulicy co Życie, tyle, że w innym miejscu. Sztukę, która czyni życie lepszym, lecz nie pozwala lżej żyć, która jest równie monotonna jak życie, tyle że w innym miejscu. Tutaj, Rua dos Douradores zawiera dla mnie znaczenie wszystkich rzeczy i rozwiązania wszystkich zagadek – z wyjątkiem tej, dlaczego istnieje zagadki, bo ta nie ma rozwiązania.[...]”¹ Przykłada bibułę do kartki i zaciąga się tanim papierosem. Z uchylonego okna, jak czas, wypływa smużka dymu. Nie wiem kiedy umrę. Nie wiem gdzie. Przy Rua dos Douradores, czy tysiące kilometrów stąd? Nikt, nawet Pessoa, w ostatniej chwili, nie wiedział co przyniesie jutro...

Październik, sobota. Wsiadam na stacji Markiz de Pombal. Rozświetlona Avenida da Libertade. Palmy, samochody, para z wózkami, wygięty platan, autobus 736 jadący do Odivelas. Jestem serfującym pyłkiem, który nie przewidzi własnej śmierci. Mija mnie półnagi rowerzysta, na bagażniku dudni rap. Na Avenida da Libertade stąpam po dnie zielonego akwarium. Pnie platanów stają się wodorostami, rzucają pod stopy kropelki światła. Armani, Dolce & Gabbana, Dior, Versace, krzyczą czerwienią dywanów. Zielona fontanna, zielona kawiarnia, zielony śmieciarz przebrany za cień platana. I czerwone Porché podobne do kropli krwi.

Więc co ma sens? Gödel i Einstein uważali, że świat zorganizowany racjonalnie istnieje niezależnie od naszych umysłów. Einsten dowodził, że nie istnieje uniwersalne „Teraz”, bo wszystko zależy od stanu naszego umysłu. Możemy się zgodzić, że dwa wydarzenia zachodzą w tym samym czasie. Gdy różnie postrzegamy przeszłość, terażniejszość i przyszłość, możemy uznać, że wszystkie momenty realnie współistnieją. Podobno upływ czasu zależy od ruchu i grawitacji, a podział czasu na przeszły i przyszły jest względny.

Pessoa został pochowany w klasztorze Hieronimitów. Obok powieściopisarza Herculano lecz daleko od grobowców Vasco da Gamy i Camõesa. Koszty budowy klasztoru finansował podatek nałożony na handel korzeniami i kamieniami szlachetnymi. Pewien florencki bankier i handlarz niewolnikami, Bartolomea Marchione, dodał słoną sumkę i dlatego słyszymy o jego istnieniu. Czy zależało mu na pięknie architektury?

Tramwaje dzwonią i stukają. Przypominają „zółte, olbrzymie, ruchome pudełka zapatek, w które dziecko zatknęło pod kątem spaloną zapatkę, żeby udawała maszt. Startując, gwizdzą głośno i metalicznie.”²

Wsiadam do numeru 25. Czuję ciepło wiatru. Wagon drży, klekocze. Słęka podpora okna z ciemnego drewna. Szyby zgrzytają na zakrętach. Mężczyzna w ciemnym kapeluszu nachyla się i szepcze konspiracyjnie:

„[...] W jadącym tramwaju potrafię, dzięki nieustającej i natychmiastowej analizie, oddzielić ideę tramwaju od idei szybkości, oddzielić je tak całkowicie, że stają się odrębnymi realiami. Następnie potrafię odczuć, że jadę nie w tramwaju, lecz w samej szybkości tramwaju. [...]”³

Ja nie potrafię oddzielić siebie od idei życia, wyprzeżować idei Bycia wykraczającego poza skalę mego istnienia. Jednak próbuję.

Pierwszy transport złota z Brazylii doplynął do Lizbony w 1699, za panowania Jana V. W 1720 na wybrzeżu przeładowywano dwadzieścia pięć ton złota. Klasztor i patac w Mafrze stał się portugalskim Wersalem, a królewska biblioteka w Paco da Ribeira miała wiele tysięcy książek, matematyczne przyrządy i zegary.

Kiedy wsiadam do metra naciągam na twarz maskę. Na Praca do Comércio widzę niewolnice niosące na głowach nocniki. Nieczystości wlewają do rzeki. Gdy jem sałatę w restauracji Batz widzę ciała martwych niewolników rzucone do rowu przy Rua do Poco dos Negros z rozkazu króla Manuela wydanego w 1515 roku. Pijąc Americanos patrzę na żółty tramwaj, który ze zgrzytem staje na krawędzi bielonego wapnem grobu. Lubię kolory Lizbony, żółty i błękit, jak na fladze Ukrainy.

Na wybrzeżu stoi Dom Gwinei z oddziałem Casa dos Escravos, tutaj rejestrują niewolników. Ich szyje zdobi pergamin z ceną, którą ustalają urzędnicy. Aby handlować niewolnikami trzeba zdobyć licencję na handel ludźmi i zwierzętami. Niewolników łatwo sprzedać na Largo do Pelourinho Velho obok Rua Nova dos Mercadores. Obowiązuje quarto, 25 procentowy podatek.

Filippo Sassetti, kupiec z Florencji, który był w Lizbonie w latach 1578-1582 pisał, że przewożono nawet po czterdzieści nagich osób, byli związani plecami do siebie, stłkali się głowami. Głodni i spragnieni. Zlizywali wodę, która wyciekła przez szpary beczki stojącej wewnątrz ludzkiego kręgu.

Niewolników chrzczone w kościele Igreja da Conceição na tyłach Terreiro do Paco. Kościół zbudowano na miejscu dawnej synagogi. Każdy mieszkaniec Lizbony miał własną służbę. Niewolnice sprzedawane na ulicy przekąski: maźe, trąbiki, suszone śliwki, ciastka, solone nasiona łubinu. Od 1761 nie sprowadzano nowych niewolników do Lizbony. Rewolucja goździków w 1974 data niepodległość koloniom afrykańskim.

W markecie w dzielnicy Alfornelos sprzedawca przy kasie pyta każdego o numer identyfikacyjny podatkowej. Jeśli go nie ma, nie będzie zwrotu podatku. Mogę głosować na udogodnienia dla dzieci lub osób starszych w danej dzielnicy. Wychodzę ze sklepu z zakupami, które zadowoliliby Króla Manuela. Na jego stół wjeżdżała wołowina, pomidory, czekolada, ziemniaki i ananasy.

Podczas II wojny szpiegdy przesiadywali w Klubie Cabaret Maxime na Praça da Ale-

gria. Brytyjczycy lubili hotele Aviz i Metr6pole. Ian Fleming śledził Popova w kasynie Estoril i hotelu Palácio, potem napisał Casino Royale. Niemcy woleli hotele Avenida Tivoli i Avenida Palace, gdzie na 4 piętrze było tajne przejścia na dworzec Rossio.

Najstynniejszy podwójny agent był Hiszpanem, nazywał się Juan Pujol. Chciał pracować i dla Niemców i Brytyjczyków. Gdy kupił fałszywy paszport dyplomatyczny, Abwera nadała mu pseudonim „Arabel”. Dostał trzy tysiące dolarów i został wysłany do Londynu. Jednak nie ruszył się z Lizbony. Jego postać widziałam w Baixa Chiado i na placu Rossio. W kawiarniach rozmawiał z uchodźcami. Chodził po księgarniach, czytał przewodniki, gazety i czasopisma, a potem pijąc espresso pisał fikcyjne teksty o ruchach alianckich wojsk, o pijackich orgiach. Angolicy odkryli, że jest autorem fałszywych raportów dla Niemców. Nadali mu pseudonim „Garbo”. Jego twórczość nabrała ironicznego rozmachu, pisał z werwą o siatce dwudziestu siedmiu agentów. SIS przyjęło go do jako podwójnego agenta. W końcu dotarł do Londynu gdzie prowadził go MI5. Od Hitlera dostał Krzyż Żelazny, a od Brytyjczyków Order Imperium Brytyjskiego V klasy. Jego wieloświaty się spletały.

Gdy podzieliśmy pudełko z elektronem na dwie części i jedną wywieziemy do Lizbony, drugą zostawimy w Warszawie, nie będziemy wiedzieli gdzie został elektron, nim pudełko nie otworzymy. Jeśli elektron znajdziemy w Lizbonie, w tej samej chwili zniknie część funkcji falowej mieszcząca się w warszawskim pudełku. Nastąpi kolaps. Einstein sądził, że cząstki splecione komunikują się szybciej niż światło. Jednak fizycy mówią o istnieniu cząstek zwanych *tachionami*, które ruszają się szybciej niż światło. Ta teoria odrzuca istnienie czasu Uniwersalnego, tymczasem bez niego cząstki splecione by nie istniały...

Na placu Rossio w 1506 płonęły stosy. Żydów wywielekano z domów i palono żywcem. Grabiono ich dany, mordowano niemowlęta. Podczas Wielkanocy zginęło dwa tysiące „nowych chrześcijan” – Żydów zmuszonych w 1497 roku do przejścia na chrześcijaństwo. Tysiące ludzi w lisbońskim porcie chcieli wówczas uciec z miasta. Tych, którzy zostali prześladowana Inkwizycja. Egzekucje nazywano „auto da fé”. Trybunał mieścił się w Palácio dos Estaus. Akta niewiernych znajdują się w Torre do Tombo.

Z szóstego piętra dzielnicy Alfornelos patrzę na idącą ulicą procesję. Miarowo uderzają w bębn, gra dęta orkiestra, ludzie niosą świece. Niedawno ulicami Lizbony szło stu mężczyzn nagich do pasa o głowach schowanych w kapturach. Niosą pochodnie. Świszczą złote i srebrne ostrogi przywiązane do sznurów. Wbijają się w ciała. Plecy spływają krwią. Procesja sunie ku placu Ribeira. Za mnichami pędzą dzieci, przekrzykują się w modlitwach o dusze skazanych.

Posty na FB czytamy w pionie, tylko trzy widoczne linijki. Potem uwaga gaśnie, jak rozładowany smartfon. Nastuchiwanie, podglądanie, wzorowanie się, zazdrośczenie – wyczerpują. Nie lubimy myśleć. Używając smartfonów uczymy się zapomniania. Google namawia, byśmy używali zewnętrznej pamięci niczym protezy. Ale czy z pomocą sztucznej szczęki nadgrzyziemy rzeczywistość?

Istoty, których odczuwa są powszechne, zakładają, że stojące za nimi przyczyny są jedynie słuszne. Gdyby zanegowano wyższe wartości, istniełbyśmy poza matymi i większymi wspólnotami ludzi, bralibyśmy własne poznanie za jedynie słuszne.

A jeśli są dwie strony nieskończoności? Jedna metafizyczna, zamglona, mistyczna, mówiąca o Bogu, absolicie oraz doskonałości, a druga – matematyczna, która dowodzi istnienia nieskończonego czasu, bezkresności liczb, ich podzielności? – w którą warto wierzyć?

Katedra Sé pachnie cieniem. Powstała na miejscu meczetu. Trzęsienie ziemi strząsnęło z jej barków ciężar baroku. Jestem wewnątrz niej. Kobieta zrobiona z pozornej niezniszczalności kamienna czyta książkę. Pies uśmiecha się ciepło do pana, który dobywa kamienny miecz.

W roku 1755 Dzień Wszystkich Świętych przypadał w sobotę. O 9.30. rozległ się daleki grzmot. Domy się zachwiały, a ulice zasnuła szarość. Ludzie uciekali przed spadającymi gruzami, modlili się na ulicach. Pył zastonił słońce. Tsunami odstoniło dno Tagu, a potem wciągnęło ludzi pod wodę. Fale wysokości domów wlały się na plac Rossio. Po kilku godzinach pył opadł. Płonęło całe miasto. Ciała leżały na ulicach. Szabrownicy plądrowali domy.

Goethe napisał: „Demon grozy nigdy chyba nie szerył lęków na świecie z taką prędkością i mocą”. Czy tylko wtedy?

Idę po geometrycznie równych ulicach Baixy wytyczonych po trzęsieniu ziemi przez Marquiza de Pombala, który w 1759, rok po nieudanym zamachu na króla Józefa I, wydał rozkaz skonfiskowania dóbr jezuitom, uznał ich za współpracujących z Táviri – rodzinami spiskowców. Zniszczono biblioteki jezuickie, spalono książki. Jednak Pombal jako oświeceniowiec napisał broszurę, w której naukowo opisał trzęsienie ziemi. Zajął się uprawą winorośli wzdłuż rzeki Duero i produkcją Porto. Umarł w nędzy, wygnany przez królową Marię I.

Mechanika kwantowa jest sprzeczna z zasadą lokalności. Zgodnie z mechaniką kwantową elektron zamknięty w pudełku nie ma określonego położenia, zanim nie zajrzemy do środka. Mieszanią potencjalnych lokalizacji to funkcja falowa. Funkcja falowa reprezentuje prawdziwą nieokreśloność świata.

Zimą 1807 roku dwór królewski uciekł do Brazylii przed Francuzami i Napoleonem. 22 października Portugalia podpisała tajne porozumienie z Wielką Brytanią. Trzy pokolenia Braganów wsiadły na stałki wojenne: Príncipe Real i Alfonso de Albuquerque. Dziewięć miesięcy później Brytyjczycy pokonali francuzów w bitwie pod Vieiro. Dowodził nimi późniejszy książę Wellington i 3 lipca 1821 do Lizbony wrócił król Jan VI.

Podróże wyzwalają. Szybujemy na spadochronie uwagi. Zimą wspomnienia dmuchają w nos ciepłym powietrzem. Ruch myśli potrąca metafizyczne odtamki czasu, które wytracone z równowagi drżą, falują, spadają na naszą przyszłość kaskadą niejasnych konsekwencji.

Robię selfi na progu kawiarni *Brasiliera*. Staram się zobaczyć panele pędzla Almady Negreiros, z którym przyjaźnił się Pessoa. Razem pisywali dla „Orpheu”. Pachnie kawa, stukają talerzyki, para amerykańców zamawia różowe ciastka. Zieleń, sepia i biel kelnerskich mundurków. 15 kwietnia 1917 gazeta „A Capital” pisała o Pierwszej Konferencji Futurystów, która poprzedniego dnia odbyła się w Teatro da República.

Ziemia nie jest centrum Układu Słonecznego, a Słońce nie jest centrum Galaktyki. Są ich miliardy we wszechświecie. Nasz Wszechświat trójwymiarowy może być membraną w przestrzeniach wypełnionych wymiarami. Jesteśmy geometrycznym punktem w wycinku wykresu.

Punktem otoczonym pustką – twierdzi fizyk Nima Arkani-Hamed.

W miejscu gdzie wzniesiono most podobny do Golden Gate w San Francisco, rozlewisko Tagu nazwano *Stomianym Morzem*. W 1580 król Hiszpanii Filip II został królem Portugalii i jako Filip I polecił Giovanniemu Battistie Antonellemu sprawdzić żeglowność rzeki. Badacz pojechał do Hiszpanii, gdyż Tag wypływa z gór Sierra de Aragonii i sprawił, że od tamtego czasu wysyłano drogą wodną towary z Lizbony do Aranjuez.

Portugalskie chodniki, „calçada portuguesa”, układane z wapiennej i bazaltowej kostki brukowej są śliskie jak lód. Biel przeplata się z czernią, a teraźniejszość z przeszłością starożytnego Rzymu. Okres rzymski trwał w Lizbonie od II do V w. n.e. Juliusz Cezar podbił Luzytanię ok. 60 roku p.n.e. Za panowania Augusta miasto nazwano Felicitas Iulia Olisipo. Składało się z trzech części – oppidum, osady z fortyfikacją, miasta na zboczu wzgórza i plaży rybackiej. Wązono mnóstwo garum, cuchnącego rybnego sosu. Dzięki niemu zbudowano sieć podziemnych galerii, teatr i hipodrom.

Muzeum de Arte Antiga z Kuszeniem Św. Antoniego Boscha. Obrazy niczym bliscy znajomi.

Z tarasu widzę Tag, marinę de Alcantara. W porcie stoi biało niebieski jacht. Żółte dźwigi, szum samochodów jadących mostem. Pociąg sunie jak dudniący cień, nad nim samolot przecina słońce. Trawy wyrosły ponad żywopłot. Gdy szłam do muzeum, minęłam kawiarnię, a w niej pisarkę o różowych włosach. Notowała wszystko na laptopie: tłum, mnie idącą drugą stroną chodnika, błysk kostki bruku i zapach espresso. Tymczasem jaszczurka zjada kawałek banana i biegnie w cień krzaków. Ostoną tarasu sieka słońce na plastry. Flagi się kołyszą. Czuję komfort związany z otaczającą mnie sztuką, harmonią i pięknem kolorów. Smakuję iluzję bezpieczeństwa.

Bywają podróże przykre, niechciane, wymuszone, ucieczki przed bombami, pożarem, zagładą, skoki w przepaść. Życie zapada się, nikt nie wie czy kiedyś wstanie.

Na lotnisku tłok. Gorączkowa odprawa. Biegają dzieci. Wzywają podróżnych do Wenecji. Zimne blaszane ławki. Szum rozmów. Mężczyzna w białym ubraniu, szuka żony z telefonem. Para z plecakami, czerwona torba, walizka, kobieta w spodniach o wzorze w romby. Para z plecakami siedzi na podłodze z szarego linoleum. Bolonia gotowa do odlotu. Kobieta w długim różowym swetrze z szarą walizką. Nad morzem turbulencje. Ludzie chodzą po samolocie. Jedzenie, picie, perfumy. W chmurach tęcza. Nagle ktoś mówi:

„[...] Wyjechać z Ruad dos Douradorea do Niemożliwości... Wstać od biurka, aby wejść w Nieznane... Ale to wszystko jest przetkane Rozumem. – Wielką Księgą, która opowiada o tym, że istnieliśmy.[...]”⁴

JOANNA SENDŁAK

Bibliografia:

Jim Holt „*Idee, które zmieniły świat*”, wydawnictwo Copernicus Center Press Sp. Z.o.o, Kraków 2022.
Fernando Pessoa „*Księga niepokoju*”, wyd. Świat Literacki, Izabelin 2007.
Neill Lochery, „*Lizbona Miasto Światła w cieniu wojny 1939-1945*”, Czytelnik, Warszawa 2015.

1 Fernando Pessoa „*Księga niepokoju*”, wyd. Świat Literacki, Izabelin 2007. s. 23

2 Ibidem, s. 83.

3 Ibidem, s. 73

4 Fernando Pessoa „*Księga niepokoju*”, wyd. Świat Literacki, Izabelin 2007.42. s. 46.

Dariusz Pawlicki

„Tutaj spoczywa ten, którego imię zostało zapisane wodą”- sentencja autorstwa Johna Keatsa, umieszczona na jego nagrobku.

Od półtora tygodnia czytam, zresztą nie po raz pierwszy i drugi, arcyciekawą - z kilku względów - korespondencję, jaką w latach 1950-1969 prowadzili ze sobą Jerzy Giedroyc i Witold Gombrowicz. W trakcie tej kolejnej lektury zadaniem sobie pytań: co sprawia, że ktoś zostaje zauważony, a następnie zapamiętany? Nie chodzi o wynalazcę czy sportowca - w tych przypadkach mechanizm ewentualnego dostrzeżenia i zapamiętania jest bardzo oczywisty - ale o pisarza bądź artystę. Wszystko bowiem co dotyczy takich sfer życia jak, przykładowo, technika i sport, ma bardzo duże szanse na to, że zostanie uwzględnione np. w wieńczących wiadomościach telewizyjnych, a następnie zapamiętane, na dłużej bądź krócej, przez odbiorców. Zresztą w tych przypadkach proces zyskiwania stawy jest o wiele prostszy. Można także stwierdzić, że jest uczciwszy: im więcej np. strzelonych bramek, tym większa stawa; choćby miała ona trwać jedynie przez okres aktywności piłkarza (czas o wiele dłuższy, nie jest oczywiście wykluczony). Szanse na to samo w przypadku zbioru wierszy, albo cyklu obrazów olejnych, są zdecydowanie mniejsze (chyba, że chodzi o spektakularne zdarzenie kulturalne). Po prostu sfery techniczna, jak również sportowa są bliższe zdecydowanie większej liczbie ludzi niż rozmaite dziedziny kultury.

- To, że o pamiętaniu rozmaitych „wytworów” kultury decyduje ich ranga - podkreślana przez kolejne pokolenia odbiorców - jest jak najbardziej zrozumiale. I o tym właśnie mówi poniższy cytat z eseju *O czytaniu Wystana Hugh'a Audena* (wprawdzie mówi o książkach, ale myśl tę z powodzeniem można rozciągnąć na, chociażby, sztuki plastyczne):

„Niektóre książki są niezastępowane wspomniane, żadna nie jest niezastępowane pamiętana”.

Abym odpowiedzieć na pytanie postawione na wstępie, a przynajmniej podjąć tego próbę, należy przedstawić mechanizm, który sprawia, że niektóre utwory/wytwory literatury, muzyki, sztuk plastycznych zyskują uznanie; uwzględniając również to chwilowe. A po jakimś czasie, bardzo, bardzo nieliczne z ich grona zostają wpisane na „Listę dzieł”; czy to narodowych, czy też ogólnoświatowych (proces dostawania się na tę Listę, to temat na odrębny esej). Natomiast ogromna większość pozostałych utworów/wytworów trafia do Krainy niepamiętania. A w niej bardzo często wszelki ślad po nich ginie, niekiedy także ten materialny. To samo dotyczy nazwisk ich autorów/autorek. Powroty z tej krainy są niezwykle rzadkie.

*

Aby zdobyć wieczną stawę - ta zaś wcale nie interesuje każdego - trzeba stworzyć dzieło. Niewielka część spośród wytworów wyobraźni zażyła na to miano, mimo upływu czasu i zmieniających się mód. Choć i im - nawet, gdy znalazły się już w kręgu kandydatów na wieczność - niejednokrotnie towarzyszyły wahania. Wie-

O TYM DLACZEGO JEDNI SĄ SŁYSZALNI, INNYCH ZAŚ SPOWIJA CISZA

dział coś na ten temat Ernst Jünger, który tak oto napisał:

„Dzieła zawsze potrzebują trochę czasu, nim przemijalność wywietrzeje. One też mają swój czyściciel” (*Drugi dziennik paryski*).

Napisałem bodajże dwa eseje (może nie będzie ich więcej), w których dałem wyraz swemu pogładowi na temat czynników, które sprzyjają osiągnięciu powodzenia - rezultatem jego może być właśnie sława (ta jednak nie musi wcale iść w parze z rangą utworu) - w literaturze, muzyce, sztukach plastycznych. Z tym, że w tekstach tych kładłem nacisk na rolę innych osób w zdobywaniu przez twórcę uznania. Tymi innymi mogą być wydawcy, którym zależy na jak największej sprzedaży opublikowanych przez siebie książek; właściciele galerii dysponujący obrazami, które chcieliby jak najlepiej spieniężyć; politycy zainteresowani promowaniem konkretnych poglądów, idei. Istotną rolę odgrywają też odbiorcy, ze szczególnym uwzględnieniem czytelników. Ale ci ostatni, prawie wyłącznie z tego względu, że są kupującymi. Inna ich rola nie wchodzi w grę, gdyż są prawie zawsze bezkrytyczni. Powtarzają bowiem zastępane opinie; niekiedy przedstawiając je jako własne. Na ten temat Edmund Goncourt tak napisał:

„Nie mówmy o publiczności - nie ma co jej brać w rachubę! Co lat kilkadziesiąt przychodzi jeden, dwóch ludzi z indywidualnością, biorą publiczność za tęb i każą jej wierzyć w to, co chcą sami” (powieść *Chérie*).

*

W kreowaniu wielkości, także pozornych/krótkotrwałych/na wyrost, co zaowocować może jednak sławą, istotną rolę mają do odegrania krytycy (to, że mogą zaszkodzić jest inną sprawą). Rzecz jasna ci poważani i wpływowi. Mogą bowiem, choćby swymi pozytywnymi czy wręcz pochlebnymi opiniami, zwrócić uwagę wydawców, właścicieli galerii, redaktorów czasopism, dyrektorów artystycznych filharmonii bądź teatrów, a także ogółu odbiorców, na czyjąś działalność artystyczną, albo też na konkretny jej przejaw. Z tym, że czyniąc to, recenzenci spełniają swoje podstawowe zadanie. Problem pojawia się jednak wtedy, gdy w swych ocenach kierują się innymi czynnikami niż te merytoryczne, wynikające z zawartości utworu. A pisanie recenzji z obślalki jest, niestety, częstym zjawiskiem. Nie towarzyszy temu powszechna wiedza o tym. Efektem tego procederu jest m. in. budowanie przypadkowych, nietrwałych hierarchii.

Nieocenionej pomocy chcącemu zaistnieć w świecie kultury (nie tylko zresztą w nim) mogą udzielić sławni twórcy. No bo jako, już sławni, których głos ma odpowiednią wagę, mogą - bo oczywiście nie muszą - poczuć chęć dopomożenia komuś w zdobyciu stawy. Najczęściej jest to związane z uznaniem dla czyichś do-

konań. Historia zna sporo takich przypadków (w żadnym razie nie jest to zjawisko powszechne). Przykładem takiej pomocy może być postawa wspomnianego Wystana Hugh'a Audena wobec Josifa Brodskiego wydalonego w 1972 r. ze Związku Sowieckiego. Ten pierwszy sprawił m. in. i to, iż ów drugi został bardzo szybko przyjęty do międzynarodowej konfraterni poetów, co bardzo pomogło mu w zdobyciu uznania. To zaś zostało uwieńczone Literacką Nagrodą Nobla. Inne przypadki wyciągnięcia pomocnej dłoni to, choćby, Ezra Pound, który skrócił o połowę i dokonał istotnych zmian w najświetniejszym utworze T. S. Eliota *Ziemi jałowej*. Utworowi temu wyszło to podobno na dobre. W obrębie kultury polskiej, jeśli chodzi o takie przykłady, warto wspomnieć o Henryku Worcellu (właściwie Tomaszu Kurtyce), na którego zwrócił uwagę, i nie poprzestał na tym, Michał Choromański. Jemu zaś z kolei, pomogli zaistnieć Karol Szymanowski i Kazimierz Wierzyński.

Samotność towarzysząca tworzeniu, skupienie się na powstającym dziele, jak też indywidualizm cechujący twórców, z całą pewnością nie sprzyjają otwarciu się na innych autorów. Na dodatek, ci nie tylko mogą być, co po prostu są konkurentami jeśli chodzi o wydawanie np. książek, prezentowanie w salach koncertowych utworów symfonicznych itd. Wszystko dlatego, że możliwości realizacji marzeń w tym zakresie, były i są ograniczone. Zaś chętnych, jak świat światem, zawsze było więcej niż możliwości. Większość musiała więc odpaść, i to już w eliminacjach, w wyścigu do sukcesu. Również wtedy, gdy to, co mieli do zaoferowania światu, zasługiwałoby w innej sytuacji na uznanie. Tak było, jest i, najpewniej, będzie.

Fakty pomocy okazywanej twórcom pochodzą także spoza kręgu ich samych. Przykładem autora, który miał szczęście natknąć się na swego nie tyle opiekuna, ile wręcz zbawcę jest Witold Gombrowicz, wspomniany na wstępie. Wprawdzie miał on za sobą sukces odniesiony w Polsce za sprawą dwóch książek prozatorskich, ale od 1939 r., to jest od przybycia do Argentyny, znajdował się w pisarskim zawieszaniu, prawie w pisarskiej pustce. Nawiązany w 1950 r. kontakt z Jerzym Giedroyciem - jednostką jak najbardziej twórczą, ale w innym znaczeniu tego słowa - redaktorem naczelnym „Kultury”, był dla niego wybawieniem. Gdyż nie tylko uwolnił go z pisarskiego niebytu, ale otworzył drogę do międzynarodowej sławy. Giedroyc cenił niezmiernie twórczość Gombrowicza (mam wrażenie, że szczególnie *Dzienniki*). Ten zaś nie wahał się skorzystać z otwierającej się szansy. I wykorzystał ją maksymalnie. Poznane za sprawą Redaktora osoby ze świata kultury - stopniowo było ich coraz więcej - też mu niezmiernie pomogły w drodze ku sławie. Z tym, że nawiązanie owych kontaktów nie było rezultatem oroku osobistego czy też zafascynowania osobowością (choć niekiedy i ono dawało o sobie znać), ale przede wszystkim wynikało z uznania dla pisarstwa Polaka z Argentyny, później z Francji.

Osobną kategorię stanowią twórcy, których nazwę cichymi, a nawet wręcz wyciszonymi. Im jeszcze trudniej przychodzi sukces. Oni raczej nie mogą nań liczyć. A jeśli już to chyba tylko wtedy, gdy napotkają Kogoś bądź Ktoś ich napotka. Przykładem tego może być Bruno Schulz. Otóż zetknięcie się z Zofią Natkowską było przełomem w jego pisarstwie. To ona bardzo pozytywnie oceniła *Sklepy cynamonowe* i pomogła w ich wydaniu w 1934 r. (był to debiut książkowy Schulza, rok wcześniej miał miejsce debiut w czasopiśmie).

Ale w tym, że okazywanie wspomnianej pomocy jest nieczęste, tkwi jej siła. Bo tylko wtedy może ona spełnić swoją rolę. Gdyby wszyscy wszystkim pomagali w drodze do sławy, wszyscy tkwiliby w tym samym punkcie. I aby zwrócić uwagi na swoje dokonania, a tym samym na siebie, musieliby szukać innych sposobów. Może nawet zaczęliby przemyślać nad obraniem drogi wyznaczonej przez Herostratosa. Ów Grek (niektórzy powątpiewają w jego greckość) żyjący w IV w. p.n.e., owładnięty obsesją zdobycia wiecznej sławy, podpalił świątynię Artemidy w Efezie uważaną za jeden z siedmiu cudów świata. Cel swój osiągnął. Lecz niewiele brakowało, aby stało się inaczej. I można wyobrazić sobie, co czuł, gdy usłyszał sentencję wyroku. A mowa w niej była o tym, że za swój czyn zostaje skazany nie tylko na śmierć, na to był przygotowany (wyrok wykonano). Dowiedział się również, że spotka go „potępienie pamięci” (łac. *damnatio memoriae*, brak terminu gr.). To znaczy, że jego imię zostanie wymazane ze wszelkich dokumentów pisanych. I niewiele brakowało, aby tak właśnie się stało. Zachowała się jedynie wzmianka w jednym z dzieł greckiego historyka Teopompa z Chios.

Postępowania nacechowanego wręcz chorobliwą żądzą zdobycia sławy - psychologia nazywa je kompleksem Herostratosa – nie biorę jednak pod uwagę. Interesują mnie bowiem, jak wcześniej zaznaczyłem, działania podejmowane przez autora w celu zdobycia sławy czy choćby uznania ze względu na utwór/wytwór. I to nawet wtedy, gdy sam twórca będzie uważał, że to, co wyszło spod jego pióra bądź pędzla nie zasługuje na miano dzieła, będąc, co najwyżej, dziełkiem.

Pisałem już we wcześniejszych tekstach (także w niniejszym) o tym, że zewnętrzny świat, przybierający różne postacie – niektóre zostały wymienione powyżej – kreuje wielkość; najczęściej krótkotrwałe. Media współczesne takimi właśnie się interesują. Żyją bowiem bieżącą chwilą, więc wieczne dzieła ich nie interesują. Może nawet nie biorą pod uwagę tego, że dzieła i takimi być mogą. Nie pisałem jednak, gdyż wcześniej nie uwzględniałem tego (przeoczyłem czy zlekceważyłem?), że istotny, niekiedy dominujący, może być również wpływ wewnętrzny. To znaczy ten, który swe źródło ma w psychice/charakterze kandydata na zdobycie rozgłosu i pieniędzy. Mam wrażenie, że o tym wewnętrznym czynnikiem pisano w odniesieniu do działalności w takich dziedzinach jak polityka, gospodarka. Natomiast znacznie rzadziej, a może w ogóle, jeśli chodzi o ten, czy inny przejaw kultury np. literaturę czy sztuki plastyczne.

Mówiąc wprost, uważam, że im większy ma się tupet, czy też jest się wręcz bezczelnym, tym bardziej możliwe staje się odniesienie sukcesu. Oczywiście czyjś tupet bądź bezczelność, niejedną osobą wpływową mogą zrazić. Ale ludzi pragnących sukcesu, od tego uzależniających swe szczęście, i nie mających wielkich czy też żadnych oporów, cechuje z reguły to, i to nie tylko w prze-



Marek Naszczak

nośni, że jeżeli zostaną wyrzuceni drzwiami, to spróbują wejść oknem. Do tego wyznają zasadę starą jak świat: cel uświęca środki. Nawiązywanie kontaktów, a potem ich podtrzymywanie (pod jakimkolwiek pretekstem), z osobami, które mogą coś konkretnego załatwić, mogą przydać się do czegoś, należy do arsenału środków ludzi, którzy mają jasno wytyczony, wspomniany powyżej, cel w życiu (akurat to, że ma się wytyczony cel w życiu uważam za plus, w przeciwieństwie do całej przedstawianej otoczki). Z tym, że tort do podziatu, o czym była już wzmianka, nigdy nie jest duży, a chętnych na otrzymanie jego kawałka, zawsze jest o wiele, wiele więcej. Ale gdy jeden z drugim szczęśliwiec, będzie już trzymać w dłoni talerzyk deserowy, znak, że prawdopodobieństwo dostania Czegoś jest duże, to będzie chciał, aby był to kawałek duży, a może największy. Lecz, gdy tort będzie mały lub liczba chętnych na niego - większa, wówczas walka o dostęp i do stołu, i do talerzyków, i do tortu, stanie się bardziej bezwzględna. Wtedy z całą pewnością nie można już będzie mówić o szlachetnej rywalizacji (rzadko ona w tej dziedzinie taką była).

Tak naprawdę, to do bezwzględności namawiają ci, którzy twierdzą z przekonaniem, że gdy czegoś bardzo się chce, to cel się osiągnie. Z całą pewnością mają rację. Trzeba tylko, gdy pozostanie wyłącznie jeden konkurent, zrobić coś takiego, o czym on nie pomyślał, albo zawahał się przed uczynieniem tego. Tak więc osiągnięcie sławy, która będzie towarzyszyć do końca życia człowiekowi nią obdarzonemu, jest jak najbardziej możliwe. Ale już wpływ ze strony zainteresowanego na uzyskanie statusu twórcy obdarzonego sławą wieczną, jest chyba nierealny.

W przypadku osób piszących/malujących/komponujących, jak też w ogóle osób chcących przekonać do swego punktu widzenia/swojej wrażliwości, szalenie ważną jest wiara w to, co ma się do przekazania (udawanie tego na dłuższą metę nie jest możliwe); że to, co się twierdzi (także np. na płótnie) jest przynajmniej równie ważne, jak to, co w tej materii mają/mieli do powie-

dzenia inni. A może nawet ważniejsze. Oczywiście należy spełnić, przynajmniej podstawowe kryterium związane z posiadaniem podstaw warsztatu czy to pisarskiego, czy plastycznego bądź muzycznego (współczesność wielokrotnie była jednak świadkiem braku owego warsztatu u osób, które uzyskały uznanie w pewnych kręgach). Ale gdyby ów warsztat posiadał ewidentne usterki - a Jorge Luis Borges napisał, że „człowiek (...) nie pisze jednak tego, co chciałby napisać, lecz to jedynie, co napisać potrafi” (esej *Credo poety*) – to jego posiadacz, gdy sławnym być chce, nie powinien się tym zrażać. I robić to, co może przywieźć go do celu. To znaczy czynić to, o czym mówi, w pierwszej części swej wypowiedzi Victor Frankl (choć i nad drugą mogliby, przynajmniej, zastanowić się marzący o sławie):

„Bądź panem swojej woli i sługą swego sumienia”.

Jak najbardziej wskazane byłoby wierzyć w to, że wola jest jedynym czynnikiem kształtującym rzeczywistość. Tymczasem ogromna większość ludzi, nawet jeśli dopuszcza znaczenie woli, wiedzy tej nie wykorzystuje do niczego. Tę samą część gatunku *homo sapiens* cechuje także niewiara w wartość tego, co sama tworzy. Cechują ją bowiem kompleksy. Dlatego tak ważne są opinie wyrażane przez innych. Zwłaszcza tych, których twarze czy nazwiska są rozpoznawalne. Z tym, że owa rozpoznawalność nie musi być wcale związana z dokonaniem „posiadaczy” owych twarzy i nazwisk. Wystarczy w zupełności to, że są znani.

Niejednokrotnie w przypadku tych autorów, dla których własna twórczość jest naprawdę ważną, okazuje się, że sława, która im towarzyszy, nie jest tą, o której marzyli. Są bowiem znani za sprawą właśnie swych twarzy.

*

Temu, że w czasach współczesnych o zdobyciu uznania, ale i o budowaniu hierarchii w obrębie rozmaitych dziedzin kultury, decydują czynniki pozamerytorycz- ➔

ne, sprzyja również to, że kładzie się nacisk, wciąż o tym mówiąc, na równość. Za to wolność stała się sprawą marginalną (oba te fakty rzutują nie tylko na sztukę, literaturę, muzykę). To pierwsze zaś wpływa, choćby na to, że każdy uważa się za potencjalnego autora arcydzieła. To że nim (jeszcze) nie jest, tłumaczy sobie wyłącznie tym, iż mu się nie chce. Po prostu. A jeżeli wśród tych, którym chce się, każdy uważa, że jest s-twórcą dzieła wybitnego, to o tym, kto zajmie miejsce na Olimpie mogą decydować wyłącznie takie czynniki jak wspomniane: pewność siebie, poparcie ze strony osób wpływowych, tupet mogący przerodzić się w beczelność. W grę wchodzić mogą również spektakularne pomysły na zwrócenie na siebie uwagi czynników opiniotwórczych. Przydać się też może wiedza na temat tego, gdzie stoją konfitury i gdzie leży łyżeczka. A mówiąc innymi słowami: są tematy, które należy poruszać, aby zostać zauważonym, można też w tym samym celu „wyznawać” określone poglądy. Równie cenna, w tym wypadku, jest wiedza na temat tego, czego należy unikać, obchodzić z daleka.

Ludzie bez zahamowań, napędzani do działania przekonaniem, że nie są gorsi od np. Witkacego, stanowią zagrożenie dla wszelkich przejawów kultury. Bo to oni są uważani w przestrzeni publicznej: czy to jest księgarnia, program telewizyjny, czasopismo czy też galeria sztuki. Ma bowiem miejsce pogoń mediów za tym, co jest nowe, co tamie tabu itd. To znaczy za tym wszystkim,

co jest w stanie przyciągnąć, choćby na 10 minut, uwagę jak największej liczby telewizorów, radiosłuchaczy, „ogłędaczy” np. obrazów. I to z wykorzystaniem „dokonań” głośnych medialnie jest, niestety, tworzony współczesny kanon wielkości w poszczególnych dziedzinach kultury. No bo przecież, jak mówi znane przysłowie: na bezrybiu i rak ryba.

*

Wymienione powyżej cechy charakteru, w połączeniu z pragnieniem zaistnienia na szerszym forum, mogą sprzyjać osiągnięciu celu (bez względu na to, jaki by on był). Ale warto, jak sądzę, wspomnieć w tym momencie o tym, co temu nie sprzyja. Szans na zaistnienie nie mają ci twórcy, którzy najzupełniej świadomie odrzucają, te czy inne, sposoby i środki wiodące do zdobycia, jeśli nie miejsca na Olimpie, to uznania. I nie mam tu na myśli sytuacji, gdy są tak leniwi, że nie chce im się zabiegać o swoje sprawy; a nie mają pod ręką nikogo, kto by za nich to załatwił. Chodzi mi zwłaszcza o osoby wiedzące o istniejących możliwościach dotyczących sprawy, której poświęcony jest ten esej. Odrzucających jednak te możliwości. Na przykład na podstawowym etapie w postaci zabiegów o fundusze na zorganizowanie wystawy prac plastycznych u urzędników odpowiedzialnych za kulturę. Nie umizgujących się także do sponsorów prywatnych mogących doprowadzić do

sfinansowania, przykładowo, bogato ilustrowanego zbioru wierszy w twardej oprawie. A odrzucających takie postępowanie dlatego, gdyż przypomina im to chodzenie po prośbie. To zaś budzi w nich niechęć, czy wręcz wstręt. Albo też nie chcących nikomu niczego zawdzięczać. Są też i tacy, którzy nie zabiegają o jakąkolwiek pomoc, gdyż uważają, że to agendy państwa czy samorządów, odpowiedzialne za kulturę, powinny wziąć na swoje barki rozpropagowanie ich twórczości, gdyż ta, ich zdaniem, niewątpliwie na to zasługuje. A jeśli owe agendy, to znaczy urzędnicy, nic o nich i ich dokonaniach nie wiedzą, tym samym wystawiają sobie jak najgorsze świadectwo.

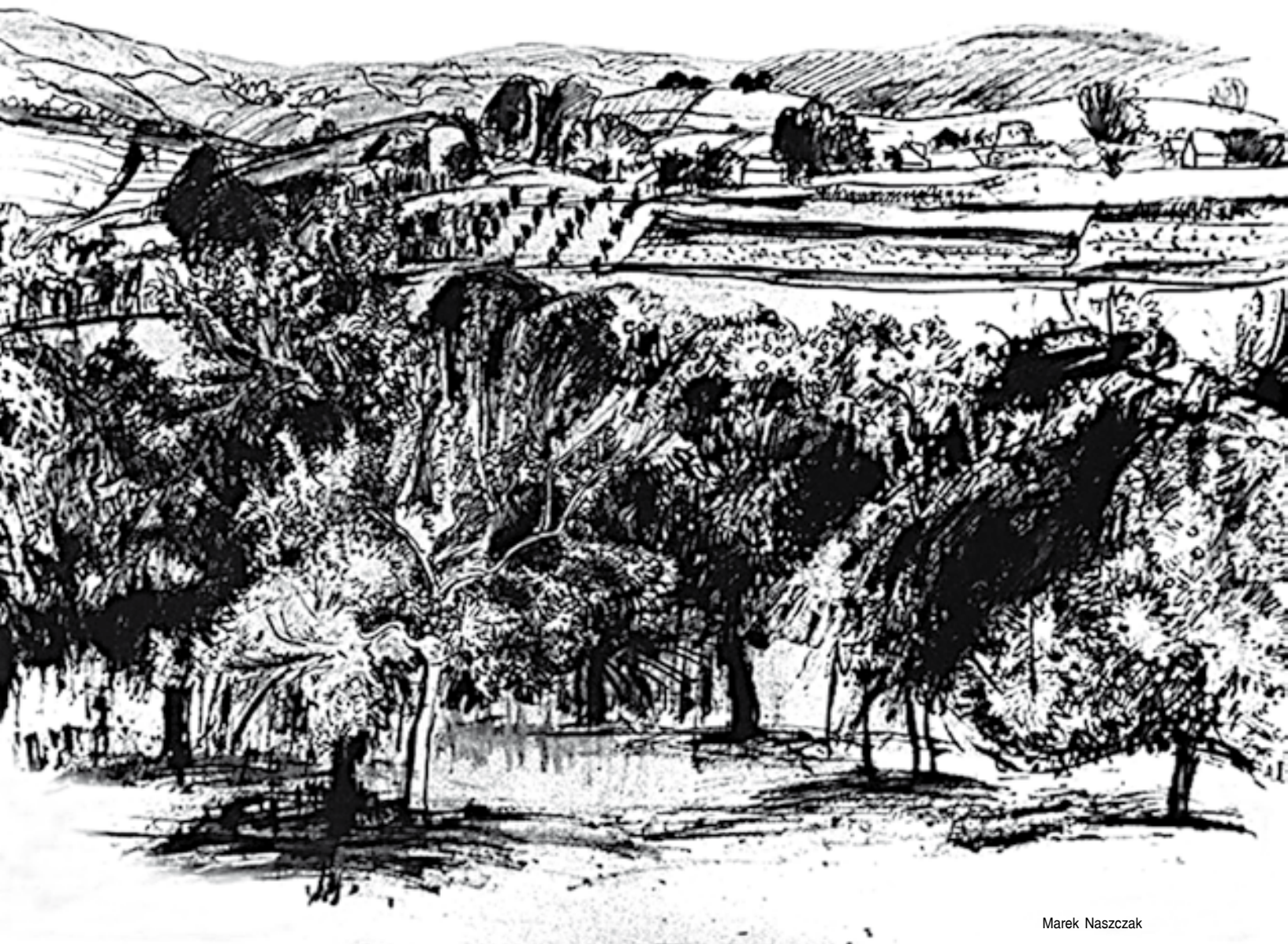
*

W *Najkrótszym przewodnika po sobie samym* Gustaw Herling-Grudziński zawarł i taką myśl:

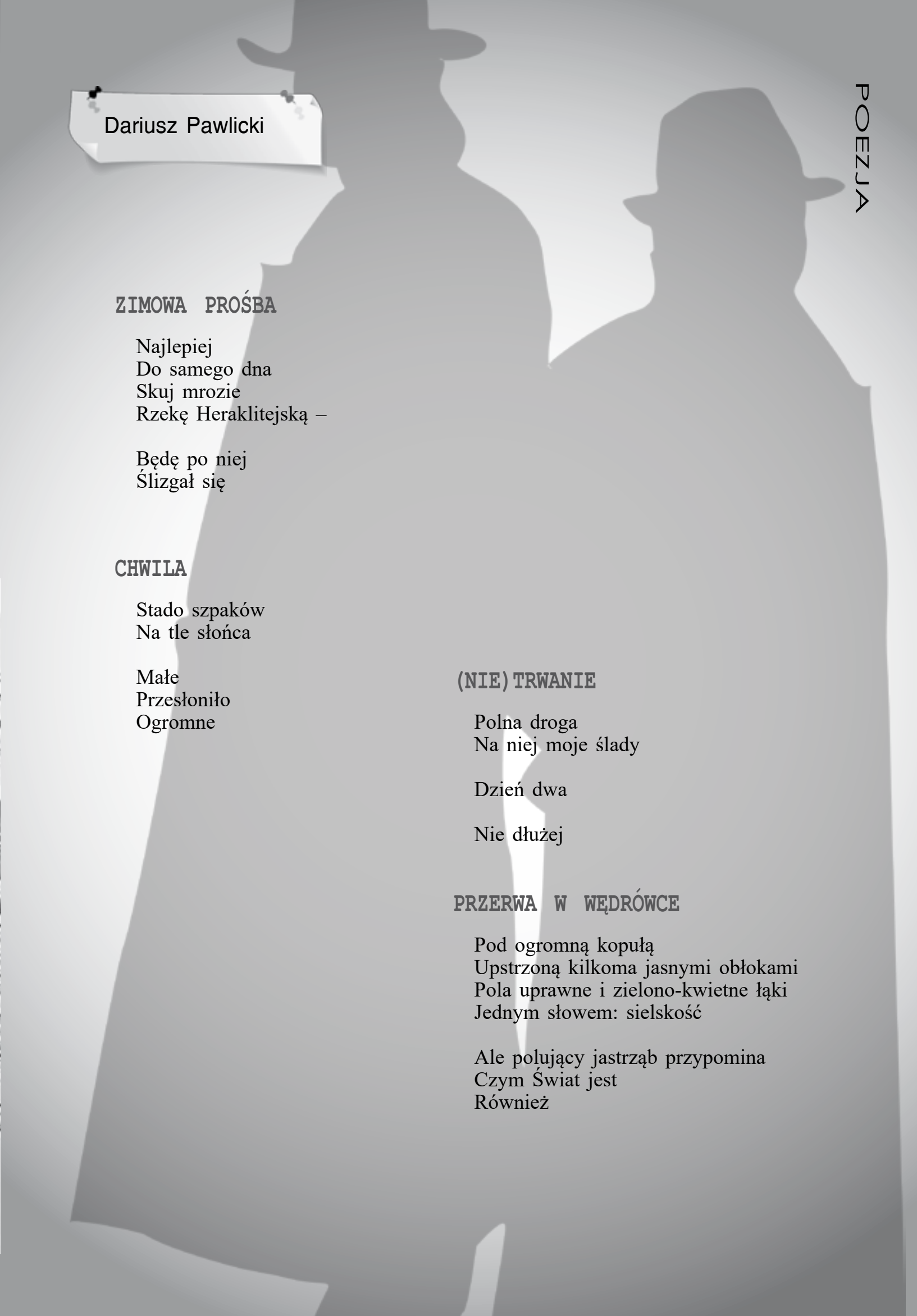
„Bardzo bym chciał, żeby coś po mnie pozostało, ale piszę wyłącznie dla siebie. Piszę bo mi to sprawia przyjemność”.

I nawet jeśli przyjąć, że jest to przykład autorskiej kokieterii – Herling-Grudziński wypowiadając te słowa był już bowiem znany (oczywiście nie było to powszechne) – to i tak jest on ważny i interesujący. Mówi bowiem o zadowoleniu z wykonywanej pracy. Także w sytuacji, gdy owoce tej pracy są znane jedynie nielicznym. I nic nie zapowiada zmiany w tym względzie.

DARIUSZ PAWLICKI



Marek Naszczak



Dariusz Pawlicki

POEZJA

ZIMOWA PROŚBA

Najlepiej
Do samego dna
Skuj mrozie
Rzekę Heraklitejską –

Będę po niej
Ślizgał się

CHWILA

Stado szpaków
Na tle słońca

Małe
Przesłoniło
Ogromne

(NIE) TRWANIE

Polna droga
Na niej moje ślady

Dzień dwa

Nie dłużej

PRZERWA W WĘDRÓWCE

Pod ogromną kopułą
Upstrzoną kilkoma jasnymi obłokami
Pola uprawne i zielono-kwietne łąki
Jednym słowem: sielskość

Ale polujący jastrząb przypomina
Czym Świat jest
Również

Roman Warszawski

Właśnie ukazał się kolejny tom z serii przygód Tomka – Tomek na Alasce. To wielka niespodzianka, bo autor, który stworzył niepowtarzalną postać Tomka Wilmowskiego, od 30 lat nie żyje.

Jednak sięgając do notatek Alfreda Szklarskiego antropolog **Maciej J. Dudziak** podjął się napisania tomu, który od dawien dawna był zapowiadany, a do którego stworzenia nigdy nie doszło. Podjął szlakiem księdza **Adama Zelgi**, który też – niejako w zastępstwie Szklarskiego, także już po jego śmierci – napisał *Tomka w grobowcach faraonów*. Nie bez kozery spadkobiercy Alfreda Szklarskiego we wstępie do jednej z książek o przygodach Tomka pisali: Często spotykamy się z prośbami Czytelników o przejrzanie archiwum Autora i wybranie kolejnych materiałów do publikacji (...). (1)

Dudziak z powziętego zadania nie tylko wyszedł obronną ręką, ale wywiązał się znakomicie: napisał książkę niezwykle interesującą, bardzo dobrze nawiązującą do poprzednich tomów serii i bezbłędnie wszedł w styl całej serii. Czyta się go tak, jakby w ręce miało się książkę Szklarskiego (którego nazwisko także pojawia się na okładce). Na dodatek przewodni wątek książki jest bardzo aktualny: Tomek na Alasce walczy z Rosjanami, którzy ten stan USA pragną na powrót przyłączyć do Rosji....

Niespodziewane ukazanie się książki stanowi znakomity pretekst do przypomnienia sylwetki ojca Tomka Wilmowskiego – zapomnianego już dziś pisarza, którego książki w okresie PRL-u osiągnęły nakład 10 milionów egzemplarzy.

Alfred Bronowski. Fred Garland. Alfred Murawski. To tylko niektóre z pseudonimów Szklarskiego. Nie tylko literaczkich. Na dwa pierwsze miał bowiem nawet papiery, które okazywał, gdy na ulicy zatrzymywała go policja albo milicja. Dokumenty te używał naprzemiennie z tymi, w których było zapisane jego prawdziwe imię i nazwisko: Alfred Szklarski, syn Andrzeja i Marii, z domu Karkosik. Pod koniec życia, dla przekory, na spotkaniach autorskich, albo w gronie przyjaciół – po kielichu – przedstawiał

się jako... Wilmowski! Alfred Wilmowski – ojciec Tomka Wilmowskiego.

– Skąd nazwisko pana najstynniejszego bohatera? – pytali go po latach dziennikarze. – Wilmowski pochodzi od niemieckiego słowa *der Wille* – wola – wyjaśniał. – Żeby realizować swoje niesamowite zamierzenia Tomek (prawie nigdy Tomasz, ponoć nie znosił tej formy tego imienia) musiał mieć żelazną wolę, siłę, determinację. Dlatego Wilmowski, żeby nie musiało być Wilowski, czy Willowski. To ostatnio nieuchronnie kojarzyło by się z willą, w czasach władzy ludowej – nie najlepiej.

SZKLARSKI. OJCIEC TOMKA WILMOWSKIEGO

Tu od razu docieramy do samego sedna sprawy. Do jego relacji z Niemcami i niemieckością. Miał z tym kłopoty. Nie małe. Szczególnie po wojnie. Trafił za nie nawet do więzienia.

To drugi problem węzłowy z jego życiorysu. Problem winy i kary. (Niczym u Dostojewskiego.) Także odkupienia. (Więc, nieuchronnie, skojarzeń z Dostojewskim ciąg dalszy.)

Ale po kolei. Wszak to *życiorys* naprawdę niezwykły. Bo kto z Polaków rodzi się w Ameryce? A on tam się właśnie urodził. Kto, urodziwszy się w USA, w wieku kilkunastu lat, ponoć z pobudek patriotycznych, wraca do Polski, która właśnie powstała? A to, a jakże, stało się jego udziałem. Kto wróciwszy do kraju, jak wieść gminna niesie z pobudek patriotycznych, niedługo potem zaprzeda się okupantowi? On. Kto, chcąc to po latach odkupić swoje wojenne przewiny, pisze niepowtarzalny cykl powieści dla młodzieży, który ma młodości przybliżyć i otworzyć świat? On, on, on.

Tak jak Elżbieta Dzikowska i Tony Halik otwierali dorosłym okno na świat prowadząc swoje programy telewizyjne i pokazując swoje filmy, tak on – Alfred Szklarski ów świat otwierał młodzieży i dzieciom, oddając w ich ręce niezapomniany *wieloksiąg* o przygodach Tomka Wilmowskiego. Jednocześnie młodemu pokoleniu zaszczepiał miłość do przyrody i zwierząt, co z dzisiejszego punktu widzenia (gdy planeta Zie-

mia stała w coraz większym zagrożeniu ekologicznym) wydaje się szczególnie istotne i co nieco później, także z powodzeniem, kontynuowali państwo Gucwińscy z wrocławskiego ZOO.

Czy cykl Tomek w krainie kangurów, Tomek na Czarnym Łądzie. Tomek na wojennej Ścieżce, Tajemnicza wyprawa Tomka, Tomek wśród łowców głów, Tomek u źródeł Amazonki i Tomek w Gran Chaco było odkupieniem win za współpracę z proniemieckimi czasopismami gadzinowymi, za co po wojnie Szklarski został skazany na osiem lat więzienia. (Wyszedł po czterech latach)

– On tego tak nie traktował, a przynajmniej nie przyznawał się do tego – mówi ksiądz Adam Zelga, autor *Tomka w grobowcach faraonów*, jeden z wieloletnich przyjaciół Alfreda Szklarskiego, z którym swego czasu przeprowadziłem obszerny wywiad dla *Dziennika Bałtyckiego*. – Choć szczerze mówiąc, mnie też taka odpowiedź się nasuwała. On, to robił, raczej widział to jako uzupełnienie luki w literaturze młodzieżowej, jaka pojawiła się w czasach komunizmu. Wiele młodzieżowych książek z okresu międzywojennego trafiło na indeks. On chciał tę lukę wypełnić. Włać w nią nową treść. Musiał od dość dawna nosić się z takim zamiarem, bo jego książka *Tomek w tarapatkach* z roku 1948 była już jakby zapowiedzią *Tomka na Czarnym Łądzie*. Wiedział, że ma łatwość pisania i że jest w stanie takiemu ważnemu zadaniu podołać.

– Wzorował się na *W pustyni i w puszczy*? – pytałem dalej.

– W pewnym sensie na pewno. Choć w rozmachu i w dalekosiężności swego przedsięwzięcia był, jak sądzę, lepszy od Sienkiewicz... Miał też w sobie coś z Sienkiewiczowskiego bohatera..

– Z Kmicicą?

– Właśnie...

Łatwość pisania. Często zgubna. Jego też doprowadziła na manowce. Bo gdyby nie ona, gdyby nie wewnętrzne przekonanie, że umie pisać i że robić to powinien, najpewniej nigdy nie trafiłby do gadzinowej prasy czasu okupacji, potem przed sąd, w końcu do więzienia, a jeszcze później do Wydawnictwa Śląsk w Katowicach, gdzie najpierw był redaktorem, a potem redaktorem i jednocześnie najważniejszym autorem osiągniętym największą popularność (właśnie za cykl o Tomku) i najwyższe nakłady, które – dziś można tylko o tym pomarzyć – szły w setki tysięcy egzemplarzy.

W jego zapiskach czytamy: Wiedziałem, że umiem pisać, że to, co piszę ludziom się podoba i że pisaniem muszę zarobić na życie. Swojej współpracy z wojennymi nazistami tytułami prasowymi nigdy nie traktowałem jako kolaboracji. Bardzo długo nie widziałem w tym nic złego. Publikowałem tam przecież tylko sensacyjne powieści, nie bawiłem się ani w propagandę, ani w politykę. Chciałem tylko pisać, widząc, że ludzie chcą to czytać, że nie mogą doczekać się następnego odcinka. Refleksja przyszła dużo, dużo później – myśl, że inni mogą to widzieć inaczej. W Powstaniu walczyłem w AK i po tym co robiłem poprzednio, wcale nie wydawało mi się to dziwne, lecz całkiem normalne, naturalne. Potem, po wojnie, raczej stałem się ofiarą donosów różnych zawistników – także takich, którym pisanie przychodziło ze sporym trudem. To prawda, że dostałem wyrok, ale w tamtych czasach nie było o to szczególnie trudno. Z drugiej strony – wypuszczono mnie grubo przed terminem. Na szczęście. To też o czymś mówi.

Czyli raczej nie ma mowy o tym, by cykl o Tomku (a potem pisany razem z żoną, Krystyną trójksiąg o powstaniu Indian z Gór Czarnych, czy książka o sobowtórze profesora Rawy) były rodzajem swoistego zadośćuczynienia za wojenne przewiny?

To wcale nie do końca jest pewne, bo kilka brulionów dalej, w zapiskach Szklarskiego znajdujemy passus:

Jeśli coś w moim życiu było nie tak jak trzeba, myślę, że swoje odpracowałem i że wyrządzone zło (jeśli takie było) wielokrotnie sptałem. Tomek – postać, którą stworzyłem niemalże z własnego nie tylko ducha, lecz ciała – trafił do serc milionów. Uczył miłości ojczyzny, sprzeciwu wobec caratu, szacunku dla Ziemi, dla przyrody. Szczepił młodych wtedy, kiedy ich młode głowy takie szczepienia najchętniej przyjmowały i do takiej szczepionki Ignęły. To jest porcja przygód i literatury, która zostawia ślad na całe życie. Kto przeczytał jeden tom z serii o Tomku, ten najpewniej zaraz potem sięgnął po cały cykl. A kto przeczytał mój wieloksiąg, nie mógł nie czytać potem Kiplinga, Fiedlera i wielu, wielu innych. Nie mógł po latach nie ruszyć w świat i łaknąć, chłonąć go samym sobą...

Tak rzeczywiście było. Gdy zapytać dziś Martynę Wojciechowską, Marka Kamińskiego, czy Marcina Kydryńskiego, co było u zarania ich pasji poznawania świata, od razu poprawiają: nie co, lecz **kto**. Kto? Ależ tak, Tomek Wilmowski – nieustraszony bohater z książkowego cyklu pióra Alfreda Szklarskiego. Człowieka, który sam tylko raz był za granicą

(wszak urodził się w USA), a potem już nigdy nie wychylił nosa poza demoludy. W jego zastępstwie, na kartach książek o Tomku, podróżował jego młody, reżolutny bohater...

Choć i tu jest jeszcze jedna tajemnica w tym niezwykłym i na pewno nie do końca jednoznaczny życiorysie. Jak dowiedziałem się od jednego z przyjaciół Alfreda Szklarskiego, ten był wielkim miłośnikiem lotnictwa. Należał do katowickiego aeroklubu i w wolnych chwilach między wysyłaniem w świat kolejnych tomów powieści o Tomku, budował własny niewielki samolot. Miał już nawet na nim za sobą pierwsze podniecające loty. W tajemnicy, nie posiadając jeszcze wszystkich dokumentów pozwalających awionetce oderwać się od ziemi.

Podobno Szklarski tym samolotem zamierzał zbiec na Zachód – przelecieć przez Karpaty do Wiednia. Marzyła mu się wielka międzynarodowa kariera książek o Tomku Wilmowskim, o czym nie chciano słyszeć w Wydawnictwie Śląsk. Ponoć uważał, że jako uciekinier za Żelaznej Kurtyny, szybko zyska rozgłos – podobnie jak jego bohater. Planu tego nie zdążył już jednak realizować. Najpierw niespodziewanie nadbiegła wolność (nie było już po co uciekać), następnie – w roku 1992 – śmierć.

Inny znajomy Szklarskiego mówi, że z tym samolotem wcale nie chodziło o ucieczkę. Pisarz – według niego – czując, że zbliża się ku kresowi swych dni, zamierzał wzbić się w nim w powietrze i polecieć ku słońcu. Tak długo, jak będzie to możliwe. Aż zabraknie paliwa. Potem, po prostu, chciał spaść na ziemię. Oczywiście na bezludną okolicę. Jak kamień. Jak zraniony ptak. Na pokład chciał zabrać ze sobą wszystkie książki o Tomku, z którym z biegiem lat coraz bardziej się identyfikował.

Popularność Tomka Wilmowskiego nadal jest spora. W Internecie z zaskoczeniem odnalazłem dziesiątki stron, które są mu poświęcone. Popularyzowaniem tej postaci zajmują się zarówno ci, którzy przed laty z wypiekami na twarzy śledzili jego losy, jak i osoby, dla których jest on postacią, o której usłyszeli od swoich rodziców. Z kolei postać Alfreda Szklarskiego, którego losu w nieunikniony sposób splatają się z losami jego bohatera, jest nie mniej pasjonująca. A może – przez jej niejednoznaczność i pewne życiowe zagmatwanie – jeszcze ciekawsza?

ROMAN WARSZEWSKI

Chodzi o książkę Tomek w tarapatach, w której pojawia się pierwowzór postaci Tomka. Szklarski napisał ją pod pseudonimem Fred Garland. Tom w ostatnich latach dwukrotnie został wznowiony przez wydawnictwo MUZA (2004, 2022).

Marek Naszczak



Zbyszek Ikona -
Kresowaty

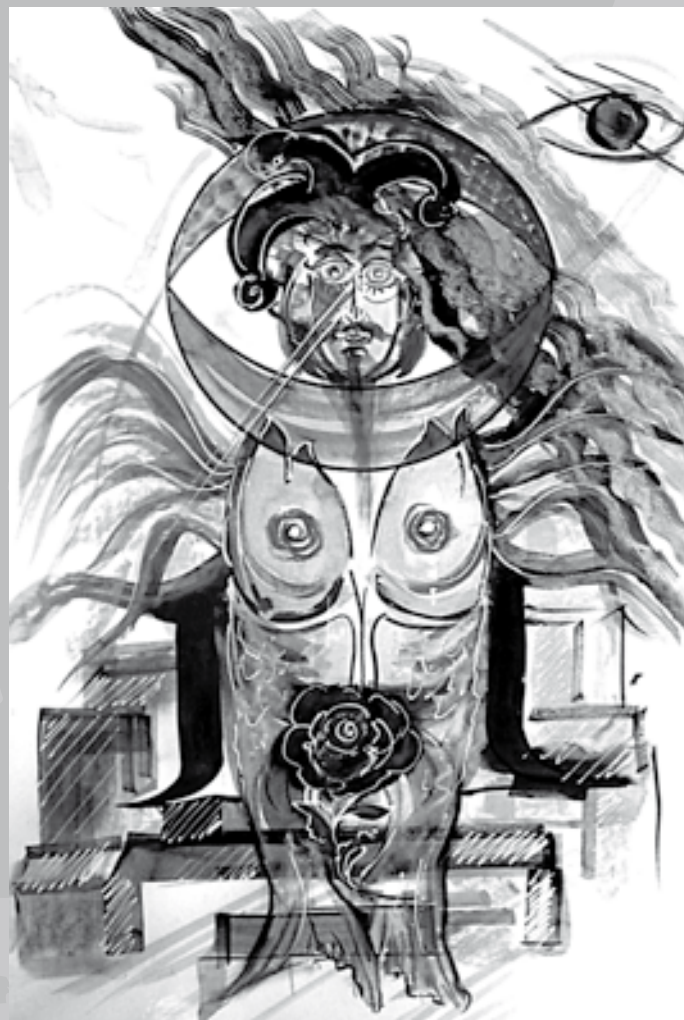
NA ZNIKANIE CZASU MUZY TREN Z URIELEM

Odchodzą cienie a ty słaniasz się

- „kiedy wpatrujesz się w przestrzeń
Ona również podgląda ciebie”
Nietzsche

Dlaczego znów oglądam zaćmienie słońca?
Przecież nie tak dawno już było minęło odeszło?
- Przecież widzę i czuję ten rybny czas zapach Muz
A ty okrywasz się płetwami aury morza jak sina zjawia
Twój sen coraz bardziej z mych oczów sino sypie
Teraz - wiem jeszcze tylko moja krzywa twarz
Odprasowana choć pomięta krzyk z obrazu Munka
Jeszcze twój cień kotyczą się na wieżach w postrachu
Łopotem powiewa wnet zabierzesz jego powiew głos
Nim odrzucisz długie włosy na falie czasu pokręcone dni
W szumie zatok i mórz Teraz falują jak u plaży zygaki
Nie zamykaj jeszcze po-wiek na wieki czarnych rzęs
Zostaw dla mnie fiołkowy zapach olejku z nocy - rano
Wylanego jak imię twoje - patrzę przez twoje oczy
Jesteś po kilku seansach trucizny a źrenice twoje płyną
I błękitniej nad rozwartymi ustami pochylony sen Uriela
Ale to nie ten śpiew nie ten grymas na chwili Jego światła
Usiąść muszę pod kamiennym drzewem - Tam kamienny
Słownik już wyraźniej słyszę jego głos w kolorze grin
Już faunem staję ciepły deszcz wypełnia cięcia pojemnik
Grywałem na au-losie zaraz zjawi się tu przystojny kat?
Szarej godziny z samotnością jednak zostaję nie z tobą
W niej twój dotyk bezgłośnie snuje się zatoką łopot kopyt
Białą koń biegnie brzegiem? - z płonieniem Dalego
Gdzie to miało się zdarzyć? - pamiętasz jeszcze to Coś?
W Kontach Rybackich? - biały żagiel oznaczałby pokorę
Nie zapomniany jest ten czas nie gniewam się na śmierć
Czuję drepta po piasku jeszcze Ktoś i zostawia czcionki
Trzeba mi je tylko odczytać a później odpowiedzieć
Napisać kolejną ikonę - tylko jak ją będzie nazwać?
Druk podrapany - zapis namiętnie odchodzi jak LOV
Jeszcze Tunel w nim jakby żołnierz jedwabny czekał?
Na śmierć zapomniany nie musiał marmować piękna
Odwagą by je nazwać wziąć do siebie jak nagrody część
Chociaż do tego podziwiania jest potrzebne światło
Ale gdy zniknie jego cień pojawi się niebieski zaśpiew
Eskadra chórów służebnych i jednej strodziej chwili sens
Elektroda zapachu dotknie i moich ust przełknę grude
Zwęglonej śliny nutę naszego bytu w mgielnej ciszy
Później będzie urokliwy krzyk czy muszę go pojąć?
Odestać daleko ileż to ikon pamiętam odsyłałem w dal
Każda była okienkiem na świat Boga piszę znów wołam
W te okienka - szukam wyobrażenie świętych śmierci
Ty idź ja przyjdę po nitce obok psów i ryku Upióra świata
Wszystkie ikony teraz w łodzi mi świecą a widzę ich oczy
Pojmuję te światła i ich wyobrażenia łaskę słów?
Ty już rozumiesz przestrzeń inaczej podglądasz - czekasz
Czuję ją wciąż siedzę pod kamiennym drzewem Dramy
Słownik kamienny ciągle śpiewa coraz wyraźniej Go słyszę
Chociaż każdy dźwięk w postuchu dla Nuty Jedynej mały
To widzę każda przestrzeń jest - zawsze na obraz za matą
Tyle jeszcze trzeba widzieć - zajrzeć w kosmiczną sień
A każdy zaśpiew na to pragnienie mały niby bajka
Po cichu prawdą dla dziecka naszego chatką księżycza
Teraz za częsty i błyskotliwy twój okrzyk w ogrodzie
Światła - ja ich nie widzę lecz czuję za ramionami
Nawet gdy obraz już namalowany dla obrazu dni Które
Nastaną po nastaniu innych obrazów coraz bardziej
pojmuję obrazy z ogrodu Malewicza już znam ich mowę
I dlatego bardziej rozumiem malarstwo na starych skatach
Będę cię tam szukał namaluję twą zatrzymaną twarz
Zostań podszeptuj znajduję ją - Wnet umrze cywilizacja
Pojawią się humaidalne filmiki fabuły i obrazy innego czasu

Kim Teraz jesteś? - kim ja? - Jesteśmy znikającymi punktami
Bo kiedy umierasz Muzo zaczyna się koniec kolejnego świata
Zaczyna kolejny uder światła - wpatruje się on w przestrzeń
Nałożoną na przestrzeń czas i mało dla niej miejsca na miłość
Bo każda jest nienawością dla samej siebie - i jest tylko w niej
Droga na przód - a wtedy niesamowicie wszystko Tam
Teraz będziesz oczyszczać swoje myślenie z nienawiści
Ciało zawierysz tajemnicy a egzegezę oczekiwania rzucisz
W dziwne sny nie wiedzieć czy będziesz wierzyć Bogu
a nie w Boga!?



Na odejście Muzy czarna róża - wyk. Zbyszek Ikona - Kresowaty

Nie warto pamiętać o przeszłości która może stać przeszkodą
Lub przyszłością - wiem każdy człowiek i zwierzę żyje i umiera
Ale nie każdy żyje naprawdę w sumieniu swego światła - to
Ono jest śmiercią wszelkich aktów tu i Teraz jest - w oczach
Pod po-wiekami - Kiedy mijamy się ulicą życia mijany czas już
nie jest - to Nirwana pole prowadzące daleko w kolory nowe
Tylko auto napędzane szumiącą struną szelestu zostawia jedynie
kołowate znaki kolejnych cieni w kosmosie barda widzę śmierć
Ona żyje - śmieje się pokazuje rozwarte usta i ładne zęby

ŁĄDEK - ŹDRÓJ - 02 - 11-2022

- To mój największy dystans w przestrzeni ku przestrzeni:
nieokreślony, choć tak często w literaturze eksploatowane jego
miejsce pomiędzy życiem a wiecznością, to baro, katharsis (choć nie
w owym znaczeniu ukutym przez doktrynę wiary). Miejsce, w którym
czas nie odgrywa roli, za to znaczenie ma duchowe oczyszczenie
z ziemskich trosk, tylko czasowe pogodzenie się ze sobą i z losem
inicjującej Sztuki, na która zawsze czyha kosmos.

ZBYSZEK IKONA KRESOWATY

Marek Wawrzekiewicz

POEZJA, CZYLI KŁAMSTWO KONIECZNE

Gdy się wieczór nachylił, Pani, na mnie wejrzyj,

Niech z Twego zezwolenia znów wybuchnie pamięć.

Ta przestrzeń znaczy tylko, którą wiersz przemierzy

I to jest tylko moje, co w tym wierszu skłamię.

Napisałem ten wiersz dawno, dawno temu. I teraz po przeszło pół wieku poczułem, że muszę się z niego wytłumaczyć.

Wyobrażam sobie, że dziewczyny zawodowo uprawiające striptiz mają z tego nie tylko pieniądze, ale i swojego rodzaju przyjemność. Jej źródło wypływa z zachwyconych oczu panów, ale także z krytycyzmu, (bo przecież nie zazdrości) towarzyszących im pań. Oczywiście, jeśli panowie zabrali ze sobą swoje partnerki. W celu dokonania porównań?

Pojęcia nie mam o rozkoszach, których doznaje ekshibicjonista – no, chyba że się obnaża upalnym latem.

Poeta też jest ekshibicjonistą, tyle, że bardziej bezwstydnym. Obnaża bowiem nie ciało, ale coś bardziej intymnego – duszę. Wystawia na widok publiczny swoje uczucia. Ale że nawet największy bezwstydnik ma odrobinę skromności, to poeta kłamie: tu i ówdzie się zastrania. Uważny czytelnik, a nawet krytyk, szukają bowiem w wierszu jego autora, próbują odnaleźć okoliczności, osoby, daty i miejsca. A poeta, czyli zawstydzony ekshibicjonista, powiada: - to nie ja, to podmiot liryczny. I docieklivy krytyk wychodzi na głupka. Wprawdzie jest to dla poety wygrana połowiczna, bo podejrzenia zostają, ale dobre i to.

Jeśli ten wywód nie tłumaczy wyżej przytoczonego wiersza, to dobrze, tak miało być. Uważam się za bardzo wstydlivego ekshibicjonistę.

Poeta zastrania się, czyli w wierszu kłamie. Nie mam zamiaru obnażać innych poetów. Wiem, że kłamią, ale w liryce nie ma twardej dowodów. Są podejrzenia, a nie ma nic piękniejszego niż podejrzenia graniczące z pewnością. Szanuję i podziwiam kłamstwa poetów, jednak z braku dowodów, będę uodwadniał kłamstwa na przykładach własnych wierszy. Ile w tych dowodach jest kłamstwa? Nic. Prawie nic. No, może odrobiną.

* * *

Nie pamiętam, kiedy w naszych czasach wznowiono jakieś dzieło Marii Dąbrowskiej, jej twórczość powraca do nas chyba tylko w powtarzanej telewizyjnie ekranizacji „Nocy i dni”, choć nie jestem pewien czy współczesny widz wie, że najpierw była książka, a dopiero znacznie później film i serial. Zapomnieniu uległo też opowiadanie „Na wsi wesele”, którego akcja rozgrywa się w powojennej Polsce. Przypomniałem sobie to opowiadanie i napisałem wiersz. Ujawnię wszystkie zawarte w nim kłamstwa, ale najpierw – za co przepraszam – muszę wiersz w całości przytoczyć.

Tak było: w mazowieckiej wsi Pniewnik widać tę scenę. Upalny przedwieczór, piaszczysta ulicówka, uciekający i ścigający uzbójcy w sztachety i inne przyrządy perswazji; może nie był to tłum, ale kilka osób poci bardzo męskiej z pewnością tak. Obrządek ten towarzyszył niemal każdemu weselu. O samych weselach rychło zapomniano, ale o bijatykach pamiętano długo. I to jest praw-

Sztacheta

Działo się dawno, dawno temu na Mazowszu ukochanym Przez Broniewskiego i Baczyńskiego oraz pomniejszych poetów. Na wsi wesele – żeby przywołać Dąbrowską. Ale Pani Maria Nie była na mazowieckim weselu, więc nie wiedziała, Że co to za wesele, jak rodzina pana młodego nie leje Rodziny panny młodej albo odwrotnie. Nie wiedziała też, Że potem do tego żelaznego punktu uroczystości Przyłączy się ogół weselników bez względu na przynależność Plemienną. W użycie idą prawie wszystkie części ciała, A następnie podręczne rekwizyty.

Cóż to był za widok! Letnie, rozkwiecione popołudnie, Ulicówka w tumanach kurzu i pędząca przez nią Wataha biesiadników! Dżingis Chan z zazdrości W grobie się przewracał. Kłusowałem i ja, bezstronny, Niezaangażowany po żadnej stronie świadek. Była w tej gonitwie jakaś niepojęta, podobna do kosmosu Logika. Do tej pory zgłębiam kosmos i wiejskie wesele.

Już i – nie wiedzieć skąd – pojawiły się kłonicy, Zafurgotały w spracowanych rękach orczyki, a nawet Posłużono się chyba dyszlem. Ale przede wszystkim Użyto wyrwanych z płotów sztachet.

Opatrywano mnie w węgrowskim szpitalu. Wylizesz się, chłopcze – powiedział sędziwy lekarz - Parę centymetrów dalej, a miałbyś gwoździe w czaszce.

Pozostał we mnie żal. Bo gdyby nie te parę centymetrów, Może byłoby inaczej. Może celnie zagwoździowany Napisałbym genialny wiersz o Mazowszu, albo lepsze niż Dąbrowska Opowiadanie pod tytułem Na wsi wesele.

Miej to na względzie ludu Mazowsza i innych regionów: Alkohol nie sprzyja precyzji, co z kolei niekorzystnie wpływa Na wielką poezję polską.

da wiersza. Kłamstwo: oglądałem ten obraz sześćdziesięcioletni oczami, nie mogłem, więc uczestniczyć w weselu i wszystko widziałem zza płotu z wyrwanymi sztachetami. Nie byłem więc zagwoździowany. A rolę sędziwego lekarza z Węgrowa przydzieliłem lekarzowi z Kutna, którego poznałem kilka lat później. Doktor Jędraszko był bardzo stary, do osłuchania pacjenta nie używał stetoskopu, a drewnianej słuchawki w kształcie trąbki. Była to epoka przed tomografami, USG, rezonansami, ale doktor diagnozował bezbłędnie. To oczywiście: Maria Dąbrowska pisała o konfliktach wynikających z przekształceń powojennej wsi polskiej, a ja przywołałem pamięcią obrazek z wojennej wsi mazowieckiej – tak, i w czasie wojny odbywały się wesela, tak, i w czasie wojny Polacy nie tylko walczyli z okupantem, ale też tłukli się między sobą. Czyli mój wiersz z opowiadaniem wielkiej pisarki nie ma nic wspólnego. Jest więc nadużyciem wynikającym z kłamstwa.

* * *

Było to dawno, dawno temu, w czasach, kiedy w Polskim Radiu, nawet w I programie, pojawiały się literatura, a nawet poezja. Siedzieliśmy letnią porą w jakimś ogrodzie za

miastem i słuchaliśmy radia – bo akurat szły tam moje wiersze. Jednego z nich nie mogę odnaleźć, ale częściowo go pamiętam:

*Wkrótce pojedę na północny wschód,
zamieszkać w leśnym domku nad
jeziorem...*

i dalej coś o tym, że pewnie będę się stawał ściółką leśną, uronionym ptasim piórem, częścią rybiego skrzelu. A wierszyk kończył się słowami:

...ale i tak niczego nie zapomnę.

Bo sobie głupio pomyślałem, że skoro jest coś takiego, jak pamięć genetyczna, jeśli coś takiego po przodkach dziedziczymy, to i ja po sobie jakiś spadek pozostawię. Jakiś. Taki właśnie.

Dwudziestokilkuletni Waldek, Bogdan, czy jak mu tam było, wyśmiał mnie – wujek, co ty pieprzys!

I dziś spotykam ludzi, z którymi nie da się rozmawiać. To jest ten osobliwy rodzaj homo sapiens, który uważa, że jeśli czegoś nie rozumie, to jest to złe i głupie i bez sensu. Przemilczałem. I wcale nie jestem pewien, czy i dziś zachowałbym się inaczej. A przecież mogłem...

→
E
S
U
-Waldku, Bogdanie (wciąż używam wo-
łacza), czy jak ci tam! Przecież byłeś kiedyś
na pogrzebie i styszałeś, co ksiądz mówi nad
mogilą: z prochu powstałeś i w proch się ob-
rócisz. Ale księdzu nie chodzi przecież o proch
strzelniczy. No więc – jak ci tam! – mój wiersz
jest też właśnie o tym.

I myślę, że nie ma w nim kłamstwa.

* * *

No, dobrze. A teraz nie oddzielając prawdy od kłamstwa, spróbujmy udowodnić, że kłamstwo w poezji jest niezbędne. Trzeba – przepłatając te dwie opozycje – przekonać, że tylko z ich spłotu może powstać wiersz. Muszę, niestety, swój wiersz znów zacytować w całości.

Tak było. Usłyszałem w telewizji taki właśnie komunikat. Nie sprawdziłem, czy tę zapowiedź zrealizowano, ale bardzo mnie ona poruszyła, odebrałem ją, jako koniec pewnej epoki. I wróciło wspomnienie: jeszcze we wczesnych latach pięćdziesiątych w niewielkich, wiejskich urzędach pocztowych widniały takie właśnie wzory pisania telegramów. Prawdopodobnie zostały przeniesione z międzywojnia, kiedy naród mniej pisał – bo nie umiał, a potem, we wstępnym okresie tzw. PRLu, dopiero się uczył. Wyobrażam sobie, że przed wojną ktoś z miasta zawiadomił o swoim przybyciu krewnych mieszkających na wsi, w ubogim dworku. Nie określał godziny przyjazdu, bo pociąg w tej okolicy kursował raz na dobę. A te konie wysyłane na stację nie były osiodłane, a zaprzężone do bryczki. I, jeśli rodzina była zajęta np. żniwami, to pojazdem kierował – lokaj? stajenny? Był to Józek, albo Jasio, albo Wacek. I jemu przypadła zaszczyt witania przybysza z wielkiego świata i poinformowanie go, co się w ostatnich latach u gospodarzy zdarzyło. Dziś powiedziano by: co miało miejsce.

Skojarzyła mi się ta sytuacja z klimatem Rittnera – m.in. ze sztuką „W małym dworku”. Próbowałem się w ten klimat wpisać złocistym wieczorem, bryczką skrzypiącą (bo właściciele nie byli zbyt bogaci) i Józefem, który też skrzypiał (bo był stary). I jeszcze jedna prawda: w dzieciństwie widziałem aż dwie głupie Kryski. A przecież nie były one głupie, były po prostu obłąkane. Jedna z nich latała po wsi krzycząc, płacząc lub wybuchając śmiechem, mniejszą potrzebę załatwiała bez przykucania. Takie osoby otoczenie traktowało z pogardą, ale jednocześnie z rodzajem lęku, może uważano, że są na swój sposób nawiedzone. Przeniesienie takiej postaci w czasy współczesne było z mojej strony podługą złośliwością wynikającą z przykrych doświadczeń z urzędami różnej rangi.

Ten wiersz napisałem dwadzieścia lat temu, kiedy coraz częściej zaczynałem myśleć o opuszczeniu tego też padotu. Okazało się jednak, że prawie wszyscy, których zobowiązałem do rozsypania moich prochów, już nie żyją. A ja tak. Z pewnym poczuciem niestosowności. Pomyślałem też wtedy, że wołałbym, aby o tym ostatecznym fakcie powiadomiono świat staroświecką depeszą.

I jeszcze jedno: przy leśnych drogach mojej ulubionej Suwalszczyzny, w czerwcu, rośnie piękny kwiat – fioletowy łubin. Jest bardzo nietrwały, umiera w pół godziny między zerwania, a umieszczenia go w wazonie.

Jeśli jest w tym jakaś metafora, to na prawdę nie wiem jaka.

* * *

Szczerze podziwiam poetów, którzy zachwycają się wszystkimi swoimi wierszami i nawet poetyckie pierwociny czytają z rozczuleniem. A przecież nawet tym największym zdarzyły się utwory chybione. Niektóre zostały przez autorów trafnie pominięte, niepubliko-

Z powodu depeszy

W telewizji powiedzieli, że już wkrótce poczta zaniecha świadczenia telegraficznych usług.

Ach, jaki ból...

Już nigdy nie przeczytam w małych urzędach pocztowych Tych wzorów pachnących rezedą i naftaliną:
Przyjeżdżam wtorek. Wyślijcie konie na stację. Janek.
Dziadek zmarł. Pogrzeb piątek. Nieutulona babcia.

Nie jestem Jankiem. Ale tyle razy z nim
Jechałem ze stacji. Przez piasek, kamienie
I starożytne kałuże.

Zapadał złotawy zmierzch. Skrzypiała bryczka
I wierny Józef. Zza rowu
Krwawą źrenica błyskał jeź albo diabeł Rokita,
A z odległej wioski dolatywał
Dziki chichot głupiej Kryski.
Dziś we wsiach takich głupich nie uświadczysz.
Wszystkie na urzędach.

Jestem dziadkiem. Ale nie ma babci,
Utulonej, a cóż dopiero nieutulonej.
I nie pogrzebano mnie w piątek.
A szkoda. Sobota to taki dobry dzień
Na klina po konsolacji.

Nikt nie zachowa w zapomnianej komódce
Tych telegramów w czarnej ramce.
Nie ma depesz. Skończyły się przede mną.
I kto by pomyślał,
Że jesteście trwalsi od papieru!

Może jakaś litościwa dusza roześle kilka SMSów:
Marek zmarł. Pogrzeb poniedziałek.
Przyjedźcie na lysym pegazie.

A jednak, chłopcy, wynajmijcie bryczkę.
Zabierzcie puszkę ze mną jadąc gdzieś za miasto.
Upijcie się, proszę, choć to poniedziałek.
Wysypcie mnie mimochodem po drodze,
Na jakimś wygodnym wyboju.

Najlepiej tam, gdzie kwitnie
Fioletowy łubin.

sierpień, 2002

wane, ale ich spadkobiercy lub badacze (szperacze?) triumfalnie je ukazują światu.

Ukazało się chyba 30 moich książek poetyckich. O debiucie wołę nie wspominać, źle myślę też o czwartym tomiku wierszy. Wierszom z innych zbiorów dziwię się, żyzmam, wrzuszam ramionami: po co napisałem coś takiego? I, co ważniejsze, po co to publikowałem? Ale za chwilę się pocieszam: no tak, wiersz lichy, ale zaraz obok jest inny, udany. Nie o tym jednak.

Dziś, po latach, wiem, że nie wydatbym przynajmniej dwóch innych tomików – nie będę wymieniał ich tytułów. Dlaczego podjąłbym taką zubożającą decyzję? Bo za mało w nich kłamałem. Powodowany namiętnym uczuciem pisałem wiersze otwarte, łatwe do rozszyfrowania, z niemal dokładnie wskazanym adresatem, wiersze bezradne i bezbronne, pozbawione kamuflażu.

A poza tym: miłość na naszej szerokości geograficznej jest przywilejem ludzi młodych, najwyżej czterdziestoletnich. Po pięćdziesiątce jest rodzajem zwyrodnienia, zboczenia. Ludzie bardziej tolerancyjni powiedzą: nie wypada.

Poeci kłamią na różne sposoby.

Ubierają swoje przeżycia w kostiumy z dawnych epok, udają, że ich uczucie zdarzyło się komuś innemu, kilkadziesiąt lat temu.

Przenoszą je (to rzadsze) w świat fantastyki.

Zapisują swoje uczucia w drugiej i trzeciej osobie liczby pojedynczej.

Jeśli adresat jest tej samej płci, to piszą wiersze bezosobowo, tak, aby nie był to rodzaj ani męski, ani żeński, ani, tym bardziej, nijaki. Choć wiersze wcale nijakie nie są.

Przenoszą aktualne uczucia w młodzieńczą przeszłość, udają, że to, co dzieje się teraz, wywodzi się ze wspomnienia.

Poddani małżeńskiej kontroli bezlitośnie kpią z miłosnych pomyłek.

Zmieniają imiona adresatów/ adresatek.

Uciekają się w biologię albo mistykę. Może nawet metafizykę.

I tak dalej, i tak dalej.

Poezja kłamie. I dlatego jest poezją. Poezja mówi prawdę. I dlatego jest poezją.

MAREK WAWRZKIEWICZ

Anna Paszkiewicz

boją się spojrzeć w niebo
tam przecież nieograniczona przestrzeń
brakuje stałych linii i wyznaczników prędkości
lepiej iść z opuszczoną głową
patrzac ostrożnie pod nogi
by nie potknąć się o ziarnko piasku

zmartwiony Bóg zsyła deszcz
w kałużach odbija dla nich chmury

nieustannie układają się i moszczą
na granicach zakazów i nakazów
po co wychodzić z klatek
skoro można się skulić
i poczekać aż ktoś rozmasuje plecy
zamykają oczy by nie widzieć bylejakości

zepchnięta na margines wolność
krzyczy nawet przez łzy
nie zamierza milczeć
w końcu jest rodzaju żeńskiego

na carskim tronie zasiadł diabeł
niebąłym ruchem dłoni przesunął
pionki na szachownicy świata
zwinnymi palcami zaplótł nowe sznurki
nawet marionetki potrzebują czasem
iluzji że potrafią jeszcze samodzielnie
tańczyć

zły dotyk przylepia się jak druga skóra
nasiąkasz nim aż do szpiku duszy
możesz szorować do krwi i codziennie
przemywać łzami
kąpać się w wodzie z chrzcielnicy
lub mleku świętej krowy
nie schodzi po kieliszku wina
ani nawet całej butelce
zdrap go z lustrzanego odbicia
tylko po drugiej stronie
zegary chodzą wstecz

powiadają że czas leczy rany
a on tylko utrwała blizny
liże je końcówkami wskazówek jakby
chciał się upewnić że
nie straciły smaku
otwiera je i zaszywa
tworząc nieskończone pętle
przestanie je drażnić dopiero
po udanej amputacji życia

powiadają że aniołom skrzydła odrastają
pod osłoną nocy bo za dnia muszą
dźwigać zbyt wiele cudzych trosk
uginają się codziennie pod ciężarem
spojrzeń które kruszą nawet srebrne
aureole hartowane w czeluściach mordoru
ich blizn nie widać gołym okiem
tak jak pereł zamkniętych w muszli
kropą krwi z serca drażą skalę
na odnowienie świata

wymieniamy życzenia pokorni wobec
tradycji nakazującej odpowiadać słowem
na słowo

ile w nich naszej wiary a ile pobożnych
życzeń że kiedy staniemy na palcach
dotkniemy nieba?

nie powtarzaj formułek i pustych myśli
tam gdzie z jawy rodzą się sny
tylko oczy powiedzą prawdę

rodzimy się jako tyrani
bez świadomości bliźniego
z głodnym ja splecionym ciasno z pustym
łonem matki
unieruchomieni przez zwykłą kolej rzeczy
wysyłamy na misje satelity dłoni
by zachłannie badały dla nas faktury
i kształty wszechświata
złowione przypadkiem cząstki
łapczywie pchamy w bezzębne usta
jak czarne dziury pochłaniamy
obrazy smaki dźwięki
ze stacjonarnej kapsuły ciała
uwalnia nas dopiero czas
upojeni wolnością możemy wreszcie
pokonywać przestrzeń

zmiłuj się nad nami panie
bo zgrzeszyliśmy nadgorliwością
szukając dziury w całym
i drugiego dna w spokojnym nurcie rzeki
dzieliliśmy włosy na czworo
zamiast rozpuścić je na wietrze
aż dobre chwile umarły
na krzyżu wzajemnych oskarżeń

czekamy teraz w ciszy
czy los odsunie kamień
odbije na całunie nasze dawne twarze
opatrzy wszystkie rany
pozwoli spojrzeć w przyszłość

dzisiaj jeszcze nas tam nie ma
zmartwychwstaniemy jutro

Michał Bukowski

...SEN MARA...

/teksty oniryczne/

słońce

Staliśmy na którymś z niższych pięter i patrzyliśmy w górę. Niebo było wysoko i droga doń prowadziła studnią, nieregularnie zabudowaną ze wszystkich stron. Nie wiadomo skąd wpadało do niej światło słoneczne, trafiało na szybę któregoś z pięter, rozlepiato się na niej plackiem, potem odbijało się i opadało dalej w dół, by znów przytulić się na kolejnej szybie. I tak oto, choć wcale słońca nad studnią nie było, była ona pełna światła i pół-swiatła, przemieszanych przyjaznymi pół-cieniami.

Na naszym podejście biegały dwa, może trzy psy Gospodyni. Jeden z nich był szczególnie śmieszny - mały, biały, toczył się jak kulka z zaskakującą szybkością.

Nagle pojawił się wielki pies, wilczur czy może mieszaniec. Miał zły wygląd i złe oczy i ledwo się pojawił, już rzucił się w moim kierunku - nie zdążyłem zeszytnieć, kiedy uświadomiłem sobie, że on pędzi nie ku mnie: wilczur nie zatrzymał się na mnie, lecz z całym impetem dopadł małego, białego pieska.

Boże, krzyknąłem, przecież on go pożre! Ależ skąd, zobaczy pan, powiedziała spokojnie Gos-podyni, nie odrywając łokci od balustrady podestu, o którą była oparta.

I rzeczywiście: okazało się, że to nie wilczur chwycił swą wielką paszczą małego, białego pieska, ale to mały, biały piesek otoczył swymi czterema małymi łapkami wielki pysk wilczura i huśtał się na nim wygodnie, jak miś koala na gałęzi.

Pojawił się Eski - w brązowej, skórzanej kurtce, zataczający się bezwolnie, całkowicie pijany. W poszukiwaniu równowagi próbował oprzeć się o Mole, ta odsunęła się z obrzydzeniem, Eskiemu po-została więc ściana - na ścianie jednak nie było niczego, co mógłby konkretnie uchwycić, więc obsunął się z rezygnacją na ziemię i tam popadł w pijackie zamroczenie.

Dzięki Bogu, pomyślałem sobie, trzeba szybko pozbierać rzeczy, zanim się obudzi.

Próbowałem sięgnąć ponad nim na półkę, trochę było mi niewygodnie, ale jakoś pudełek dosię-gnąłem. Niestety, to nie były moje pudełka - kredki w nich zapakowane były wąskie i po sześć, a ja miałem grube i po cztery.

Eski ocknął się nagle i całkiem trzeźwym głosem wypowiedział się obszernie na temat sytuacji ekonomicznej. Chyba przedtem udawał? Boże, taka wiedza...! Gospodyni życzliwie podjęła rozmowę, ale widać było wyraźnie, że to nie ten poziom.

Wysliśmy przed dom.

Żołnierze na placu szykowali się do odjazdu. Stali twarzą do słońca, więc mrużyli oczy i tak czekali na kogoś, może na dowódcę.

I jeszcze ten kurz - wiatr unosił go i coraz to targał nim na stojących i widać było, jak poruszają głowami, by choć trochę się od niego uwolnić.

Stali ustawieni jak do raportu - pododdziały w trójrzędzie, w ubraniach polowych, obok w dwu-rzędzie zastępcy dowódców

i jeszcze bardziej z boku dowódcy poszczególnych pododdziałów. Dowód-cy i ich zastępcy mieli czarne mundury, wyglądali przez to jak mechanicy w roboczych kombinezo-nach, ale też kolor ich mundurów nieźle współgrał z ich nieogolonymi twarzami i rozczochranymi, bylejakimi, włosami.

Słońce było bardzo ostre, wyjaskrawiało całe zmęczenie na ich twarzach i całą rezygnację.

Tyle czasu poza domem, bez rodzin - pomyślałem. Podejdę, uścisknę im dłoń, podziękuję, prze-cież chronili mnie tyle czasu i poświęcili na to jakiś kawałek swego własnego życia - powinno się im to przecież powiedzieć, że wiem, że docenią. No, tak, ale przed kim mnie chronili? To pytanie zasko-czyło mnie swoją trafnością - patrzyłem na tych zmęczonych, czarno ubranych, zrezygnowanych męż-czyzn i coraz bardziej uświadamiłem sobie, że właściwie zupełnie nie wiem, co powinienem zrobić.

Więc nie zrobiłem nic.

Poszedłem dalej, tam, gdzie stali Jakiś, Mola i jeszcze jedna kobieta. Jak doszedłem - obróciła się do mnie twarzą: to przecież Lińska, z którą chodziłem kiedyś do jednej klasy. Nic nie zmieniła się, a nie widziałem jej setki lat.

Jak to miło, że przyszła.

Jakiś powiedział: popatrzcie na chmury - jak są takie dziury, to będzie niedobrze. Doprawdy, obłoki były bardzo wyraziste, aż mięsiste, ale daleko bardziej wyraziste były przerwy między nimi.

I miał rację: nie trwało długo, a zaczęła nas pochłaniać gęsta mgła. Słuchajcie, chwytamy się, trzeba przeczekać, aż przejdzie, krzyknął Jakiś i tak też zrobiliśmy - chwyciliśmy się pod ramiona i całe szczęście, bo za chwilę ja sam widziałem tylko zarys głowy Moli, stojącej tuż obok.

Lińskiej i Jakiegoś już nie widziałem, tak gęsta była ta mgła.

* * *

drzwi

Podszedłem do drzwi i chciałem zadzwonić.

Od dawna chciałem odwiedzić świat za tymi drzwiami - świat, który tyle lat temu, przez pierw-sze siedem lat mojego życia, był moim domem.

Drzwi były wielkie, dwuskrzydłowe, z prawdziwego, solidnego drzewa.

Pamiętałem ich ciemny, brudnobrązowy kolor, pamiętałem zadrapania i odpadającą farbę - kto by tam kiedyś dbał o malowanie drzwi wejściowych... - teraz, świeżo pomalowane, aż błyszcząły, całe białe.

Mieszkanie podzielone było wtedy między kilka rodzin, więc każda z nich miała na futrynie swoją wizytówkę i swój dzwonek. Nie pamiętałem, czy dzwonek do nas był po prawej, czy po lewej stronie? Szukałem pilnie, ale nie mogłem znaleźć - teraz na tych pomalowanych na nowo drzwiach nie było ani dzwonek, ani wizytówek.

I tylko na lewej krawędzi futryny, przypięty pineską, wisiął nieduży kremowy kartonik, staran-nie zawinięty w folię, jakby w ochronie przed farbą lub wilgocią. Na kartoniku drzącym, pochylonym pismem starego człowieka napisano czerwonym, grubym ołówkiem: „Geschäftsführer Pröll“ - i pod-kreślono.

Patrząc na kartonik zauważyłem nieco dalej, na ścianie przy schodach, prowadzących na strych, całe mnóstwo kolorowych, zadrukowanych kartek, równo i starannie przypiętych jedna pod drugą tak, jak na dachu układa się dachówki. Przyjrzałem się im bliżej - były to rozmaite materiały informa-cyjne i reklamowe, wszystkie po niemiecku i wszystkie z wyraźnymi oznaczeniami „DDR”.

Z ukosa, z góry padało na ścianę ciepłe, słoneczne światło, jakby rozproszone przez matowe szyby jakiegoś okna w dachu. Ciekawe - za moich czasów nie było tam okna, były tylko wąskie scho-dy na ciemny, ponury strych, dokąd chodziłem z matką wieszając bieliznę po praniu.

Teraz tymi schodami, szerokimi i tak życzliwie oświetlonymi, spieszyli w górę młodzi ludzie w kolorowych, kraciatych koszulach, z teczkami i papierami w rękach.

Gdzieś z góry, z tego miejsca, skąd płynęło światło, dochodziły przytłumione głosy rozmów, trzaskały drzwi, słychać było kroki...

Pachniało farbą i świeżością...

* * *

mila

Takie korytarze bywały kiedyś w akademikach, w hotelach robotniczych albo w szpitalach - szerokie, zimne, bezosobowe i niegościnne.

Idąc takim korytarzem miało się wrażenie, że pokoje, znajdujące się po obu jego stronach, są tam wbrew swojej woli, na siłę, że chciałyby się oderwać i usamodzielnic, ale nie mogą, bo korytarz trzyma je jak w kleszczach podłogą i sufitem i do tego złośliwie oświetla światłem pożółkłym, jak stare zęby.

Nasz pokój znajdował się na jednym końcu korytarza, pokój Mili - na drugim.

Miał on kształt niedużego prostokąta - w środku jego krótszej ściany były drzwi, a wzdłuż dłuższej po obu stronach stały łóżka, półki na książki i coś jeszcze.

Centralnie wisząca lampa z okrągłym, mlecznym kloszem, oświetlała wszystko światłem jasnym, ale nieprzytulnym.

W ścianie po prawej stronie od wejścia był otwór, prowadzący do sąsiedniego pokoju, ostatecznie-go już w tej części korytarza - pewnie pozostałość po drzwiach, choć bez futryny. Otwór przesłonięty był częściowo kotarą, niedbale zawieszoną, jaskrawo niebieską, do tego połyskliwą, niczym zastana do prysznica. Pobłyskiwało na niej ostre światło, dobywające się z sąsiedniego pomieszczenia.

Mila stała w głębi pokoju, przed nią Zosia, gruba jak zawsze, a obok Ktosia. Wszystkie trzy zwróciły ku mnie głowy, jak wszedłem, czy się

dobrze bawicie, zapytałem, bo wydawało mi się, że są takie pół-smutne. Tak, tak, odpowiedziała Zosia, nieco pospiesznie, ale ona przecież zawsze była gruba i pospieszna.

No, to poszedłem dalej.

Poziom pomostu odpowiadał wysokości może pierwszego piętra. Wszędzie było pełno kurzu. Wiadomo – trwała budowa.

Akurat prostopadle do miejsca, gdzie przystanąłem, biegła piaszczysta droga, typowa dla wszystkich budów – żółta, wybiasta, pełna porzuconych utamków cegieł, rur i czegoś tam jeszcze.

Wzdłuż lewej strony drogi ciągnęła się ściana: długa, biała, wysoka.

Wysoka, aż po dach.

Po prawej stronie piętrzyła się budowla. Zróżnicowana, załamowa architektura, interesująca, ale wszystko w stanie surowym – czerwone, gołe cegły, dziury okien, jeszcze nie wypetnione futrynami, wychodzące na tę żółtą drogę i na tę ścianę, białą, wysoką, aż po dach, który zadaskał też całą budowlę.

Przecież tam nigdy nie będzie słońca – jak tak można mieszkać?

Nikt nie odpowiedział.

Może tej budowy nikt nigdy nie zakończy?

Wszedłem w głąb, by zobaczyć z bliska.

Pomiędzy piętrami nie było przerw – wszystko widać było jak na dłoni. Z góry, jak z balkonu, można było spoglądać na niższy poziom, wykusze przeplatały się z załamami, a ściany utkane były otworami i prześwitami, przez które można było zaglądać do poszczególnych pomieszczeń.

W jednym z takich prześwitów widać było łokieć mężczyzny, siedzącego na wiklinowym fotelu, tyłem do mnie. Koszula tego mężczyzny była niebieska, niebieski był też dymek z fajki, którą pa-lił...

Co on tu robi, przecież ten dom jest w budowie?!

Mila jest bardzo zmęczona – tak zmęczonej jej jeszcze nie widziałem: ma pół-przymknięte oczy, stężone rysy, otępiate reakcje, widać, że jak tylko siądzie, to natychmiast zaśnie...

Bardzo spieszymy do pokoju.

Mila jakby była coraz bardziej nieobecna...

* * *

kamizelki

Sklep nie był duży.

Wchodziło się do niego przez wejście, pozawieszane ubraniami od góry do dołu tak dokładnie, że nie wiadomo było, czy to dwuskrzydłowe drzwi, czy też drzwi i okno, czy może jeszcze coś innego.

Było późne popołudnie i światło słoneczne, padające z ukosa z lewa, leniwie wydobywało plasz-tyczność ubrań, wiszących na drzwiach i w samym wejściu do sklepu.

Właściciel sklepu wietrzył spodnie, a może je odkurzał.

Najpierw dolną część spodni spryskiwał

wodą, ta dokładnie i tak szczerze, że po chwili były one mokre aż po kolana.

Potem składał je systematycznie i skrupulatnie, jakby chciał je powiesić na wieszaku, przetama-ne na pół, tam, gdzie kolana.

Następnie przystępował do trzepania: dwiema rękami chwycił spodnie za pasek, przekrecał, jakby były muleką, a on torradorem i tak trzymając, płaszczyzną spodni prostopadle do ziemi, wyko-nywał pół obrotu – nogawki, dotąd złożone w kolanach, rozwijały się z trzaskiem bąta, a cała woda, tak pieczołowicie na nich rozprowadzona, rozpędzała się wraz z obrotem spodni i deszczem kropel ucie-kała w popołudniowe słońce.

Właściciel zatrzymywał się gwałtownie, nieświadomie niczego nogawki pędziły dalej, ale już za chwilę droga kończyła im się na spotkaniu z paskiem i znów odnajdywały swój spokój, przetamane w kolanach, suche i odświeżone.

Tak wytrzepane spodnie właściciel obracał jak trzeba – i starannie wieszał wśród innych.

Podszedłem obejrzeć wiszące ubrania.

Różne to były rzeczy – różne i dziwne, a najdziwniejsze były kamizelki. Wszystkie miały wyłogi – część przy guzikach, tam, gdzie normalnie mają je marynarki, pozostałe – przy pachach, tam, gdzie kończy się kamizelka, a zaczyna rękaw koszuli. Wyłogi te były ogromne i sterczały nachalnie ni-czym skrzydła ogromnych motyli.

Dotknąłem materiału: był to świecący atlas, mięsisty, połyskliwy, gruby.

Wiatr potrzącał rozwieszonymi ubraniami, wyłogi kamizelek zarozumiale trzepotały na wieszakach, a właściciel sięgał z uśmiechem po kolejne spodnie.

* * *

skrzynie

Szedłem ulicą.

Domy po obu stronach były bardzo wysokie, starego typu – z wielkimi bramami, wielkimi ok-nami i piętrami, oddalonymi od siebie o znacznie więcej, niż dzisiaj.

Było szaro.

Nie było drzew, nie było kolorów, nie było słońca.

Nikt nie jechał ulicą.

Domy też były szare, choć nie wszystkie.

Jeden z nich był czarny – miał szare kolumny, czarną bramę, okna czarne.

W środku też było czarno.

W czarnym półmroku środka nie było wiele widać, niewyraźne kształty nie odcinały się od siebie, przechodziły jeden w drugi, zanikały bezgłośnie w czerni milczącego tł.

Były to jakby drewniane skrzynie, wysokie do pół piersi, trapezowato schodzące się ku górze jak skrzynie gimnastyczne.

Na niektórych skrzyniach leżały ciała starych ludzi. Nieruchome, przykryte po szyję niewyraźnymi, pomiętymi, jakby szarymi prześcieradłami.

Nad jedną ze skrzyń, gdzie nie było ciała, a tylko pomięte prześcieradło, pochyłała się kobieta, jakby z obsługi, w niewyraźnym, też jakby szarym, fartuchu. Pochylała się tam, gdzie

mogła przedtem być głowa. Raz, i jeszcze raz – jakby przyglądała się, jakby wachała...

Musiąłem przejść przez tę salę.

Szedłem więc, omijając skrzynie, wychodząc z jednej ciemności i zagłębiając się w drugą.

Nagle leżący na jednej ze skrzyń stary mężczyzna próbował podnieść się i zejść z niej na podłogę, ale, jak to z bardzo starymi ludźmi bywa, swymi krótkimi, chaotycznymi, a jednocześnie nieskoor-dynowanymi ruchami zamiast wyplątać się, zaplątywał się w prześcieradło coraz bardziej.

Pomyślałem sobie: jakżeż można tak niedo-łącznych ludzi kłaść na tak wysokie skrzynie...

Było bardzo cicho.

* * *

tecзка

Daleko na polu, prawie pod horyzontem, znajdowało się ogrodzenie, za którym poruszały się niewyraźne, ciemne kształty.

Moja droga wiodła tamtędy.

Zbliżyłem się do ogrodzenia - kształty, dotąd niewyraźne, okazały się być stadem zwierząt, wśród których większość stanowiły ciemne, włochate bawoły. Były tak ciemne i tak włochate, że aż ponure, tym bardziej, że poruszały się z nisko zwieszonymi głowami, a w ich wielkich, ciemnych oczach nie było niczego, poza zimną obojętnością.

W stadzie biegało też kilka brązowych koni – były wyższe od bawołów i wyraźnie wystawały ponad grzbiety całego stada, do tego wyróżniały się gracją i delikatnością ruchów.

Całe stado pod dyktando pilnującego zbiegało się gdzieś w centrum ogrodzonego placu, po czym na komendę zgodnie ruszało pędem w kierunku ogrodzenia. Tuż przed ogrodzeniem hamowało, wzbudając tumany kurzu, po zatrzymaniu się - obracało się i posłusznie wracało do punktu zbiórki.

Niekiedy to czy inne zwierzę nie było w stanie wyhamować przed siatką i wpadało na nią z im-petem. Oka siatki były bardzo duże, nic dziwnego więc, że jeden z koni wpadając na nią wystawił na zewnątrz prawie pół pyska, zanim wycofał się spiesznie, prychając ze zniecierpliwieniem.

Okropnie wiało, więc zawróciłem.

Nierówny teren, pokryty lotnym piaskiem, zawiewało coraz bardziej, a drogę miałem w dół, bo bloki stały u stóp wzgórza.

Pomyślałem sobie, że zamiast grzęznąć coraz bardziej w nawiewanych wciąż na nowo zwalach, może łatwiej byłoby mi usiąść i zsuwać się w dół po tym piasku, jak po śniegu, czy lodzie. Jak pomyślałem, tak zrobiłem, ale zaraz tego pożałowałem – nierówności terenu sprawiły, że zjeżdżając w dół przechyliłem się w bok i ugrzązłem w jakiejś muldzie.

Wzmagał się wiatr bezlitośnie zasypywał mnie coraz bardziej, a ja, leżąc, próbowałem wyz-wolić nogi z tego piasku i wstać, przede wszystkim wstać...

Dobrze, że teczki nie zgubiłem w tej zawi-wi...

MICHAŁ BUKOWSKI

Bożena Maczuga

Wiara zaczyna się tam gdzie kończy się zrozumienie

Wiem
 Wiem, że Jesteś
 Tak, wiem doskonale
 Wiem, że działasz cuda
 Wiele ich widziałem
 Całe mnóstwo w życiu innych

Wiem, że Jesteś
 Tak, wiem o tym dobrze
 Wiem, że możesz wszystko
 Jeśli tylko zechcesz
 Jednym słowem tworzysz i burzysz świat

Wiem, że Jesteś
 Tak, jestem przekonany
 Wiem żeś jest Miłością
 Bezinteresowną, Nieskończoną
 Miłosierdziem samym

Wiem, że Jesteś
 Tak, wiem to na pewno
 Wiem, żeś sprawiedliwy
 Nikogo nie sądzisz pobieżnie
 Lecz patrzysz mu w serce

Wiem, że Jesteś
 Tak, wiem to wszystko
 O cuda Cię nie proszę
 Tylko o to
 żebyś czasem wysłuchał mnie Boże...

Coś dobrego

Coś dobrego chcę usłyszeć w końcu, coś dobrego
 o tym, że
 komuś spełniły się marzenia
 ktoś wygrał z czasem i pokonał chorobę
 ktoś dostał prace po wielu porażkach
 ktoś spotkał miłość po latach poszukiwań

Coś dobrego chcę usłyszeć w końcu, coś dobrego
 o tym, że
 po wielu kłótniach nastąpiło pojednanie
 istnieje lepsze jutro
 jest jeszcze szansa
 jeden drugiego szanować potrafi

Coś dobrego chcę usłyszeć w końcu, coś dobrego
 o tym, że
 jest przyjaźń, która trwa latami
 komuś spełniła się nadzieja
 istnieje Miłość wierna i nieudawana
 jest wiara niezłomna i dojrzała wolność

Coś dobrego chcę usłyszeć w końcu, coś dobrego
 nie o
 wojnach i kryzysach
 mrocznych historiach, sytuacjach bez wyjścia
 zdradzie, zazdrości, obłudzie
 plotkach, kpinach i drwinie

Coś dobrego chcę usłyszeć w końcu, coś dobrego
 nie chcę
 krzyku, gniewu i agresji
 głupich żartów, wyszydzania
 wyśmiewania i płaczu
 wynoszenia się nad innych

Coś dobrego chcę usłyszeć w końcu, coś dobrego...
 Może od dzisiaj
 przestańmy straszyć się wzajemnie
 zacznijmy mówić głośniej o tym co dobre
 i ...
 nie mówcie więcej mi...nie chce już słyszeć, że ludzie są źli.

Kiedyś czytałem, że gwiazdy nie są tworzone po to, by jeno cieszyły nasze marzycielskie oko; że muzyka, której wykreślanki kopczyków człowiek drenazuje niczym się zdaje przy anielskich hitach. Jakie to dziś stanowcze, jakie - oto zawieje tutaj niekonsekwencją, bo wedle ciała - mądra.

Wracam, jeśli wierzyć czasoprzestrzenno-
rekonogim capstrzykom nad ranem (czyt. tuszka konsyliarzy), wyciągnąłem bowiem wszystkie rekwizyty do swoich deliberacji na papierze. Teraz wiem, że na to by pytać bywały okazji, lecz na odpowiedzi brakowało e.g. klasy Billego Elliota, tańczącego przed słowotoczającym się w miejscu tatkiem. Wścibstwo o wydzwiku in plus nie to, a moi zauszniczy vel tłumacze, o ile byli, losowali sobie spryt z kwiatu paproci lub czegoś innego pomiędzy. Na Teraz, stolieś kilometrów stąd, weeki pełne dyplomów polegają i stękają w szafie- wizji czarnej godziny brak. Życie jedynie ozywa się w nich w ów raz, gdy upiornie na halo wyrzucają mi, iż się błażnię. Piszę, zachowując szyk cynicznej delty, samo- uczę się uczyć się, ni ciszą przed ni po wciąż pytam jedne i te same odpowiedzi.

Jednakże ów partial taski łamanej przez nie jest w stanie odpowiedzieć mi primo: wracam na - powiedzmy - wiatraki, bądź jak bądź bez smaku, czy o nie? Secundo: będę wspominał, zali przypominał sobie, przemieszczał się, azali też porusza? Tertio: odczuwając asomatyczne skutki tej prześwieczonej przerwy na narkotyczną herbatkę, jak dajmy na to moje cokolwiek dwubiegunowe reakcje na klincz tych niby kilku sztuk ząbków w liściu tj. niepowetowanych elementarzy, nadwrażliwość na grandy zjapońszczałych e- znamion, jako żywo i martwo pędzących szczywaną tegeoidą za oknem, a w szczególności quatro: mój definitywny rozbrat z po trzykroć pojmowanym czasem, tedy który ze mnie wraca?

Przecież nie czuję się jakoś wyróżnionym, chyba że hasło Wyróżnienie symultanicznie można by tłumaczyć odejmowaniem mi onych krzaczków za skórą, adaptowanych przez los na komiksowe dymki, toteż wraz o podzwonku apokryficznej zajawki. Śród rozmemłanych na wodzie fajerwerków nie idzie mi podnieść się u samego korzenia, który co więcej jest zaledwie cieniem mnie i samego siebie i tamtego siebie i tamtego i

Z bębenkiem kubka oddaję się spneumatyzowanemu spacerowiczostwu, na pohybel cynglom strupków, rozdrapywanym w gulaszowym talk show. To w kubek, to w manual kroję jak widać kulisę z niczego i doprawdy na nic; bogdajby Poniewierka była mierzona pasmem inkarnowanym w co późniejsze drobinę węgla, tacińską maksymę czy porcję rosofową.

Mimo fadingu dyplomów, sprośnego bankietu teleskopów, mikroskopów, pierwotnie gwichtu wszzech oskomy, mogę zaledwo starać się utrwalić mój (przy) start uprzejmą, boć wewnętrzną detonacją, podnosząc wskutek tego morale mych skartowaciatych drzew, narzutniaków, niedopierzonego plectwa.

Podobnie jak dyscyputowie secesjonistycznych egzorcystów, co to plackiem noszą grzechy swych praocjów, ja zarodzić furkotu zgrywam głupotę

Żaden upadek. Co puenty już gotowej implikować winę, wyrostem wszak z ubrania, jedzenia, picia, wojen

Niemniej rad jestem niepomierne, iż mogę brać, choć niewiadomy udział w ustalaniu się twainowskiej bańki mydlanej (por. Chopin vs. Ohno, a zatem Chopin wraz z Ohno).

Przeglądając się w taseczkach wróbli, niby latadekach F20 z wykrojonymi im fofyżkami rachunków przybija mnie momentami to, że nigdy nie usłyszę sobie, jakoby było już po wszystkim, a chociażby na razie po... aż do śmierci.

Łazikiem po marach targów, szukając części zamiennych do swojej przeszłości, z łbem pełnym jeszcze lewej zupki. Przega-pitem szczyt, chociaż ciało zachowuje się tak, jakbym co chwila go atakował. Toć podobno, że z manieri poprawiam kołnier szlafroka, przeczesuję tłuste włosy, wyzywając minerałom od gryzetek. Następnie niezbornie sięgam po sygnał do dyżurki-nigdy nie kochałem, więc z nasileniem się niedomagań, mirum in modum momentami występuje u mnie waplizatorski cug; coś jak zastrzał na zapóźnioną rzutkość kontra inne majaki, w których umiem latać i wszyscy mają mi to za złe. Małżonka z plecami przodków niby humanoidalnych mątevek naraz wylewa moją porcję zupy do zlewu. Dzieci nie wiedzą (o mnie), gdy gniadą załamką stroję naręczą chmur, a reszta u dołu przeklina mnie, grając pogodą. Jedyne pies, łkując się o brony coraz to zadziera głowę i biegnie za moim rozpiętym tropem.

Godzinki odwiedzin. Dziecko, jakby W korytarzu bawi się, jak gdyby Samo przez się poddaje mnie zdołowaniu. Czuję bowiem, iż pisanie jest przeciaganiem w Nieskończoność onej grzeczności z nierozumienia. Cóż, jednak gdybym był nie umiał pisać i czytać, pokrótce Niedowidział, najpewniej byłbym swoją babcią, która w oknie, w przerwie na liczenie samochodów pod marketem naprzeciw, sama ze sobą gra w chińczyka. I ten zmrzuony co bardziej ślipek, gnojna kropka w Sercu, a co za tym tik języka.

Rad nierad przedsiębiorę decyzję o danu stąd drapak. Nobliwie także przysuwam widma krzesel do widma stołu, pasteryzuję ostatni list w butelce. Rany boskie! Rozdrapać ów zadany mi- choć nie powiem, by nie był przytulny- klosz, wyżyć się ciągót ku eremickiemu pożyciu, gmerków stelenuwelowaciatych pół... diabli zresztą nadali te suspirie miernicze bierek, pchełek, kostek do gry, zadeklarowanych przez admisję wybujałych sprzęzarek i, co zobaczę, bliż; z lękiem, że w czasach strojnych w elektroniczne outfity znikną, zniknie czego dowodzę. Gdybym był ukochał kamień możebnym, że moje ojcowskie instynkty datyby choćby zero-jedynkowy pokój.

Jej ciało wróży się z podzwonnych ką-tów, żywiołów, pokrótce klepek. Jedyna niezwiędła dotąd rośliną świecy doistnieje mnie doszczętnie a nie śmiertelnie. Niby przybitka w wenflon lunety roni się w denko poddaszy szpetnych

Zrazu z wygodny - powiadam sobie - widzę przeszłość jako coś nieodwracalnego, tedy nieprzywoływalnego w żadnej empirii, tam pod waloryzowaną mydlinami ścianą.

Można oklepywać się do cierpienia pośrednio czy też bezpośrednio niedopisanym memorandumem, lecz niepodobna wynikiem tego nie lękać się na przekór doświadczalnikiem Piękna w sobie.

Mamy teraz wprawdzie inny flow; biorą nas tak con sordini przekładkami gładkich poidełek, zębatkami ochrypyłych szkielek, nierówno atoli umysem ku sercu już nie życzenia, a umowy z Bogiem skrobią fluidalnymi mankietami, cmokając i grymasząc gnidami nosków u butów. W hipnagogicznym stanie nieradko wpatruję się na tej wy-cieczce, pociągniętej w szybkich abcugach na maślany dżingiel, w kant świstka kręcący się niczym dziecko wokół osi dorosłego, na który uważam tym mocniej, bo a posteriori podejrzewam listę zakupów nie spełna.

To moje ostatnie wcielenie Rem-brandt.

Przez telefon wciąż przypominasz mi, że czekają na mnie V. i mój pokój. Mój pokój, skóra i kości uprawiane na znaczenie snu z twojego przerysowanego lusterka. Mój pokój, zda się erzac zmysłów, co skroś moskiewskiego metra mendi się mi krótką kretów i nornic. Nie lada gratka, przyznam ten mój pokój, sub specie aeternitatis Chaplin kontra Niżyński. Wszelako przerabiany ciągłym znikaniem i świętością za karę.

Staję się jakąś fakultatywną osobliwością kosmosu poza kosmosem, niejako pompą kosza z obierkami. Ważę mnie w charakterologicznym kolażu jakby z pism prababcynich intercyzją na imiona własne, na pifpafowe osiedla, wkrótce splecione pantoflarstwo.

Otóż to nienapisane milczenie jadzi mi się w snach broszurkową ustoiną, wpośród zajęczych alertów na międzywypas półek, co uderzające podnosi przy tym korpuskuły podgardlanych muskułów i gnaty kręków 125p. Milczenie wniosku, że niebo mydli się wilczą zaślepką; aby nie umieć już mówić; bo boli, ale boli do kogo? Boli, niby trofeum szynki na ścianach tych Igorów tej Tybingi, czy giedzą gumowych kacuszek i morskich czosnków.

Przysiłek porzeczkowych biznesarzy, żadna to pociecha popod pledem narybku, po prawdzie i do Pana Jezusa ukoronowanego cedzakiem wahałda - pamiętam - przemodlone muchy naraz się dobierały, na szybko czegoś mopami.

Wybaczcie mi moją domniemaną od-siebność, moje iluminacje, gdy pies z rana oddaje się ablucji swego krocza, niepewna żona, zasię pewną ręką tworzy sobie maki-jaż, czy kiedy gilzę nabijam subsydium tytoniu, zliczywszy najsampierw wszystkie krewetki furki, splecione na tekturowej tacce (nota bene nie na moją skalę). Wybaczcie indolencję pooperacyjnej miołty, skoro zaciśnięty w kułak smutek. Przepraszam, istotnie nie jestem głupi - choć fortuna, bywa występuje mi ludźmi - ale, iżem kompletnym Idiotą, gdyż mam wgląd w wiekiuste aktywa; kędy reorientuję się per saldo jesienną pięczką, której dobry Pan Bóg darował jeszcze po-

→ śledniejszą gałkę nikt nie chce się nami bawić.

Wybaczcie, boć co więcej tamię czego się boję - Przeżywam bez zęzy, przepaszam, że nic nie jest trudne, tzn. zarówno zawczasu szerokie 51° 10' 1" φ N, jak poniewczasie długie 18° 0' 16" λ E

Mój kamrat niedoli obok:

życiu służy rozgrzewka cudzej skarpetki.

Na zewnątrz (on, psisko dba się nogi siewka

Pod pachą woreczku śniadaniowym)

Testorzy świadczą mu kulturze kwadratowej;

Gdy od ziemi do pachy broni swej piątej klepki.

Oto obmierza mi śmierć. Całe te zapobiegliwe nowalijki déjà vu, ofiarne pakownictwo na kwintę jej stękwidztwo; gdy barłozę się purchawce windy spełniona dowcipem międzywojnia jak zwat; zeznikomiata mi parametryzowana zdrapkami niegdysiejszych goryli, których dość materiału na wiersze.

Może to to, iż życie zdaje mi się smutniejsze? Może osiągnąłem, choć grubsza nic mi tym nie wiadomo, status emeryta? Ale tak myślę, że gdyby przyszli, poprosili, ażeby umarł, przy tym dobrze zaptacili (ot, miałbym na gryzaki dla psa), może umarłbym znów wstał?

Bodaj jeszcze jestem stanie zachować niespójność tej ptaśkowatej agrafki, alіści nie chce mi się już umierać patrzeć na to samemu.

Co dzień, nim jeszcze otworzę oczy, watkuję możliwość dłuższych już nieco spacerów. Co też skuteczniat: zwlekam się barłoga na niskich obrotach niefiguratywną krypą kołyszę do prowizorycznego ofтарыka, zeświecczonego kaszką heteronimów tego, co ze mnie zostało. Pies postrzega się moich braków głębi iście prestidigitatorską werwą liże po gębie, po czym, zlużowany ze mnie T-shirt, zanosi pod okno. Po wczorajszej, zdalnej nocy eM. moje wrzecionowate nasienie łuczy się sylabizującym przez szybę stońcu.

Wypindrzeni wydzierankami blików, wrócili. włos, włos kto nas wrócił istocie? Mogłem tam być zostac wpośród zgręzów rozdrapanej chech - listy mienia, żyjąc siebie sypać mroźonki sadta pętlę dziadowskiego zegarka, strojonej mi przez chatupniczych aktywistów co rusz, wylosowawszy grozmem pięcioma numer książki telefonicznej monologować, tedy wyższym stopniu po ludzku; ale nie, powiadają, czy też ja powiadam samemu sobie, że nikt nic nie jest stanie mi teraz wmówić tej Dobrej Pamięci, jakobym znów wedle probablistyki ogryzków tym podobnych błyskotek trać, mam bowiem pewność, że podczas gdy rzeczywistość mię tamiat, ja sam wcześniej zrobiłem to rzędy razy lepiej- paradną wygodą. Umówmy się, że było to coś etalonie grunge'owego sportu. Na końcu, odszedłszy od newtonowskiej dniówki (czyt. karmy), przykryłem je dalece sprytniej brudniej, więc ściślej. To grzech, lecz nie żałuję.

Boże mój... rezygnanckie to takie, ronione pyskówce schludnych klasyków patchworkowymi mechanikami; wędkę, haczyki, już-już konkurować działkom błyskami, mimo że nad byle glinianką.

Nie dowiedzą się, odzyskawszy ich straciłem głos. sumie na co im opowiaśki diablo niestabilnej materii, bądź fenomenalnej rorschachowości Zera do zerowej? Dziękczynię jedynie, że Pan zwrócił mi to, bądź jak bądź, nieszczęsne ciało. Przez całą tę historię, którą co niektórzy znają, nie mam go, dlatego tak boli.

Nie umarłem eM., lecz ty przechodząc mozołem przez zadupie przedpokoju możesz mnie na dobitkę usprawiedliwić: Sny niech tedy sobie śnią, Myśli siebie zamyslą.

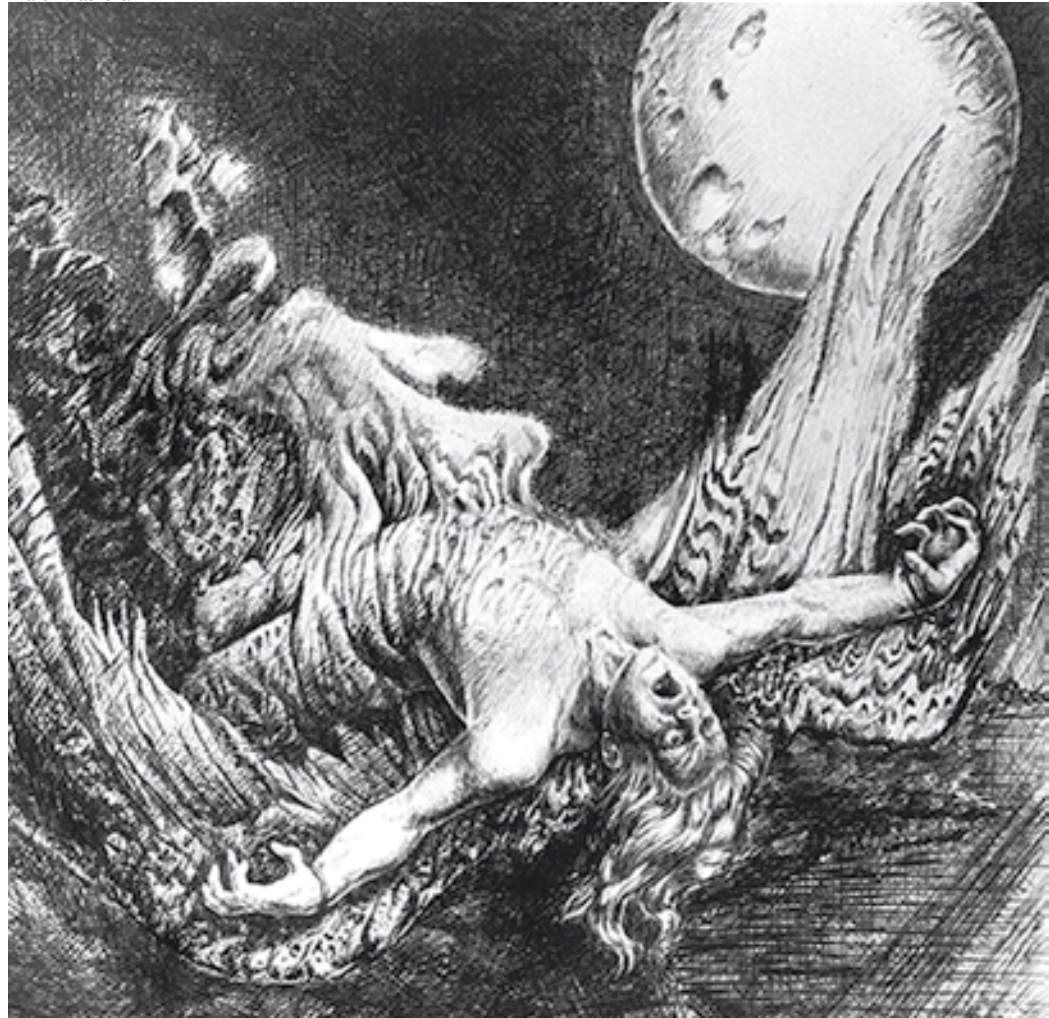
Uścibolone pokotem sny wyszumiałem na wypródkę konfesjonat. Słusznym niemym zarostem celem ekspiacji strząsnątem potów dyszkanciki plotów, zaszybionych facecji, maniackich inwestygacji skąd licha to zło?... Mam nieodparte wrażenie, iż gotów jestem sakum - pakum, zaszytej na okrętkę skrytki płaszczą wyjąc te trochę stońca. okrucnem tarasinowej mapy, zdjętej jakiegoś czasopisma, jakby flancą przeświećowanej ceraty, zrazu zdaje mi się nibym to ruszał miejsca. trymiga jednak wpadam, że proszę bardzo zdezaouowana wiśnia, której versus stoję, poczyna płaść wte wewte, bez mała symbiotycznie, i.e. wietrznie. Juramentem praśnej matki ni to błogostawi mię, ni przeklina (bądź tu mądrym).

**Ruszam zatem naprzód
zarówno sobie Pasją.**

Najczęściej żuję skórki prasy muzycznej, ksera wierszy, pocztówkowe reprodukcje: niewiele tym pudełku marzeń. Nocne dialogi niepełnej krwi owczarkiem, rurą ciepłowniczą, półpłodnością pogrzebacza- tyle co pamiętam to odrywanie się Stamtąd, kędy nie wiadomo kim się tańczy czym potem do ludzi, rynku już nie wspomnę. To odrywanie się myślę, że coś jest nie tak, że coś jest cholerę nie tak.

Ano zawsze trzeba było iść, wciąż iść- pchać na śmierć wozów pięć fabule przejrzatych precjozów. Żebym choć wiedział do czego siebie gorącego przyżyć, do jakiego de facto braku? Bo licha wie czym to było, ambicją mego ojka, toteż tak per absentiam jego białourękawicznionym szostwem?

Marek Naszczak



Tylko poprzez te wypominki udaje mi się wywołać siebie resztki zdrowego rozsądku, gdy naraz konstatuje jak rzeczywistości stałem się mało wydajny (czytajcie proszę obrotny). Poprzez To razie czego aż Po nie czasie

- Mam
nie jestem twoim Ojcem
tato
nie jestem twoją Matką -

chomikuję sercu bezsennymi nocami chociażby dym papierosa jego fraktalne ciekawostki, przeglądając się tym, jak niegdys świat przesiany przez komże pelargonii przegładat się we mnie, gdyż miałem mam tylko jeden fach ręku - Smutek.

Tak, jestem zmęczony.

*

Wieczorami leczą jego fizyczne niebożęstwo kieliszkiem czystej. Pije, nie zagryzając. Nie robi przytem siebie „swojaka”. Nie tuczy się ani ani na tylnym siedzeniu wiedznowatej siatki, zaprzęzonej aparaturki nosów, kinoliz, kichaw itp. tym gorzej, że akurat nie doszukasz się diasporycznego znaku pod nimi.

Wywodzi się rodziny proroków, co to przyszłość przepowiadać zwykli brzucha. Kramarzą tacy podkładem upieleszonych kostkami pacierzowymi grammi króla marynatach: „Może będzie niego... no po prawdzie nie-ten-tęgo, ale jakiś pożytek”.

Wszelako już p r e t e g n y na siewcoplonoroba, jako żywo próbuje się go raz raz wekować bez szczypty jakiegokolwiek medytacji. Stąd tylko czeka, by kropnąć się swój ponoć do pokoik na poddaszu umierać na słuszny słuch, nosić się lub do nie wiadomo jakiej potowy wiadra migać na przejmmy rybką wdechu ptaśczęciem wydechu, nomen omen bezpiecznie niemodostownie za prostą fatalnego nagrania!

ADAM BUJARSKI

Jacek Jaszczuk

Matce

teraz gdy po drugiej stronie świata
otworzyli twoje serce Mamo
moje serce zamiera

dotykam stołu operacyjnego
na którym twoje ciało zamilkło
i jestem każdą z twoich tkanek

pulsem aorty który zastąpiły żyły
wypełnione moim łękiem
i krwią modlitwy

czy gdy dotykali twojego wnętrza Mamo
skalpelem ostrzejszym niż mój strach
widzieli ile w nim mojej miłości
i atomów światła między nami?

czy usłyszeli wszystkie moje słowa
nigdy niewypowiedziane
i te zawstydzone
którymi zasłaniałem się jak mgłą?

a może słyszeli jak mi odpowiadasz Mamo
przytulając każdą moją myśl
do swojej piersi przeciętej na pół

* * *

Może – tylko tyle z pewnością
I jeszcze być: gdzie w Polskę odlot
Przez szyby przeciągu i pociągi wiatru
Z butów spadła skóra kilometrów
Liszaj na koszuli – łupież chmur
Nie po drodze kontynenty i wody
Gdzie dłoń zwinięta w pokłon
I warkocz spalin wypłuty w niebo
Harfa wciąż gra – dzwonek przedostatni
Kokon pszczoł przez las ucieka i spada
Słyszysz? Tarpno słyhać pod ręką
Świtezianki w oczach zapalają słońce
Drewniany cień zasypał ogród gruszkami
Nad rynną morwy wiszą jak ćmy
Dachówki sprawiedliwe – wypalone trawy
Gdy w pawim oku jesień wróży ptakom
Na wodzie znak orła i żaby rehot
Zmarszczony farmer przyniósł stonkę
A za nią przyszedł skurcz
Ryba – płynie w żyłach przez ulice
Księżyc – wpada do okien i gnije
Wybacz Polsko sen pod skórą:
i ten krzyk który ulepił we mnie emigranta

Wiersz irlandzki

Przyjdź do mnie może raz
ten pierwszy i lipcowy
pokażę ci strome brzegi Liffey
irlandzką mgłę ściskającą księżyc

Opowiem o atomach powietrza
krążących na orbitach Dublina
i słowach między przęsłami
w których płacze się wiatr

Przyjdź do mnie może raz
ten pierwszy i grudniowy
pokażę ci noce w pajęczynie
w których skrzydła spaliły ćmy

Opowiem o złotych jabłkach Yeatsa
i zdrętwiałych oczach Wilde'a
wypatrujących w zimnych oknach
ciszy obsypanych gwiazd

Przyjdź do mnie może raz
ten pierwszy i ostatni
opowiem ci o klifach celtyckiego snu
z których do oceanu skaczą moje łyzy


 Roman Warszawski

Czuli w kościołach cały dzień chodzenia jeżdżenia. Starość nie radość. Zaczęli koto dziewiętej rano, teraz zbliżał się wieczór. Co prawda wieczór wczesny, bo jesienno-zimowy, ale jednak. Była sobota, dzień, kiedy rano zbierali się pod ratuszem, następnie ruszali na jakąś turystyczną trasę. Albo po mieście, albo po jego najbliższej okolicy. Lubili te spotkania. Może dlatego, że czuli satysfakcję, iż mogą dowiedzieć się czegoś

to niezauważalny. Nagle znajdujesz się środkiem nie wiesz, kiedy to się stało.

Zabawili tam sporą chwilę, obmacując marmurową koronkę, potem – autobusem – pojechali na wystawę kwiatów przeszklonym pawilonie ogrodzie botanicznym. Prezentowano tam przede wszystkim gladiole, ich odmiany pochodzące różnych stron świata. Kwiaty miały intensywny ostry zapach, ale

kach, jakby welwetowe, połyskliwe urozmaicone czymś rodzaju promieni, obramowanie otaczające ją od stóp po wierzchołek głowy. Na gruncie europejskim jest to stosunkowo – podkreślam; stosunkowo – rzadki motyw. Dlatego tu przyszliśmy. Dlatego warto mu się dobrze przypatrzeć, może nawet utrwalić. Albo aparatem, albo telefonem...

Jak na jeden dzień, było tego wszyst-

CZTERY WCIELENIA PANI W.

nowego miejscach, które – zdawałoby się – znali od podszewki; może przez to, że przez lata tych co sobotnich peregrynacji (nazwijmy to może tak) nawiązały się między nimi nici sympatii. Byli grupka emerytów uniwersytetu trzeciego wieku – ludzi jeszcze zwawych, ale już lekka odpadających od peletonu osób kilka lat młodszych. To kolarskie porównanie stąd, że wiosną latem na trasę niekiedy ruszali na rowerach. Teraz jednak było już na to za zimno, za wietrznie. Jesień zwolna przechodziła zimą.

Siedzieli kawiarni „Niespodzianka”, której zwykle kończyli większość tych wypadów. Zachodzili tam na kawę, herbatę, szarlotkę, ich przewodniczka – ta sama od lat – dokonywała wtedy prostego podsumowania tego, co widzieli. Przez lata lokal ten stał się ich drugim domem, przyjazną przystanią. Tak go polubili, że niekiedy odwiedzali go także tygodniowo.

Panowała tu spokojna atmosfera. Światła były przydymione, wręcz teatralne. Teatralności wewnątrz dodawało też podium pod jedną ze ścian, które – jakby ktoś się uparł – mogłoby uchodzić za niewielką scenę. Na jej środku – inaczej niż zwykle – dziś stało pojedyncze krzesło.

Siorbali więc swoje napitki, usta napychali ciastkami, na które swoim przekonaniu pełni zaślezyli. Czekali na przewodniczkę, która na chwilę gdzieś przepadała na zapleczu. Poprawiała makijaż? Być może – lubiła się malować. Było jednak wiadomo, że zaraz wróci dokona swojego resume, by to, co widzieli, lepiej zapadło im pamięć.

Najpierw, samego rana odwiedzili pewien kościół na przedmieściu. Nikt nich tam wcześniej nie był, bo zabytek położony był na przedmieściach. centrum dojechali tramwajem – nie jednym tych szybkich, sprawnych gładko sunących po torach, lecz starym stępkającym, co samo sobie stanowiło już pewną atrakcję.

Stanęli przed frontonem kościoła, przewodniczka mówiła:

– Należy zwrócić uwagę przede wszystkim na wrota kościoła. Gotyk dokonuje nich niezwyklej ekwilibrystyki – swoistego aktu strzelistego. Brama wycięta formie grotu, otoczona jest niezwyklej obramowanie: wielokrotnym rzeźbionym szlaczkiem pełnym koronek meandrów. Mimo że brama sama sobie nie jest zbyt szeroka, ów rzeźbiony margines wizualnie powiększa ją co najmniej dwukrotnie. Tworzące go rzeźbienia zdają się spływać ku ziemi, czyż nie? Trudno oderwać od nich wzrok Wchodząc do wnętrza, chce się je mimowolnie dotknąć – sprawdzić, czy naprawdę wykonane są marmuru, kamienia. Moment przekroczenia progu staje się przez

uwagę zwiedzających przede wszystkim przykuwały ich niezwykle kształty.

– Nie będę państwu zakłócać zwiedzania swoimi komentarzami – ściszone głosem mówiła przewodniczka. – Proszę jednak zwrócić uwagę na to, jaki finezyjny sposób uformowana jest kwiatna zawartość poszczególnych wazonów. Kwiaty przerażają się nich swobodnie opadające girlandy, odpowiednio podświetlone podłużne prześwity między nimi, przywodzą na myśl albo sopte, albo iskry.

wystawy wyszli odurzony uwodzzącymi kształtami kwiatów ich penetrującym zapachem. Niektórym, od jednego drugiego, aż kręciło się głowie.

– To teraz trochę pooddychamy świeżym powietrzem – powiedziała przewodniczka. pojechali za miasto, tam, gdzie turystów (także zamieszcowych) od zawsze przyciągała grupa skał, które zdaniem niektórych specjalistów zastugiwały na miano parku krajobrazowego.

Prowadząc ich ku większemu skupisku kamieni przewodniczka mówiła:

– Przyjechaliśmy tu, ponieważ całkiem niedawno tym miejscu odkryto nową jaskinię. To najlepszy dowód na to, jak interesującym miejscem jest ten zakątek. Okazuje się, że nawet po wielu latach obcowania nim, wciąż można odkryć tu coś nowego. To wprost niestychane.

Zatrzymali się przed podłużną szparą między dwoma blokami skalnymi.

– Proszę sobie wyobrazić, że jest to wejście do jaskini – tłumaczyła przewodniczka. – Dziwne wejście – może dlatego tak długo nikt nie zwracał na nie uwagi. Bo zwykle, przynajmniej naszym regionie, wejścia do jaskiń rozbudowane są wszzer, natomiast ten wylot jest bardzo strzelisty. Dopiero jak pewnemu dziecku kilka tygodni temu wpadła tu piłka, zdano sobie sprawę, że jest to wejście do groty. Na razie pracują tu specjaliści do wnętrza nie można wejść, ale za jakiś czas jaskinia zostanie udostępniona zwiedzającym. wtedy każdy państwa będzie mógł ją odwiedzić. Jeden geologów zdradził mi, że jest ona bardzo piękna. Że panuje niej aura dziewiczości.

Potem, gdy znów zjechali do miasta, poszli do muzeum.

– Teraz, dla odmiany, chcę państwu zaszerwować przednią próbkę sztuki sakralnej. Była już dziś architektura, były kwiaty plener, to teraz może coś bardziej wysublimowanego. Proszę spojrzeć: oto przedstawienie madonny, ewidentnie wzorowane na renesansie Nowego Świata. Matka Boska – najwyraźniej wzorowana na madonnie Gwadelupy – swych stóp wieniec piany morskiej, po bo-

kiego naprawdę dużo. Mnóstwo wrażeń – kilometrów jeszcze więcej. Zmęczenie, przemieszane zadowoleniem, poczucie jednak dopiero wtedy, gdy usiedli przyjemnym wnętrzu „Niespodzianki”. Po chwili, półmroku wyłoniła się przewodniczka. Tak, na pewno poprawiała makijaż. Był on teraz znacznie ostrzejszy bardziej wyrazisty niż wtedy, jak spotkali się rano.

Było widać, że jest to kobieta odważna, może nawet zuchwała nie dająca pluć sobie kaszę. Na dekolt wychodziły jej dziary, których rozmiar zdradzał, że niżej jest ich znacznie więcej. Wielu wycieczkowiczów (dla których dziary były oczywiście tatużem), od dawna zadawało sobie pytanie: dlaczego osoba tak dynamiczna nie zajmie się czymś bardziej interesującym intratnym niż przewodnictwem?

Kobieta weszła na podium pod ścianą. Reflektor zawieszony pod sufitem był tak skierowany, że oświetlał ją pełnej krasie.

– Jak zwykle, drodzy państwo, dokonamy teraz podsumowania tego, co widzieliśmy czasie wycieczki. Będzie ono jednak krótsze niż zwykle. Powiem tak: mogłoby się wydawać, że mieliśmy dziś przed sobą: po pierwsze – interesujący portal; po drugie – pięknie ułożone kwiaty; po trzecie – wylot nowoodkrytej jaskini oraz – po czwarte – obraz, na którym uwagę zwracał motyw owalu, którego wyłania się madonna. Nic bardziej mylnego, moi państwo! Moje panie, moi panowie! Te cztery obiekty lub motywy, które dziś wam pokazałem, to były wyobrażenia symbole vulwy, waginy. Brama otoczona falbankami. Kwiaty podłużnymi prześwitami podświetlonymi na czerwono różowo. Strzelisty wylot jaskini. Podłużna połyskliwa otoczka, której wyłania się madonna. To, moi drodzy, wszystko wagina czterech różnych wcieleniach. Tak, to ona! Wilgotna Pani! Jest wszędzie! Nie wierzyć!?

– Och!

– Ach!

– Uff – dało się słyszeć przy kilku stoliakach.

– Nie? To zaraz się tym przekonacie! – kobieta była coraz bardziej podniecona. – Nie będę jednak subtelną striptizerką, lecz będę się spieszyć. Chcę zdążyć zanim przyjadą złożyć mi kaftan bezpieczeństwa!

– Kto przyjedzie? – znów dało się słyszeć kilku miejscach.

– Oni! Oni! Oni!

Na środku podium szybkimi zdecydowanymi ruchami kobieta zaczęła się rozbiierać.

ROMAN WARSZEWSKI

Jarosław Perkowski

poranne wiadomości
kolejny ostrzał Charkowa
pod ścianą na chodniku
leży kobieta bez nogi
jej twarz umiera nie słysząc krzyku
ani płaczu
w telewizji komentarz dziennikarki
są zabici i ranni
ktoś rozmawia z kobietą
widać uciskową opaskę
siatkę z zakupami
zdziwienie i szok jeszcze
z trudem coś mówi
tak ją zapamiętają miliony
przymrozek ścina krew
zastyga na ulicy
koniec przekazu

czerwonoarmiści
przeklinają Boga
prawosławni powtarzają
Boże Wielki i jedyny zachowaj Ukrainę

w Rosji oprawca
od ministrów oczekuje cudu
rubel spada na pysk
moskiewska ulica stoi w kolejkach
nie krzyczy
nie ma już przyjaciół
nie ma pomarańczy
nie ma wolnej Europy

Mariupol Bucza Irpień..?

nikt się nie modli nikt nie pali zniczy
krzyże na skwerze wbite w świeżej ziemi
często bez nazwisk nikt już ciał nie liczy
jakby odeszli bezimiennie niemi

każdy pośpiesznie przebiega ulicą
nie ma już ulic ranni ludzie krzyczą

ciała przykryte wyrwanymi drzwiami
dziś to pochówek zostaną na mrozie
coś się w nas burzy i coś między nami
wyje jak zwierzę nikt im nie pomoże

nikt już pośpiesznie nie biegnie ulicą
nie ma już ludzi trupy tylko krzyczą

zapomniałem już jak wyglądał

najgroźniejszy pierwszy sekretarz
sowieckiego sojuza
zapewne był nieduży i gruby
z atomową rakieta w dupie
stojąc na stacji benzynowej
straszył cały świat

niewiele się zmieniło Rosja
carska sowiecka czy republikańska
mit o wielkości przerasta rzeczywistość
po każdej konfrontacji opada kurz
odsłania strach przed małością
sławojki buriackie chaty i dzicz
wioząca telewizory na czołgach
objawił się nowy szaman

jedna ich mać

stąd odlatują żurawie

czy jest jeszcze coś do dodania
powiedzieliśmy już wszystko
patrzac z dystansu
można zrozumieć więcej
niż samą przyczynę i skutek

można w przerażeniu zapytać
co dalej
zatoczyć koło
i urodzić się ponownie dorosnąć
i znowu zestarzeć
kiedyś spoglądałem na świat
czując jak smaga mnie wiatr
unoszą ze sobą
zostawia niepewność mijanych obrazów

nie potrafię już krzyczeć
w proteście
nagle słowa milkną
stają się nic nieznaczącym bełkotem
zapomnianym placebo

przemijam razem z czasem
w coraz ciemniejszych odcieniach
wschodzą kolejne dni

znow odlatują żurawie

Jarosław Perkowski – rocznik 1961, urodziłem się i mieszkam w Warszawie. Debiutowałem na łamach tygodnika Radar w latach 80-tych. Wiersze publikowałem w Pisarze.pl, Zeszytach Poetyckich, Poezja Dzisiaj, Migołaniach, Nestorze, Gazecie Kulturalnej, Protokół Kulturalnym. W 2014 roku wydałem nakładem Wydawnictwa Miniatura tomik wierszy pod tytułem „Odczuwanie”, w 2018 w wydawnictwie Fundacja Dużego Formatu „Zrozumieć Marylin Monroe”, a w 2021 roku w tym samym wydawnictwie tomik „Siedem”.

Krzysztof Szymoniak

WYJŚCIE Z CIENIA

KSIĄŻKA KWARTAŁU

Zacznijmy od anegdoty. Pewien dobry poeta, rzadko oddający w ręce publiczności kolejne tomy swoich wierszy, po przeczytaniu „Pasterzy dolin” Elżbiety Juszczyk powiedział coś takiego: „Gdybym był jurorem w poważnym ogólnopolskim konkursie na zbiór wierszy, gdybym był w kapitule najważniejszej polskiej nagrody literackiej i miał do wyboru przyznać ową nagrodę za taką książkę, jak ta moja lub za książkę Elżbiety Juszczyk, to na pewno oddałbym głos na książkę „Pasterze dolin”. Ręka by mi nie zdrząła”. Tyle praktykujący poeta. A teraz praktykujący czytelnik. Zacznijmy od przypomnienia... Na stronie InformacjeKoszalin.pl czytamy: Elżbieta Juszczyk – urodzona w Kołobrzegu. Absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Debiutowała tomikiem wierszy „Ona grzeszna” (1982). Kolejne zbiory wierszy to „Pukanie”, „Iskry” (1985), „Świecząca ciemność” (1992), „Alergie” (1998). Za zbiór „Pukanie” otrzymała Nagrodę Artystyczną Młodych im. Stanisława Wyspiańskiego w 1998 roku. Wiersze składające się na najnowszy tomik „Pasterze dolin” podzielone są na dwa cykle – tytułowy oraz „Wiejski ogród rozkoszy”. Łączy je przede wszystkim klasyczna poetyka – pełen, daleki od skrótów myślowych język oraz rzekoma bukoliczność, zasygnalizowana w tytule zbioru. W rzeczywistości prezentują pełen niepokoju i zagrożenia duchowy stan mieszkańców Europy. Tu i teraz na Zachodzie i Wschodzie skonfrontowane jest z wydarzeniami historycznymi kontynentu – od średniowiecza, przez wojnę trzydziestoletnią, życie codzienne aż po dzień dzisiejszy ludzi i zwierząt.

Do tej lakonicznej informacji warto jeszcze dodać, że Poetka w okresie, gdy nie ogłaszała nowych zbiorów poetyckich, zajęta była karierą akademicką – zdobywaniem stopni naukowych i zajęciami dydaktycznymi. Co ciekawe, już dwadzieścia lat temu ukazał się jej alarmistyczny album – „Książka o wodzie” – który zawiera mnóstwo podstawowych informacji związanych z niedoborem wody w Polsce i na świecie.

Swój nowy tomik poetycki „Pasterze dolin” Autorka wzbogaciła o mini eseje, będący – jak sądzę – wykładnią jej poglądów na aktywność literacką, w tym wypadku poetycką i wydawniczą, do której wróciła po niemal ćwierćwieczu, wychodząc z cienia najlepiej, jak tylko można było. A pamiętajmy, że takie powroty bywają trudne, nieudane, a nawet niepotrzebne, bo nie wnoszą niczego nowego i wartościowego do wcześniejszego dorobku. W tym wypadku jest to powrót ze wszech miar słuszny, interesujący, bo teksty zamieszczone w tomie „Pasterze dolin”, choć powstały przez wszystkie lata „milczenia” poetki, nie są zbiorem przypadkowych wierszyków, skrobanych w zaciśniętym domowym bez tadu i składu, często w akcie desperacji i w porwie złudnej nadziei na spektakularny come back. Dlatego też proponuję zapoznać się z odautorską, mądrą, na poty filozoficzną wypowiedzią Elżbiety Juszczyk. Oto ona:

Po co komu poezja? Pytanie może wydać się zasadne, skoro stawali je sami poeci i ogłaszali jej śmierć. W dzisiejszej dobie, i to szczególnie w naszym kraju, gdzie królują seriale, proza reporterska i literatura komercyjna, pytanie to przychodzi na myśl niejednemu poecie. Poezja może jeszcze bronić się w piosence, w rapie, w prze-



kazie muzycznym każdego rodzaju. Stara, poczciwa poezjo rodem z melorecytacji ślepego Homera – na co ty komu? A jednak – nie wygonimy z naszego ludzkiego gospodarstwa sztuki, bo sztuka słowa wpisana jest w ludzkę potrzebę. Niemniej, jakże trudno przebić się z poezją poprzez wszystkie formy przekazu dziennikarskiego, reklamowego, a co najgorsze – propagandy. Ale to ty, poezjo, zaopatrzona w swoje „skrzydlate słowa” w różnej stylistycznej odmianie docierasz w końcu, pokonując bastiony przekazu codziennego krzyku, jęzgotu, sensacji. A czasami, w momentach przełomów, ludziom przychodzą na myśl wersy poety przyswojone być może w szkole lub domowym zaciszu. Jeszcze inna, odmienna relacja zachodzi między poezją a prozą. Proza podobno jest „łatwiejsza” w odbiorze, w każdym razie w ogólnym odczuciu, bardziej „zrozumiała”. Autor na dwustu, a czasami pięciuset stronach daje nam wykład swojej filozofii i wątpliwości. Głód fabuły gna nas przez wszystkie strony. Ja jednak mam satysfakcję, a może to chodzi o lenistwo, jeśli w kilku poetyckich wersach odnajdę ideę zawartą w pracowitej narracji prozaika. Po Tadeuszu Różewiczu, tym naszym wielkim bohaterem i rewolucjonistą, można by już nie pisać poezji, ponieważ on powiedział wszystko. Ale ludzie nie chcą żyć w cieniu śmierci i odczuwać Nicości. Piszą. W tym tomiku, który prezentuje, bliżej mi do afirmacji. Bliżej mi do Walta Whitmana, a nawet nadziei Osipa Mandelsztama. Proponuję ocalenie. Ludzie chcą płakać, ale też chcą się śmiać, śmiać, odczuwać radość. Również niech mi wolno uwolnić język w jego klasycznej formie. Niech mi wolno podziwiać Seamusy Heaneygo i Johna Keatsa w Barańczakowskiej odstonie. Wszyscy poeci kochają język i nie można im tego zabronić. Stylistyka, konwencje, maski, których używają poeci i poeci, są ich przywilejem.

Na tym to wszystko polega. Korzystamy ze współczesności, ale i nawarstwionej kultury, która jest naszym wspólnym dobrem.

Wszystkie te zacytowane powyżej konstatacje i refleksje nie miałyby (poza potencjalnym intelektualnym) wielkiej wartości, gdy nie przekładały się na wysoką jakość pomieszczonych w książce tekstów, pięknie (chodzi o „piękno” w rozumieniu Umberto Eco) prowadzących czytelnika po ścieżkach natury, kultury, ale i jednostkowego losu człowieka. Lektura „Pasterzy dolin” podzielała na mnie ozdrowieńczo, zwłaszcza że miałem za sobą kilka wcześniejszych, nieudanych niestety, kontaktów z książkami poetyckimi, a i prozatorskimi, w których brak talentu i brak warsztatu walczył o „sukces” przy

użyciu takich środków jak mizdrzenie się, bełkocik filozoficzny, epatowanie postmodernistyczną oryginalnością (cokolwiek miałoby to znaczyć), neofickie (czyli koniunkturalne) posypywanie się popiołem uświęconych wartości. Wór pokutny tych wszystkich zabiegów, a także egzaltacja w obliczu płynnej ponowoczesności bywa tylko formą-wydmuszką – po jej rozbiu zostaje pustka ontologiczna i ziemia jałowa poetyckiego niespełnienia. Czytając dwukrotnie „Pasterzy dolin” odnosiłem nieodparte wrażenie, że oto w ciemnym lesie literackich nieszczęść, w gąszczu panoszącej się bylejakości trafiłam na wypływające spod omszałego kamienia źródło czystej, chłodnej wody. Wody, która niesie w sobie energię głębi, moc światła oraz kwintesencję krynicy mądrości, a i nadzieję lepszego życia.

Trudno w tym miejscu poddawać szczegółowej analizie wiersze z nowej książki Elżbiety Juszczyk – zastępujące na osobny szkic – te wiersze trzeba po prostu czytać, a potem warto o nich rozmawiać... najlepiej podczas udanych spotkań autorskich. Na koniec proponuję jej wiersz „Pastereczka” z nowej książki: Pastereczka jest młoda w zielonej sukience, / nachyla się do źródła i zanosi śmiechem. // Ten śmiech bierze lato, powietrze i tąka, / ten śmiech po dolinach i gajach się błąka. // Pod domem upada, a Bóg na to zerka, / podaruję Pasterce ze stawu lusterka. // Niech Bóg nie daruje Pasterce lusterka. / Po latach Pasterka przejrzy się w udręce. // A życie z gałązki zielonej sośniny / przemieni się w piłę codziennej godziny. // Na pieńku w noc każdą będą ją piłować, / zapomni o lecie i tym, co całował.

KRZYSZTOF SZYMONIAK

Elżbieta Juszczyk, Pasterze dolin, Wydawnictwo Polimer, Koszalin 2022.

Janusz Urbaniak

OBNAŻONY

każdego ranka odstawiał
głaz ciepły od snu
z odsłoniętymi żyłami
i ugiął się pod naporem
wspomnień
był trochę za stary na kolejną
potyczkę z losem

zaglądał do krzywych luster
z przeogromnych ścian
zdejmował puste ramy
w zimnych pokojach
próbował odmówić życiorys

były w nim barwy skrzące
pobrudzone ptaki
i miłość uniesiona na żerdzi
a za oknami stali ludzie
mogli mu się przyglądać
albo podnieść kamień

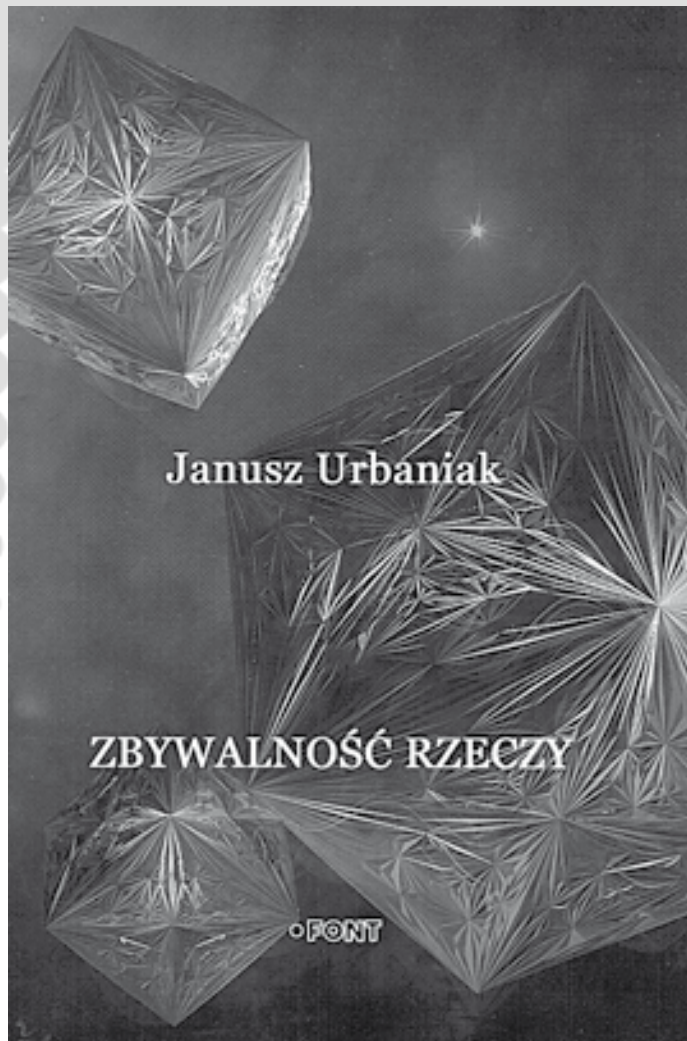
był gotowy na to
słyszał ciszę
był nagi

PEWNOŚĆ

przyszedł taki dzień że zaczął
milczeć i stawał się kamieniem
nie umiał pić z wypełnionych
strumieni

tej płataniny dat imion i barw
nie rozumiał a nie mając
strzelistości oddalał
choć wokół wychylały się liście
i rozkrzykiwał ptak

pomyślał że może matka próbuje
coś powiedzieć widząc jak ciężki
jest głaz
a księżyc któremu przyglądał się
chodząc tam gdzie nie było już nic
co należało do niego
zniknął
i komuś innemu snuł opowieść
o tym że wszystko co jest
na pewno jest



POEZJA

SZKLANKA WODY

gdzieś zawodzi karetką
a tu blisko płomień świecy
i bijące jak atom wieloserce

miałeś sen
taki z drugiej strony księżyca
i słowa masz
nie zważysz nimi ziaren ziemi
dłoń stawiasz na kamieniu
dotykasz ciała kobiety

chleb zdjęcie dzieci
dudni w tobie alkoholowa
przestrzeń
listy nieotwarte
przekleństwa wymioty
ptak co niósł nowinę
miał zamknięte oczy

zdradzony który kiedyś zdradziłeś
opuszczony który opuściłeś
okradziony który okradłeś
więc wiesz to wiesz na pewno
to jest ta twoja szklanka wody
przezroczysta jak śmierć

Anna Frajllich

„PORTRET W PÓŁCIENIACH” – W AURZE ŚRODOWISKA

Najnowszą powieść Marii Jentys-Borelowskiej – „Portret w półcieniach” otwiera kolekcja portretów jej głównych bohaterów. Spełniają one taką rolę jak program sztuki teatralnej – czytelnik może zawsze wrócić do portretu postaci, która pojawia się na scenie.

Podobnie jak poprzednia powieść tej autorki „Z wyroku cara” i ta zaczyna się od tragicznego ciosu, jakim jest śmierć narzeczonego młodej kobiety, w tym wypadku, wybitnego polskiego malarza – Artura Grottgera. Żałoba samej bohaterki i jej szerszego otoczenia, wprowadza czytelnika w atmosferę dziewiętnastowiecznego Lwowa. Jeżeli przeczytamy obydwie najnowsze powieści autorki, będziemy mogli porównać warunki, w jakich żyli Polacy pod obydwojma zaborem. Dowiadujemy się też, że w bardzo krytycznej sytuacji, nie kto inny tylko cesarz Austro-Węgier kupił rysunek Grottgera na zakończeniu wystawy, co pomogło artyście w ostatnim okresie jego życia.

„Portret w półcieniach” to powieść biograficzna ze wspaniałym tłem galicyjskiego środowiska artystycznego, a przede wszystkim Lwowa, który pod zaborem austriackim stał się centrum polskiego życia intelektualnego i artystycznego. Fascynujące dla dzisiejszego czytelnika jest między innymi to, że łatwiej było artystom, studentom i pisarzom ze Lwowa czmychnąć do Wiednia, do Paryża i innych stolic europejskich niż do Warszawy. Powieść niewątpliwie kreuje portret tego obszaru i okresu. Podobnie jak w poprzedniej powieści Marii Jentys-Borelowskiej narracja autorki przeplatana jest autentycznymi tekstami poszczególnych bohaterów między innymi korespondencją Artura Grottgera, poezją i korespondencją Kornela Ujejskiego, oraz pamiętnikami Wandy Monné, ukochanej Grottgera i późniejszej żony Karola Młodnickiego. Czytelnik z zainteresowaniem wglębia się w korespondencję naświetlającą aurę danej chwili, prócz listów głównych bohaterów, czytamy listy Jana Matejki, Kornela Ujejskiego, a także wspomnienia córki Młodnickich – Maryli Wolskiej i wnuczki – Beaty Obertyńskiej. Obie przedstawicielki rodziny zostały znanymi poetkami.

W zamykającej książkę informację bibliograficzną autorka podaje źródła cytowanych tekstów. I tu dowiadujemy się, że listy i dzienniki Artura Grottgera i Wandy Monné zostały już w 1928 roku opublikowane w dwóch tomach przez córkę Wandy – Marylę Wolską i jej zięcia Michała Gwałberta Pawlikowskiego.

Przez lwowskie kręgi towarzyskie Wandy Monné i Karola Młodnickiego, za którego wyszła Wanda po odbyciu trzyletniej żałoby, przewijają się różne postacie i osobistości. Łączy ich pamięć Artura Grottgera, który był narzeczoną Wandy jak i przyjacielem Karola Młodnickiego. Kronika życia artystycznej elity jest w dużej mierze oparta na cytowanych materiałach. Szczególnie ciekawe są tu dokumenty dotyczące Jana Matejki.

Tematyka tych dokumentów wychodzi

często poza sprawy osobiste bohaterów, znajdujemy tu odbicie rzeczywistości i niejednokrotnie uświadamiamy sobie jak historia potrafi się powtarzać. W prywatnym liście Ujejskiego z 1885 roku czytamy fascynujący komentarz na temat odmiennego stosunku Austrii i Rosji do powstań polskich z 1831 i 1863. W swojej ocenie powieści Wandy Młodnickiej o tym drugim powstaniu, Kornel Ujejski pisze:

Rząd rosyjski gniołąc coraz skuteczniej powstanie, a pewny, że interwencja mocarstw zachodnich na kilku notach dyplomatycznych już się zakończyła, wyścig musiał niezawodnie do rządu austriackiego surową notę o jej dwulicowym zachowaniu się, zmusił Austrię do nagłego zmienienia frontu.”¹

Podczas lektury powieści notowałam cyframi na marginesie daty wpisane w tekst słowami. Historię drugiej połowy XIX wieku czytelnik poznaje śledząc rozwój akcji powieści i towarzyszącą tej akcji transformację społeczeństwa.

Małżeństwo Młodnickich przebija się przez życie ciężką pracą, Karol utalentowany artysta zarabia na życie wykładami o sztuce i architekturze, Wanda Młodnicka wydaje książki, o których możemy się dowiedzieć w zamykającej wydanie „Informacji bibliograficznej”, ale także tłumaczy literaturę zdobywając mistrzowski patent. Ich córka Maryla Wolska i wnuczka Beata Obertyńska, zdobyły pozycję w historii literatury polskiej.

Powieść kończy się opisami śmierci przyjaciół i rodziny starszego pokolenia. Niestety nie tylko starszego, dwudziestocześcioletni wnuk Wandy Młodnickiej zginie tragicznie rozstrzelany przez Ukraińców w 1919 roku. Trzy lata później umrze Wanda, główna postać powieści pochowana na legendarnym cmentarzu Łyczakowskim obok swego męża.

19 LISTOPADA 2022
ANNA FRAJLICH



Marek Naszczak

Maria Jentys-Borelowska

*jabłoń/ ta sama jabłoń/stoi tam
a pień/
na dwa istnienia/ bólem rozszcze-
piony”*

Jakiej miary poetką jest Anna Frajllich (pełne nazwisko: Frajllich-Zajac), miłośnicy poezji wiedzą od dawna, od lat siedemdziesiątych-osiemdziesiątych XX wieku, wtedy bowiem w polonijnych oficynach wydawniczych w Londynie i Nowym Jorku zaczęły ukazywać się kolejne zbiory jej wierszy. Opuszczając Polskę w roku 1969, jako jedna z tysięcy wygnańców pomarcowych, uwiozła z sobą gorycz, żal i ból, wrażliwość subtelną niczym harfa eolska, niezatartą pamięć miejsc ukochanych oraz skarb polszczyzny czystej, prostej i szlachetnej, toteż jej talent poetycki, ujawniony bardzo wcześniej (drukowała wiersze już jako szesnastolatka m.in. w „Głosie Szczecińskim”), pod wpływem traumy wygnańczej rozwinął się nadzwyczajnie i szybko zrodził prawdziwe perły poezji. Od roku 1975 Anna Frajllich, już wówczas (i po dzień dzisiejszy) mieszkanka Nowego Jorku, wydała na emigracji kilka książek poetyckich, które przyniosły jej rozgłos i uznanie. Były to: *Aby wiatr namalować* (1975), *Tylko ziemia* (1979), *Indian Summer* (1982), *Który las* (1986), *Between Dawn and the Wind – Między świtem a wiatrem* (1991). Po przełomie ustrojowym w Polsce zaczęła publikować w kraju, kolejno ukazały się: *Ogrodem i ogrodzeniem* (1993), *Jeszcze w drodze* (1994), *W słońcu listopada* (2000), *Znów szuka mnie wiatr* (2001), *Łodzią jest i jest przystanią* (2013), *Aby wiatr namalować*. *Tylko ziemia* (2016), *Indian Summer/ Który las* (2018), *W pośpiechu rzeka płynie* (2020), *nade wszystko zaś Wiersze zebrane: tom 1 Przeszczep, tom 2 Powroty* (2022)1. Warto zauważyć, że tylko pierwsze cztery tytuły wyszły pod szyldem dużych, zaśluzonych firm: Czytelnika, Niezależnej Oficyny Wydawniczej „NOWA” oraz Wydawnictwa Literackiego. Potem misję przywracania kulturze polskiej dorobku wybitnej poetki emigracyjnej wzięto na siebie, powstałe w roku 2000, szczecińskie Wydawnictwo FORMA wraz z Fundacją Literatury imienia Henryka Berezyna. Rezultat tego jest taki, że dziś możemy sobie powiedzieć, iż odzyskałyśmy skarb, tak nieopatrznie, tak małodusznie pół wieku temu odrzucony.

Czy jednak rzeczywiście możemy sobie tak powiedzieć? Czy odzyskałyśmy ten skarb? Czy rana zadana Annie Frajllich (i jej bliskim) w Marcu 1968 zablizniła się i przestała boleć, a krzywda została zapomniana, skoro w liryku Na perły (z tomu *Słońce listopada*) czytamy:

Ból co dał im początek
przestał już być bólem
czemu więc nieustanniej
poddajesz je próbie
czy za blask
taką cenę płacić im wypada
czy za to
że się chłodem
na twej szyi kładą?

W wierszu zaś *Powrót – podróż* sentymentalna (ze zbioru *Znów szuka mnie wiatr*) znajdujemy gorzką odpowiedź na to pytanie:

ANNY FRAJLICH

AUTOBIOGRAFIA LIRYCZNA (NA PODSTAWIE WIERSZY ZEBRANYCH)

Znów przejeżdżam
nad Dworcem Gdańskim
tylko nie mogę
nad nim przejść
do porządku dziennego.

Aby ułatwić dzisiejszemu czytelnikowi zrozumienie sensu powyższych wersów, przypomnijmy, że Dworzec Gdański w Warszawie był w okresie haniebnej kampanii antysemitki 1967-1968 stacją, z której pociągi wywoziły na Zachód tysiące Polaków o żydowskich korzeniach, z tzw. dokumentami podróży w jedną stronę – zamiast polskich paszportów. Dla tych więc, którzy przeżyli traumę owego przymusowego wyjazdu, widok Dworca Gdańskiego nawet dziś musi być trudny do zniesienia2. (Zwłaszcza jeśli wiedzą, iż w latach 1942-1943 był on, w części towarowej, graniczącej z Umschlagplatzem, miejscem, z którego Niemcy transportowali Żydów z warszawskiego getta do obozu zagłady w Treblince.) Być może, w jakiejś mierze „odpowiada” on, ten raniący widok, za powstanie wiersza *Znów szuka mnie wiatr*. Wiersza o istnieniu przetamanym na pół i zagrożonym przez każdy „wiatr”.

Utrwalone traumatycznym doświadczeniem poczucie niepewności i zagrożenia wyklucza powrót Anny Frajllich i jej męża do Polski na stałe. Nie wyklucza jednak ich częstych odwiedzin w kraju dzieciństwa. Nie wyklucza tym bardziej, że Polska, i tylko Polska, jest ojczyzną literacką poetki. Autorka Kraju utraconego to honorowa obywatelka Polski Literackiej, zajmująca poczesne miejsce w panteonie mistrzów polskiego słowa. Odrzucona przez Polską Rzeczpospolitą Ludową pół wieku temu, nie odrzuciła polszczyzny, nie wyrzekła się mowy Mickiewicza, Broniewskiego, Gałczyńskiego. I dzięki niej – a także dla niej – powraca do swej Arkadii, za którą nie przestała tęsknić, choć minęło pół wieku i chociaż wie, że ta jej Arkadia to tylko fantomowy wytwór tęsknoty, dziwny obraz, który pojawia się na mgnienie pod wpływem – również fantomowego – bólu.

Moja Arkadia sklecona naprędce
pomiędzy jednym z drugim wygnaniem
jest równie piękna, jest równie dostojna
jak dwór prastary z gruszą i lipami
moja Arkadia z ponemieckich desek
z każdym talerzem z innego serwisu
ma w sobie ciszę pełni – pełnię ciszy
i wraca do mnie
na przystankach świata
gdy mak przebieram
i gdy tańczę tango.
Już orkiestra melodię zmieniła
wszyscy dawno w innym tańczą rytmie
a tu – szum na korytarzu szkoły

i żarłoczne mewy nad zalewem
i portowe bramy w środku miasta
które samo bramą jest portową
taka dziwna przystań
co nie czeka
gdzie nie można wrócić
bo nie trzeba.

Taniec – miasto (z tomu *Słońce listopada*)

Dla unaocznienia, jak bardzo życie Anny Frajllich inspirowało jej poezję i jak wiernie i szczerze poezja ta opisywała dramatyczne koleje jej losu, warto przypomnieć najważniejsze fakty, daty i miejsca z biografii poetki.

Urodziła się 10 marca 1942 roku w osadzie Katta-Tańdyk w Kirgizji (Kirgiskiej SRR), w której znalazła schronienie jej matka, Amalia z Scheinerów, po ucieczce z rodzinnego Lwowa zajętego przez Niemców w roku 1941. Ojciec Anny, Psachie Frajllich, został zmobilizowany i wraz z fabryką, w której pracował, przeniesiony na Ural. Po dwóch latach poszukiwań odnalazł żonę i córkę i sprowadził je do siebie, do Ływy na Uralu, gdzie razem przeżyli wojnę. I to tam właśnie maleńka dziewczynka, obdarzona – jak się wkrótce okazało – nieprzeciętnym słuchem poetyckim, usłyszała z ust odzyskanego szczęśliwie ojca pierwszy wiersz – *Powrót taty Adama Mickiewicza*. Po latach przeżycie owo znalazło wyraz w nostalgicznym Kraju utraconym (w tomie *Indian Summer*):

1.
Z niejednego wygnani kraju
za Jakuba grzech i Abrahama
prarodzice moi
i rodzice
do dziś dnia się błąkami.

2.
Pierwszy wiersz słyszałam na Uralu
– *Powrót taty* –
tata mnie uczył
powróciliśmy
odjechali
i nikt już z nas nie powróci.

3.
A w snach wraca
słupki i wzgórek
i odwieczne: „Ja do lasu muszę”
dobry zbójco
ja jeszcze teraz
wciąż o twoją modle się duszę.

Po wojnie, w roku 1946, Amalia i Psachie Frajllich z czteroletnią córką przybyli, jako repatrianci, do Szczecina. Miasto, od daty konferencji poczdamskiej (od 17 lipca-2

sierpnia 1945 roku) ostatecznie przynależne do Polski, organizowało się po rujnujących nalotach alianckich i po żywiołowych ruchach migracyjnych, życie więc nie było tam łatwe, jednakże po trudach wojennej tułaczki dziewczynka musiała czuć się dobrze w tej „Arkadii z poniemieckich desek”, skoro zajmuje ona tak wiele miejsca w jej „poetyckiej diarystyce” (żeby użyć określenia Piotra Michałowskiego, znakomitego znawcy tej poezji). Lektura Wierszy zebranych Anny Frajlich pozwala uzmystowić sobie, jak głębokie są związki uczuciowe nowojorskiej poetki z – odległym w przestrzeni i coraz odleglejszym w czasie – miastem dzieciństwa, gdyż jest ono często i mocno obecne na kartach Przeszczepu i Powrotów. Czasem obecność ta jest dyskretna, niemal aluzyjna, jak w Emigracji (z tomu Indian Summer):

My – skąd nagle? – wypiarze
w samym sercu wiatrów
w dziwnej szkole pokory
gdzie uczą żywioły
ciągle jeszcze pamiętam
ciszę stałych łądów
szron na drucianym płócie
i drogę do szkoły.

Kiedy indziej dosłowna, bardzo wyrazi-
sta, jak w Mieście (z tomu Który las), gdzie
znajdujemy „chwilami mroczny, to znów pe-
łen letnich skwarów” obraz powojennego
Szczecina, miasta, które:

(...) nie było nasze
ale kwitło dla nas
bzami i jabłoniemi
w tysiącznych ogrodach
fiołkami i konwalią
w cieniu żywopłotów
kwitło miasto nad rzeką
rozlaną u granic
i słyszało się w mieście
tym różne języki
– jak krzewy – przesadzone
na zachód ze wschodu

Z upływem czasu pamięć o mieście dzie-
ciństwa, o wyidealizowanej tęsknotą Arkadii,
staje się dla Anny Frajlich przede wszystkim
punktem wyjścia do głębszej refleksji o cha-
rakterze egzystencjalnym, do zadumy nad
losem matki-tułaczki i własnym, do szukania
odpowiedzi na fundamentalne pytania onto-
logiczne. W tym miejscu warto zwrócić uwagę
na doskonały w swej krystalicznej przejrzystości
– a przy tym bolesny jak cięcie nożem – Pień,
gęsty i ciemny wiersz o incipicie „W bezmiarze
wśród chaosu...”, naznaczony gorzką mądro-
ścią Wiersz noworoczny i kilka innych.

Szczeciński etap życia Anny Frajlich trwał
lat zaledwie czternaście, od roku 1946 do 1960.
Po ukończeniu edukacji szkolnej i zdaniu ma-
tury wyjechała do Warszawy i na stołecznym
uniwersytecie rozpoczęła studia polonistyczne.
Nie była taką sobie zwyczajną studentką –
miała już za sobą debiut poetycki w prasie
szczecińskiej i warszawskiej. Wydawca Wier-
szy zebranych umieścił w tomie Przeszczep
jej wiersze młodzieńcze, opatrzone datami
powstania oraz publikacji. Pierwszy wiersz
z grupy juveniliów, pt. Żle pochodzi z roku
1956, a pierwszy drukowany (w warszawskim
„Naszym Głosie” nr 17/1958), pt. W parku
– z września 1958. Przeczytajmy ten drugi,
bo widać już w nim bardzo wyraźną i wielce obie-
cującą zapowiedź przyszłej poetki:

Żółty jest park i żółte drzewa
żółte są ścieżki pośród drzew
i ptak pod żółtym niebem śpiewa
i żółty promień przestrzeń tnie
a tu czerwony liść na trawie
a ziemię kryje rdzawa dań.

Gdzieś w kolorowej niemej wrzawie
motyl na udar serca zmarł.

Wiersze młodziutkiej adeptki sztuki po-
etyckiej drukował najczęściej – jak już wspo-
mniano – „Głos Szczeciński” (w dodatku
literackim 1958 i 1959). Ujmowały prostotą
i siłą wyrazu, szczerością, śmiałością, re-
fleksyjnością, humorem. Warto przytoczyć
jeszcze jeden, nieco późniejszy, bez tytułu,
dedykowany Władysławowi Broniewskiemu,
drugiemu – po Mickiewicz – ukochanemu
polskiemu poecie Anny. Ukazał się w „Siód-
mym Głosie Tygodnia” w grudniu 1963:

Przyjdzie
noc czarniejsza niż zwykle
na Powązki
i aleję Dąbrowskiego
– rocznica śmierci
i goździki białe na śniegu
i cisza pełna
nabrzmiała
w którą słowem wrósł
jak w mazowiecką ziemię.

Po ukończeniu studiów polonistycznych na
Uniwersytecie Warszawskim w roku 1965 Anna
Frajlich podjęła pracę w redakcjach dwóch
pism dla niewidomych: w „Naszym Świecie”
i „Niewidomym spółdzielcy”. Została też lek-
torką niewidomego pisarza Jerzego Szczygła.
W tymże samym roku 1965 poślubiła inżyniera
Władysława Zajęca, a rok później wydała na
świat syna Pawła. Kryzys społeczno-polityczny,
połączony z nagonką antyinteligencją i anty-
semicką, który wybuchł w czerwcu roku 1967,
a szczyt swój osiągnął w marcu roku nastę-
pnego, był owym niszczycielskim wiatrem, który
zburzył życie Anny i Władysława i wygnał
ich z kraju; tego, który mieli prawo uważać za
swoją ojczyznę. Wyruszyli – żeby przypomnieć
ów wielkiej dla nich wagi fakt – w roku 1969
z Dworca Gdańskiego i chociaż już w roku
1970 znaleźli sobie miejsce, zdawałoby się,
idealne na nowe gniazdo, miejsce, w którym
było im przez chwilę tak, że „jakby to właśnie
t u”, to jednak wkrótce dało o sobie znać
poczucie obcości, niepełności i nieważko-
ści istnienia, daremności i znikomości starań
o pełne zakorzenienie w świecie.

(...)
a przecież to tylko
przeszczep
przyjęliśmy się na gałęzi
i w nasze zimowe pąki
powoli
przetacza się sok
z tych
innych
niezrozumiałych
poplątanych
korzeni.

Wiersz noworoczny (z tomu W słońcu
listopada):

Poczucie to z biegiem lat nie tylko nie
słabło, lecz przybierało na sile, określa-
jąc aurę emocjonalną poezji Anny Frajlich,
naznaczając ją melancholią i tragizmem.
Oto przejmujący liryk Ptaki (z tomu Ogro-
dem i ogrodzeniem), dedykowany matce,
owej dzielnej lwowiance, która w 1941 roku
uciekła z rodzinnego miasta aż do Kirgi-
zji, aby nie dać się pochłonąć Zagładzie,
a trzy dekady później musiała wyjechać
z Warszawy aż za ocean, aby nie musieć
znosić upokorzeń, obelg i szykan. Została
więc smutnym wędrownym ptakiem.

(...)

gniazda uwijane gniazda budowane
wzdłuż szlaku jak ziarna zostawia
rozsiane
we Lwowie w Warszawie i nad oce-
anem
każde innym wiatrem strącone roz-
wiane.

A oto wiersz Znów szuka mnie wiatr
(z tomu pod tymże tytułem z roku 2000),
autobiograficzny, konfesyjny, zrodzony
z bólu istnienia:

Znów szuka mnie wiatr
i w okna nieobecności mojej spogląda
jak sroka w gnat

przełamało się na pół
istnienie

i tam gdzie mnie nie posiało
do słońca wyciągam gałęzie
i plecy wystawiam na grad

ale wciąż szuka mnie wiatr
obluzowaną szybą po mnie dzwoni
i z czarnych chmur strąca nuty
na requiem.

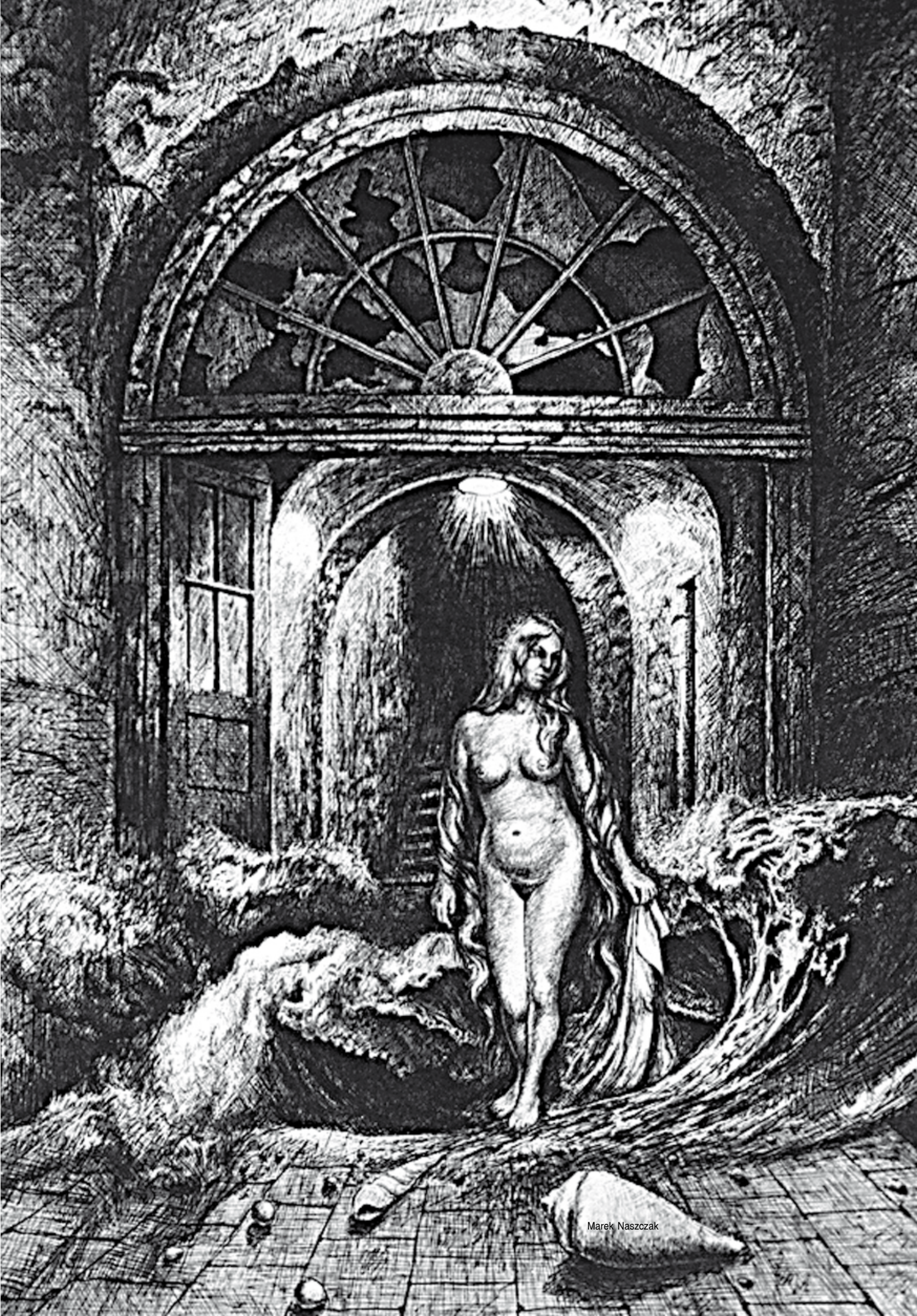
W bardzo dawnym wierszu z motywem
„wiatru” w tytule Anna Frajlich napisała:
„aby wiatr namalować – trzeba poznać
trzcinę/ tak strzelistą wśród ciszy i w czas
burzy/ zgietą”. Widać wtedy jeszcze wie-
rzyła, że można wygrać z niszczycielskim
żywiołem. Po latach trudno jej o podobną
ufność, bo przecież „... jabłoń/ ta sama
jabłoń/ stoi tam a pień/ na dwa istnienia/
bólem rozszczepiony”.

Kończąc czytanie Wierszy zebranych
wybitnej polskiej poetki emigracyjnej pod-
kreślmy, że ich wydawcy dokonali rzeczy
niezmiernie ważnej dla kultury polskiej: do
skarbcza poezji dołożyli perłę.

MARIA JENTYS-BORELOWSKA
W LISTOPADZIE 2022 ROKU

1. Anna Frajlich: Wiersze zebrane. Tom 1 Przeszczep: Wiersze młodzieńcze, Aby wiatr namalować (1976), Tylko ziemia (1979), Indian Summer (1982). Postłowie [pt. W dziwnej szkole pokory/ gdzie uczą żywioły. O liryce Anny Frajlich]: Wojciech Ligeza. Tom 2: Który las (1986), Ogrodem i ogrodzeniem (1993), W słońcu listopada (2000), Znów szuka mnie wiatr (2001). Postłowie [pt. Na przystankach świata: Anna Frajlich liryczne wędrowanie]: Wojciech Ligeza. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezy, Toronto, Szczecin, Bezręcznie 2022, stron 207 + 236.

2. Od roku 1998 na jednej ze ścian Dworca Gdańskiego widnieje tablica dedykowana wygnańcom Marca 1968 ze słowami Henryka Grynberga: „Tu więcej zostawili, niż mieli”.



Beata Gradowska

CZY CIEŃ ODSZEDŁ W CIEŃ?

Od dawna przeglądam repertuar teatrów szukając, niestety bez powodzenia, popularnego w latach 70-tych, musicalu, rodzimej produkcji Cień, nazwanego w podtytułe „Muzyczną bajką dla dorosłych”.

Sztuka, do której libretto napisał Wojciech Młynarski biorąc na warsztat utwór sceniczny Eugeniusza Szwarca (1896-1958) Człowiek i cień, bajka dla dorosłych w trzech aktach (1951)² opowiada o odwiecznej walce dobra ze złem, tej ciemnej i jasnej strony naszej ludzkiej natury. Ciemna strona to ów Cień, który stara się nas zdominować i doprowadzić do katastrofy, całkowitego wyczerpania, na skraj psychicznej wytrzymałości.

Początków utworu nie należy szukać jednak u Szwarca, gdyż ten napisał swoją sztukę w oparciu o baśń Hansa Christiana Andersena o człowieku, który stracił swój cień, pt. Cień³.

Muzykę do przedstawienia skomponował Maciej Małecki, cieszyła się w owym czasie dużym powodzeniem, a zaprezentowane w przedstawieniu piosenki stały się prawdziwymi przebojami.

Była to opowieść o człowieku występującym samotnie przeciwko wszechobecnemu złu, rzecz o odwadze, szlachetności i uczciwości jednych oraz podłości i złośliwości innych ludzi, o krzywdzie, fałszu i dążeniu do sprawiedliwości i uczciwości. Jak donosiła „Gazeta Olsztyńska” (1974) w „Cieniu Młynarskiego krył się cień tak samo zatytułowanych utworów Eugeniusza Szwarca i J. Ch. Andersena (1805-1875)”.

Jak pamiętam, baśń „Cień”⁴ Andersena należy do jego najbardziej przerażających utworów. Jest to opowieść o cieniu pewnego uczonego człowieka, który uwolnił się od swego właściciela i zyskał nad nim przewagę. Eugeniusz Szwarz zaktualizował baśń Andersena do czasów mu współczesnych. Ujęta w metaforę, pozwoliła spojrzeć na psychikę człowieka i stosunki międzyludzkie.

Sztuka, przerobiona przez W. Młynarskiego i M. Małeckiego na styl amerykańskiego musicalu, była m.in. grana na deskach warszawskiego Teatru Rozmaitości we wspaniałej obsadzie: E. Starostecka, A. Godlewska, A. Stockinger, A. Żarnecki, J. Matyjaszkiewicz, B. Łazuka, J. Duriasz, A. Morawiec - tytułowy „Cień” (1973)⁵; łódzkiego Teatru Nowego w inscenizacji K. Dejmka (1977) i Teatru Polskiego w Bielsko-Białej (1985), bijąc rekordy frekwencji i ciesząc się dużym uznaniem. Szkoda, że odeszła w zapomnienie.

Znany krytyk teatralny i redaktor „Dialogu” (1983, nr 11) tak pisał o przedstawieniu na łamach tego pisma:

[...] Przynam się, że chciałbym oglądać musicale na deskach polskich teatrów Nie mówię o teatrach muzycznych – to beznadziejnie[...].

[...] Chciałbym oglądać musicale na scenach teatrów dramatycznych [...]

TEATR
ROZMAITOŚCI
WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 8

muzyka
MACIEJ MAŁECKI

libretto
WOJCIECH MŁYNARSKI

cień

aktorzy
ELŻBIETA DMOCHOWSKA, ADRIANNA GODLEWSKA, BARBARA GRABOWSKA, JOANNA KASPERSKA, STANISŁAWA KOWALCZYK, BARBARA MAJEWSKA, HANNA OKUNIEWICZ, ELŻBIETA STAROSTECKA, TADEUSZ GRABOWSKI, JERZY KAMIENSKI, Cezary KAPLIŃSKI, MAREK KĘPIŃSKI, MAREK LEWANDOWSKI, BOGDAN ŁAZUKA, BOGDAN ŁYSAKOWSKI, JAN MATYJASZKIEWICZ, ANDRZEJ MROWIEC, LUDWIK PAK, ZBIGNIEW PRUS, JERZY ROGOWSKI, ANDRZEJ STOCKINGER, KRYSZTOF TOMCZAK, WOJCIECH ZAGÓRSKI, ANDRZEJ ŻARNECKI

dyrygent
WOJCIECH GLUCH

scenografia i kostiumy
MALGORZATA TREUTLER

przygotowanie wokalne
BARBARA RUTKOWSKA

choreografia
TADEUSZ WIŚNIEWSKI

reżyseria
JERZY DOBROWOLSKI

Kasa Miełwa/Teatr prowadzi przychodnię na 20 dni do wieczora, tel. 22-63-77. Kasa czynna codziennie w godz. 10-14 i 16-19 (w soboty 10-14).
Kasa Dzieci/Teatr prowadzi przychodnię na 20 dni do wieczora, tel. 22-63-77. Kasa czynna codziennie w godz. 10-14 i 16-19 (w soboty 10-14).

Instytut Teatralny

[...] Tradycyjne, roztańczone przedstawienie z inteligentnym dowcipem, z bogatym aktorstwem, z poczuciem pełnej przyjemności po obu stronach rampy [...]

Pozostaje jedynie nadzieja, że może któryś ze współczesnych nam reżyserów sięgnie kiedyś po libretto W. Młynarskiego i da szansę nowym pokoleniom na poznanie tej znamienitej sztuki. Wszak jest to nasz, rodzimy wkład do polskiej kultury. Jak głosił słynny cytat z Misia Stanisława Barei: „Patrzcie - mówimy - to jest nasze, przez nas wykonane, i to nie jest nasze ostatnie słowo!”⁶. I oby nie było.

BEATA GRADOWSKA

1. Encyklopedia Teatru Polskiego, <https://encyklopediateatru.pl/przedstawienie/8144/cien>
2. Eugeniusz Szwarz, Człowiek i cień, bajka dla dorosłych w trzech aktach, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 1951, 112 str.
3. <https://www.btl.bialystok.pl/spektakle/cien/>
4. <https://www.storytel.com/pl/pl/books/cie%C5%84-cz-1-1281394>
5. Data premiery: 28 kwietnia 1973. Encyklopedia Teatru Polskiego, <https://encyklopediateatru.pl/przedstawienie/8144/cien>
6. Fragment filmu „Miś” https://www.youtube.com/watch?v=uPZj1p_smCA

Jerzy Lengauer

„RUINY I ZGLISZCZA”

TEATR

Koniec dnia, rozleniwienie, zmęczenie. Daniel, Kojciec dziesięcioletniego Tomka, taksówkarz, przegląda w smartfonie strony popularnonaukowe. Na głos przekazuje żonie, Agacie, o której wiejsk jedynie to, że jej praca polega na rozmowach z klientami, informacje o fizjologicznych zachowaniach ludzi przebywających w stacji kosmicznej. Ona próbuje czytać książkę, nieudany prezent od męża. Z blurbu publiczność dowiaduje się, że tematyka dotyczy samorozwoju i potrzeby harmonii. Odrobinę przekomarzenia, buziaki i przytulanie, kiedy oboje wstają ze swoich krzesła, krzesła przy stole i pluszowego fotela. Meble-rekwizyty uzupełniają tylko jeszcze jedno krzesło. Tuż przed położeniem się do łóżka jedno z rodziców przypomina sobie o jutrzejszym spotkaniu w szkole w sprawie syna.

Na scenie drażniące różowe światło, w miarę upływu minut stające się ostrym fioletem. W pierwszych scenach obejmuje wyjątknie Agatę. Jej mąż pozostaje w spokojnym, prawie że kojącym odcieniu zieleni. Kolorami postaci będą się jednak zamieniać w miarę odstania ich cech charakteru, intensyfikowania emocji, modyfikowania postaw i stosunku do wydarzeń w szkole Tomka, a może przede wszystkim jego samego.

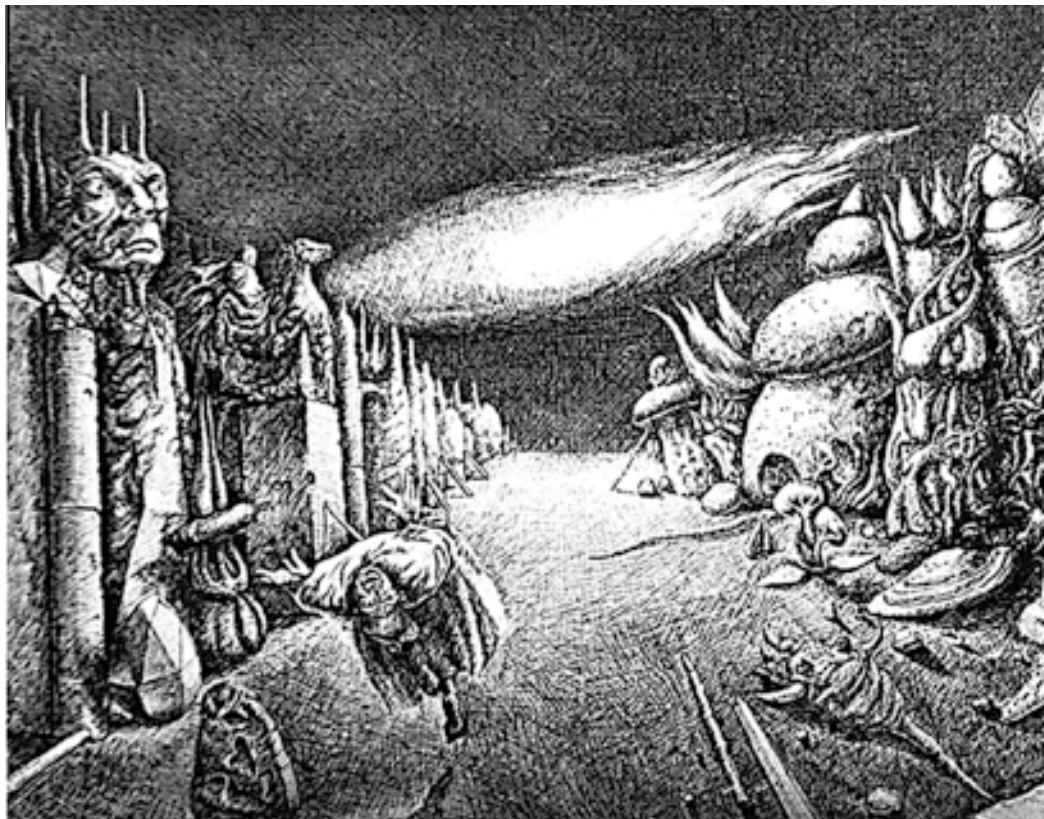
Poszczególne sceny przerywane są dudniącą muzyką, w trakcie której aktorzy przesuwają skromne umeblowanie, by potem na chwilę wraz z rekwizytami nieruchomieć, jakby nabierając sił do kolejnej trudnej rozmowy. O coraz bardziej niepokojących wydarzeniach w szkole dowiadujemy się tylko z ust rodziców. Każde ze zdarzeń zdaje się być przyczyną następnych. Dziesięcioletek od początku roku szkolnego jest odrzucany przez rówieśników. To powoduje fizyczną agresję ze strony starszych uczniów. W końcu dochodzi do aktu przemocy na tle seksualnym stanowiącego przetomowy moment dramatu, ponieważ dotychczasowa problematyka terroru szkolnego zamienia się w tło dla pytań o płciowość. Jeśli ona stanowi kulminację sztuki Bezerry, to zawiązaniem jest kucyk Pony, fioletowy jednorozec, który widnieje na szkolnym plecaku Tomka. Ów plecak, kupiony na ogromne życzenie dziesięcioletka, jest dla niego „kocykiem bezpieczeństwa”. Między nimi zaś obok fizycznego mobbingu umiejscowione zostają zagadnienia schematów dziewczęco-chłopięcych zabawek, ubranek, przyborów szkolnych w stosownych dla obojga płci kolorach, stygmatyzacji płciowej od najmłodszych lat, dopuszczania wyborów jedynie w zakresie akceptowanym przez większość, definicji „normalności”, wysoce konformistycznej, a tym samym krzywdzącej postawy nauczycieli i dyrektora szkoły w stosunku do dręczonego ucznia, którego bezpieczeństwo i potrzeba tolerowania przegrywa z interesem szkoły, konwensu macierzyństwa i ojcostwa, domu jako schronienia, a rodziców w roli wyrozumiałych obrońców.

Właśnie ta rola zdaje się być głównym przedmiotem dramatu. Tak, jakby fioletowy jednorozec zmusił Agatę i Daniela do nagłego uświadomienia sobie konsekwencji rodzicielstwa i podjęcia niezwykle trudnych decyzji. Z początku oboje nie wychodzą poza standardowe poczynania, choć matka, przecież zwykle postrzegana właśnie jako bardziej interesująca się dzieckiem, staje się z każdym dniem energiczniejsza,

próbuje działań nieco wykraczających poza uregulowany schemat dnia, burzy go. Daniel nie dostrzega potrzeby interwencji. Jest zdawkowy, ignoruje, zachowuje się wręcz jak dyletant. Tłumi w sobie epizod z dawnych lat, gdy wyszydzał dziewczynę w gorsecie ortopedycznym.

Z każdym przesunięciem scenicznych mebli, kiedy fiolele i zieleń zmieniają twarze aktorów, przesuwają się także i zmieniają emocje, a chyba też wartości bohaterów. Fotel i krzesło, dotąd związane odpowiednio z kobiecością i z męskością, częściej pozostają puste. Tak jak w przypadku Tomka, pytania o schematyczność dotyczą i jego rodziców. Gdy syn przestaje się odzywać, jeśli i jedynie leży w swoim pokoju, za ścianą, na scenie metaforą zmian w dotychczasowym porządku jest ruch postaci, coraz to inne przedmioty w ich rękach, feeria wręcz dyskotekowych świateł. Na „bezpieczny” plecak z fioletowym jednorozcem nakłada się zdarzenie z wczesnych lat chłopca, kiedy zamienił się ubraniami ze swoją kuzynką. Przypomnienie tego faktu powoduje wybuch wzajemnych pretensji Agaty i Daniela o tolerancję. Ona żongluje „normalnością”, kładzie nacisk na potrzebę dopasowania, słysząc w tym nie tyle prośbę, ile rodzicielski nakaz „nie wychylania się”, uległości. Chyba nie zdaje sobie sprawy, że zgadzając się na wymuszone ze strony szkoły kompromisy i broniąc konserwatywnej tradycji właśnie przekracza granice zrozumienia, harmonii rodzicielskiej i małżeńskiej. On wpada w schemat rozwiązań siłowych. Tomek ma zachować się jak mężczyzna, jak jego tata. Paradoksalnie, chłopiec mający za przyjaciela najdelikatniejszego z komiksowych kucyków Pony ma zapomnieć o tagodności i stanąć wraz z ojcem do bitwy.

Marek Naszczak



Pośród ruin kruchych konstrukcji, chwiejnych wzorców, chaotycznych układów oraz niestabilnego porządku stoi jedna ofiara: dziesięcioletni Tomek. Co stoi za przegraną? Strach? Przeróżenie? Słowa matki, że od urodzenia wydawał się inny? Że go nie kocha? Dramat zaufania, kiedy szaleje w nim gmatwanina jeszcze nie sprecyzowanych pytań o własną osobowość? Jeszcze, jakby ostatkiem sił, rysuje i obrazkami wykleja ściany pokoju. To ostatnia próba komunikacji z krzyczącymi, rozedrganymi emocjonalnie rodzicami. I oto, gdy łęki obezwładniają, jesteśmy świadkami ostatniego ze schematów. Gdy kończą się siły, Tomek zasypia i nie budzi się. Agata odwiedza synka w szpitalu i przynosi do domu uspokajające informacje o wynikach badań. Daniela nie stać na odwiedzin. Dramat zamyka się w klamrach tego samego szablonu postaw obojga rodziców.

„Plecak z jednorozcem” jest przerażającą przestrożą przed brakiem i nieumiejętnością porozumiewania się ze swoim dzieckiem. Kładzie ogromny nacisk na potrzebę więzi, za którymi stoją rozmowy. Nakłania do ich przeprowadzania, by zrozumieć, zaufać, dać oparcie. Dramat jest poświęcony przesładowanemu przez kolegów jedenaścioletniemu amerykańskiemu chłopcu, który popadł w stan wegetatywny po próbie samobójczej. Tomek jedynie zasypia. Nie chce się obudzić, co można rozumieć jako metaforę rezygnacji z nadziei na porozumienie się rodziców. Odwróconych na scenie do siebie plecami. I do syna.

JERZY LENGAUER

Paco Bezerra, „Plecak z jednorozcem”

Projekt „Przestrzenie sztuki - Teatr”

„Teatr Jaracza na zamkach gotyckich”

28 sierpnia 2022 roku, zamek Kętrzyn

Andrzej Walter

ANTIDOTUM ZEZWIERZĘCENIA CZYLI TRZYSTU POLEGŁYCH

Fale zostały przetamane. Czekaniem na to od tego typu impuls, na bunt, na sprzeciw, wreszcie na odwagę zaprzeczenia trendom i tendencjom, zaprzeczenia pewnym jakże gorzkim literackim prawom ciężenia.

Wielka tedy chwata Adamowi Michnikowi oraz Jego środowisku Gazety Wyborczej za tegoroczną Nagrodę Nike 2022 przyznaną Jerzemu Jarniewiczowi, autorowi tomu „Mondo cane” związanemu od lat z koleją z Biurem Literackim Wrocław.

Szczerze mówiąc nie spodziewałem się, że wreszcie nagrodzony zostanie tom poezji tak znakomitej, poezji będącej kwintesencją świata obumarłych mistrzów i poetyckich poszukiwań współczesności, przy czym emanujący nie: brzydota, bełkotem i nowomową, a nasycony słowem prawdziwym: nostalgiją, właściwymi proporcjami i wnikliwością w opisie naszego zezwierzęconego i dziczającego świata, przy czym uderza nas tu nie czcze moralizatorstwo, ale siła rozpisanych obrazów, emocji, nastrojów i zdań, w których znajdziecie: nowatorstwo języka, własny poetycki tembr autora i pełnię prywatnej osobności tej poezji, jej niemal dziewiczość w tym krzyku ciszą i w łagodnym wyjaśnieniu czytelnikowi z jakim światem ma dziś do czynienia.

To nie może być, rzecz jasna, byle czytelnik, byle półinteligent (nawet z tytułem profesora) – to musi być czytelnik pełnokrwisty, odczytany, rozmiłowany w słowie i literaturze, jednoznacznie widzący literacką powinność i jaskrawo widziany przez poetę koneser tej naszej zatracającej się wiary w słowo i jego kulturotwórczą moc. Brawo bis, chciałoby się zakrzyknąć, choć zalecam sobie i wam daleko idący umiar i spokój.

Każdy bowiem powinien w tym kraju „Mondo cane” przeczytać i przeżyć. Szkopuł w tym, że (cytuując słowa samego naszego Nagrodzonego Autora, które padły w znakomitym wywiadzie opublikowanym w sobotniej Gazecie Wyborczej z 8 października 2022 przeprowadzonym przez Wojciecha Szota)

- (...) **Czytelników poezji jest tyłu, ilu Spartan poległych pod Termopilami. Tak, poezja jest niszowa, ale sądzę, że ta niszowość jest także jej błogostawieństwem. To, że czyta ją „trzystu poległych”, ocala ją przed czymś, co jest oczywistym zagrożeniem dla autonomii kultury. To znaczy przed presją rynku, kapitału, mediów, polityki. Bo jeżeli coś ma trzystu czytelników, to jaki kapitał będzie się tym interesował? Jaki sektor rynku będzie chciał to przejąć? Która z partii politycznych będzie próbowała poetów skaperować? Jakie media będą miały interes w tym, by zrobić z nich sezonowe gwiazdy?**

Dzięki swojej niszowości poezja jest nadal najbardziej suwerennym obszarem w literaturze. Proszę nie wierzyć mi na słowo, proszę poezji spróbować.
(...)

No właśnie kochani, spróbujcie poezji, to nie boli.

Choć „Mondo cane” nieco zaboli. W tym tomie bowiem każdy wiersz ma znaczenie. Każdy wiersz może być wykładnią tego, co w poezji najważniejsze, a co wydaje się przeminęło, czego od poezji oczekujemy i czego się po niej spodziewamy. Może też być wykładnią naszych: realiów, tęsknot, snów i marzeń, a może ujmijmy to nonszalancko, naszych skostniałych emocji ukrytych tutaj w obrazach i w świętym języku ukrywającym pod swoją niby oczywistością tysiące: znaczeń, skojarzeń, wątków do rozwinięcia, dylematów, wątpliwości i nieśmiałości wobec świata, który brawurowo chce nas zutylizować i zniszczyć.

Jakże łatwo bowiem odrzucamy i niszczymy całą naszą przeszłość, zachwycając się: modą, namiastkami, świecidełkami współczesności, gardzimy korzeniami, tradycją, genezą i źródłami, brutalnie chwytając za bary rzeczywistość kręcimy się z nią w chocholim tańcu nowego wieku bez umiaru, bez pamięci, bez ... znaczenia.

Pieskie życie, pieska miłość, skundlone masy ludzkie, jak kiedyś już napisałem: *niemasowi ludzie kupujący rasowe psy, bezmyślnie, bezrefleksyjnie, nieumiejące kochać mاریonетки przybierające postać ludzi, w półmalignie setek tysięcy przybranych masek, oszukują się wzajemnie i plastikowo sztucznie udają cywilizowanych pogromców zła. To to jest porażające i niejako odcisnięte w Mondo cane...*

To to

To było to popołudnie, kiedy spadło słońce, właśnie to, takie złote i żywe, i żądne, że myślałbym, że potrwa, ale pode mną zrobiło się nic, jak wtedy, gdy przestajesz mówić i wracamy do siebie, tylko po to,

by się wzajemnie przekonać, że do siebie już nie ma. Przekłuj palcem tę noc popołudniową, pod jej skórą musi być rój pszczoł, z których każda może nas uzadlić, z których

każda oby zrobiła to jak najszybciej.

Oto przykład genialnego wiersza, jednego z wielu w tym tomie, wiersza, który niejasno i boleśnie opowiada o relacjach w naszym pokoleniu, w następnym pokoleniu i w pokoleniu, które dopiero co się narodziło i jeszcze o tym nie wie, że kształtuje się je do żądlenia, albo do impulsu uządlenia, albo do niezrozumienia niczego, o czym my tu mówimy, piszemy, rozmyślamy. Rój pszczoł, symbol być może otrzeźwienia – oby zrobili to jak najszybciej. Obyśmy jeszcze dożyli szansy na to otrzeźwienie i uzdrowienie chorych, patologicznych relacji – pochodnych samorealizacji, totalnego egocentryzmu i społeczeństwa, w którym każdy jest sobie królem: życia, śmierci i codzienności, nie licząc się z nikim i niczym. Każdy usiłuje każdego do czegoś przekonać. Bez efektu, bez rezultatu z samowolą wolności bez wolności. Taki świat, mój przyjacielu. Wolność patologiczna i wynaturzona, jej deformacja i konsumpcja, rodzi nietolerancję, fanatyzmy i upadek złotego środka.

„Mondo cane” to film, na który cię nie wpuszczono, a który bardzo chciałeś zobaczyć, tak bardzo, bo wytworzono w tobie mechanizmem promocyjnym żądzę jego obejrzenia (zaliczenia, albo nawet przeżycia), żądzę silniejszą niż nadzieja. I nie wpuszczono cię na ten film – czy młodzi nadążają (były czasy, że filmy od lat 18 były do obejrzenia od 18-tu)? – nie wpuszczono cię i już. Ty znasz jednak ten film, przecież to się przewija dziś w każdej realnie widzianej scenie. Przed oczami. Śmierć nam spowszedniała, miłość nam spowszedniała, dotarliśmy do jądra ciemności i ciemność też nam spowszedniała, pieskie życie. Mondo cane.

Nachalnie wam odkodowuję Jarniewicza? Przepraszam. Jarniewicza na szczęście nie da się odkodować. Każdy znajdzie tu swój świat, swoje lustro, swoje sumienie. Zapewniłam was, że każdego z was Jarniewicz strzelił mocno w twarz, a potem dla przekory pogłuszcze, jak przywiązane do drzewa psa – zachciankę, wyrzuconego bo nadeszły wakacje, a potem każe się znów zamyslić. Do tego w tej artystycznej prowokacji mamy i inne lustro, zwierciadła wręcz, które spoglądają na (a niech mnie) wybitne przecież wiersze dawnych mistrzów. Ja odnalazłem w sobie pewne skojarzenie do wiersza T.Różewicza (był taki poeta).

Zestawmy na moment Bagaż, rzeczy osobiste Jerzego Jarniewicza

Z wierszem Tadeusza Różewicza

Widziałem go
Przywołajmy te dwa wiersze. Wybacz-

cie, że zacznę od Różewicza

Widziałem go

spął na ławce
z głowa złożoną
na plastikowej torbie

płaszcz na nim był purpurowy
podobny do starej wycieraczki

na głowie miał czapkę uszatkę
na dłoniach fioletowe rękawiczki
z których wychodził palec
wskazujący i ten drugi
(zapomniałem jak się nazywa)

zobaczyłem go w parku

między nagim drzewkiem
przywiązany do palika
blaszaną puszkę po piwie
i podpaską zawieszoną
na krzaku dzikiej róży

ubrany w trzy swetry
czarny biały i zielony
(a wszystkie straciły kolor)
spął spokojnie jak dziecko

poczułem w sercu swoim
(nie pomyślałem lecz poczułem)
że to jest Namiestnik
Jezusa na Ziemi

a może sam Syn Człowieczy

chciałbym go dotknąć
i zapytać
czy ty jesteś Piotr?

ale ogarnęło mnie
wielkie onieśmienie
i oniemiałem

twarz miał zanurzoną
w kłakach rudej brody

chciałem go obudzić
i spytać raz jeszcze
co to jest prawda

pochyliłem się nad nim
i poczułem zepsuty oddech
z jamy
ustnej

a jednak coś mi mówiło
że to jest Syn Człowieczy

otworzył oczy
i spojrzął na mnie

zrozumiałem że wie wszystko

odchodziłem pomieszany
oddalałem się
uciekałem
w domu umyłem ręce

A teraz Jerzy Jarniewicz „Bagaż, rzeczy osobiste”

Mogliśmy dojeżdżać do Zgierza. Spał, naprzeciw mnie, z otwartymi ustami. I patrzyłem na te jego usta, w otwarte usta patrzyłem, w usta, bez języka, otwarte tak szeroko, że nawet gdyby nie spał, nie przemówiłby, a spał tak pięknie, jakby młodo umarł, albo w tę ostatnią godzinę przed Łodzią Kaliską nie miał nic, naprzeciw mnie, nic nie miał do ukrycia. Zawstydziłem się i zacząłem czytać.

Obydwa wiersze są niemal doskonałe. Wiersz Jarniewicza jest nam jakby bliższy. Różewicz pisze chyba jakąś bajkę. Czasem minionym. Dylematem, który przestał obowiązywać, albo i obowiązuje, lecz tylko dinozaury wcielone (takie jak ja i kilku przyjaciół podeszłych wiekiem). Jarniewicz pisze nami, naszym światem, naszą obserwacją, naszym językiem. Naszym ego. W gruncie rzeczy pisze to samo, ale nie tak samo, o tym samym, ale nie o tym. Różewicz porusza najzwyczajniejszym na świecie językiem minioną transcendencję, sprawy wieczne, epokowe, dziejowe, Chrystusa, zapisy Ewangelii, sumienie, sprawy dziś wyśmiane (?) a Jarniewicz – dziecko nowej epoki, nieśmiało sugeruje, że szczęściem byłoby przynajmniej „nie mieć nic do ukrycia”. Ktokolwiek jest bez winy niechaj rzuci kamieniem.

Czy jesteś człowiekiem, który nie ma nic do ukrycia? Na pewno? Nic, absolutnie nic? No właśnie.

I tutaj zaczyna się dziś duża poezja. Poezja naszego świata, poezja skrótu, naszej superszybkiej, a ułomnej komunikacji, która paradoksalnie, skraca dystans i jednocześnie w globalnej wiosce pogłębia: samotność, oddalenie, odosobnienia i nostalgię za czasem, który już nigdy nie wróci. Do tego sumienie, które uśmierzyliśmy totalnie. Jak wszystko, co dziś jest nachalnie totalne.

Czy o tym powinna dziś opowiedzieć poezja? Totalnie nieczytana. Czytana przez trzysty poległych. W nakładzie 300 egzemplarzy, który dotknął i Jarniewicza, bo gdy się dowiedziałem o jego nagrodzie temu nigdzie nie dało się kupić. To znaczy oczywiście byli „pilni sprzedawcy”, którzy otwarcie przyznawali – czekamy na dodruk. Realizacja zamówienia za dwa tygodnie. Paranoja.

Tak jednak wygląda dziś poezja. Nakład 300 egzemplarzy to rozrzutność. Śmiem twierdzić, że cały tom przeczytało być może ze sto osób, a może i jeszcze mniej. Reszta przejrzała kilka wierszy i wróciła do swojej twórczości. Największej przecież i najważniejszej.

O tym też, tylko inaczej opowiada Jerzy Jarniewicz w wywiadzie, który już tu przywołano w Gazecie Wyborczej. Warto ten wywiad przeczytać i przemyśleć. Komu jest dziś potrzebna poezja? Jakie są grzechy środowiska literackiego, grzechy, a może po prostu realia? Bardzo ciekawe refleksje. Autor też z niejakim cynizmem przytacza pewną opinię –

„Nie dziwi mnie, że literatura, a zwłaszcza poezja, budzi emocje. Że ktoś, postać zresztą publicznie znana, napisał pod wierszem z nagrodzonej książki autorytatywnie: „Stabe”, inny komentator podzielił się swoją wiedzą: „Dostał swój od swoich za swoje”, czy ważny tygodnik zachował znaczący dystans w komunikacji o nagrodzie. Bo jest poezja, którą lubimy, i poezja, której nie lubimy i lubić nie będziemy.”

Drogi Autorze, z całym szacunkiem. Tak przecież jest. Nie wiem kogo tu przywołano, czyją wypowiedź. Widzimy to jednak wszyscy gotym okiem.

Dostał swój od swoich za swoje

Tyle, że nie chodzi tu akurat o Gazetę Wyborczą, czy Nagrodę Szymborskiej, czy inne nagrody. Tak wygląda po prostu całe środowisko literackie dziś w Polsce. Dostają swoi od swoich za swoje. I choć dla zmyłki i dla zaburzenia zarzutów robi się pewne uniki, ściemy, podpuchy, czasem się prześlizgnię „nie swój”, aby było cool, aby było tygodniowe, lecz generalnie to złota zasada. Topos kisi się w swoim gronie, Biuro Literackie w swoim, SPP i ZLP w swoim, Łyżka Mleka i inne pomniejsze koterie również w swoich gronach, towarzystwach adoracji, kółkach zainteresowań. Różne poziomy, różni bohaterowie – czasami przez „ce ha”...

Udowodnijcie mi, że jest inaczej. Nie będzie łatwo. Ja wiem, że nikogo spoza środowiska literackiego to nie interesuje. Ba, dziś w ogóle los poety to temat do ubawu, do szydercy, albo do ...niezręcznego milczenia. Elity bawią się czym innym. No już, zostawmy narzekactwo. Niech nam poezja lekka będzie.

Wróćmy do spraw ważniejszych. Do Mondo cane. Do naszego pieskiego życia w tym cudownym świecie.

Pieska miłość

Ktoś podpatrzył: dwa beagle z zbliżeniu
na trawie, w kadrze słońce łąsi się
i merda.

Dwie żywe łyżeczki pod nagim niebem.
„Jak my”,
słyszę. Nie, już nie my. I nie łyżeczki.

A poza tym
to było za zieloną granicą, gdzie co
noc chodzą chłopcy
kapać się w paprociach, gdy wiatr
wycisza

oczy nieletnim podglądaczom. Warknął
motor,

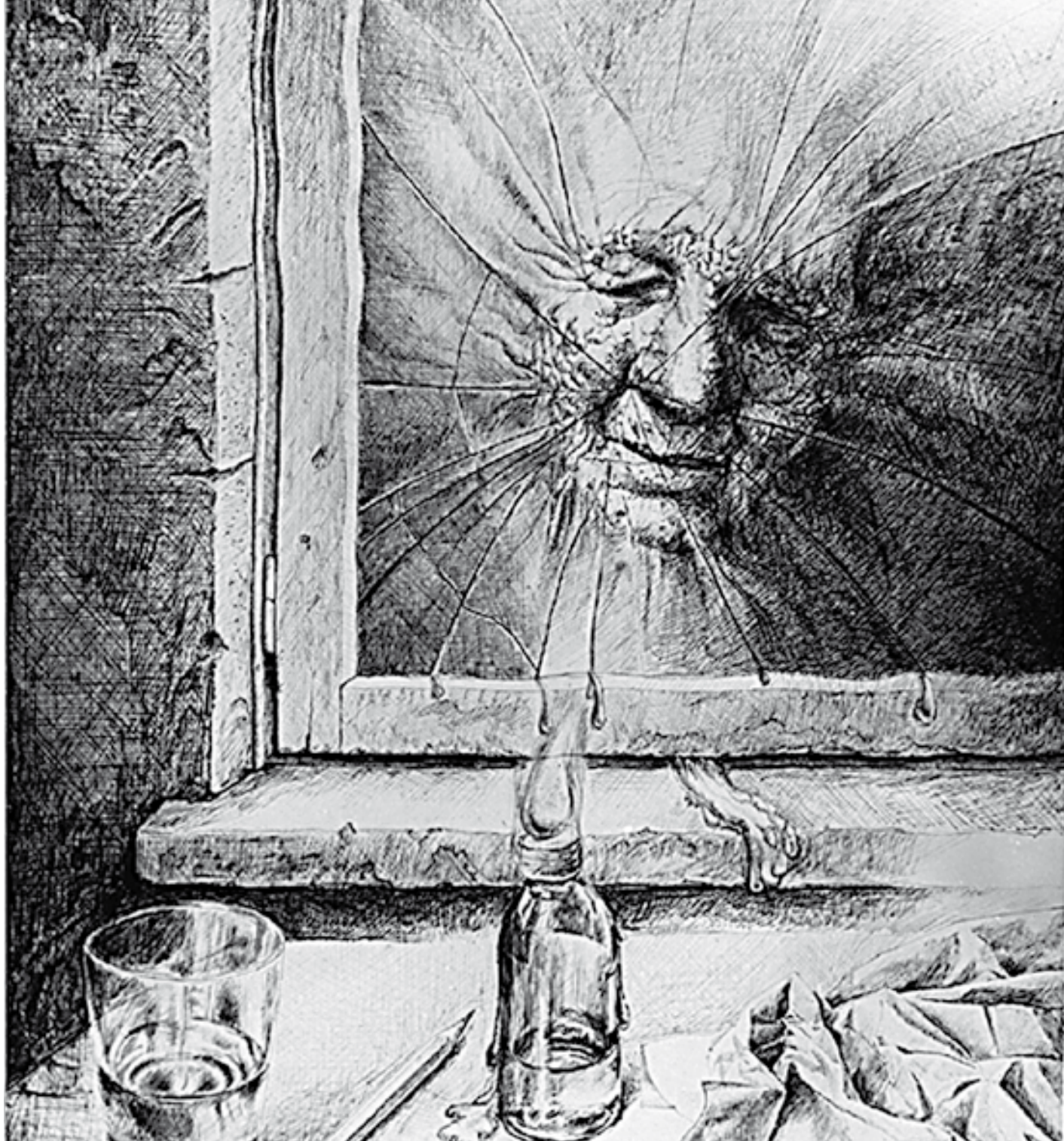
szerstwiało popołudnie. Czeką nas
szum

spłoszonych liści, a potem jeszcze
szelest

chowanych szybko po kieszeniach
słów, i po

wszystkim. Państwo się teraz odwróca,
nie patrzą,
ściągnę buty, sierść.

Już nie my. Nie ma już żadnego prawie
„my”. My – odeszło w przeszłość. W nie-
pamięć. Zostało butne, szalone i zdziczone
„ja”. Szerstwiało już nie tylko popołudnie, ale



i całe nasze życie, a szelest chowanych szybko po kieszeniach wierszy snuje się po wszystkich przedsiódkach codzienności – w pracy, w korpo, w systemie oświeconych demokracji, w społeczeństwie światłym, higienicznym, po-Covidowym i martwym, choć żyjącym. Bez ducha, bez nadziei, bez poezji... (?) – choć może to ostatnie nie takie najgorsze? Przeczytajmy *Mondo cane*. To jeden z najlepszych tomów poezji XXI wieku. Mówi wszystko nie mówiąc niczego, czego byśmy nie wiedzieli, używając przy tym zaskakujących, fenomenalnych metafor, prowokacji, snując obraz za obrazem – bolesne stadia naszego upadku i pokazując jednocześnie, że być może w nim tkwi nasza największa nadzieja. Zawsze ta sama, zawsze obok, na wyciągnięcie ręki, w zanadru. W szeleście słów. I w powiewie poezji. A może i w jej (Jej?) pomruku...

ANDRZEJ WALTER

Ps.: Pożegnaj się z Wami jeszcze jednym mrużącym wierszem Jerzego Jarniewicza. Naprawdę, ciężko się od nich oderwać. To, być może wiersz wpisujący się w te słowa, którymi tekst o *Mondo cane* zakończyłem, a może i nie...

Codzienny spis ludności

*Znowu nas spisali. Pies ich trącał.
I tak nikt
w tym kraju nie czyta, choć zdania
coraz krótsze
i szybsze niż rozwody tych, którzy jesz-
cze zdążyli
przed lockdownem zalajkować sobie
wzajem
zdjęcia profilowe i znikli ze znajomych.
Zgarnął i nas
czas przeobrażeń: prostsza deklinacja,
nowe
patronimiki, ogrodzony las. I stałaś
się dla mnie
kancelarią prawną, gdzie pod nieobec-
ność prawa
stukocze niszcarka donosów miło-
snych*

pisanych w godzinach pracy. Uciszą
stukot,
ucisz tarcze drążące od spodu śród-
mieście,
a usłyszysz skomlenie na pustym po-
dwórku, gdzie,
gdybyśmy nie dali tej nocy się spisać,
gdyby nas
tej nocy spisać nie zdążyli, mieliśmy,
niespisani,
pójść się kochać.

Gorąco namawiam do lektury tego tomu. To bardzo ważny tom i ważny głos współczesnej polskiej poezji. Serdecznie gratuluję Laureatowi, Autorowi – Jerzemu Jarniewiczowi, ale muszę przyznać, że pozostaję też pod wrażeniem odwagi nagrodzenia Nagrodą Nike tego właśnie tomu, jako właściwą odpowiedź na wyzwania naszych czasów.

AW

Ludzkie postrzeganie w rozmaitych okolicznościach

Świat ze *Zbywalności rzeczy* jest bardzo surowy. Bohaterowie wierszy to ludzie mocno doświadczeni przez los, przez drugiego człowieka oraz przez siebie samych. Stałym elementem krajobrazu są tu bezdomni "toczący ulicą swój los / na wysokim wózku", jest człowiek, który coraz wyraźniej widzi, że świat to wrogie terytorium, a życie jest prawdziwym wyzwaniem.

Podmiot przemierza ulice, schroniska, wysypiska, las. Jeździ to tu, to tam. Podgląda ludzi, wnika w ich historie. Ważnym doświadczeniem bohaterów „Zbywalności...” jest uświadomienie sobie różnych spraw. Przede wszystkim istoty życia, szczęścia, wolności. Najczęściej jest to olśnienie, które nastąpiło w wyniku jakiegoś traumatycznego zdarzenia. Olśnienie, które przyszło za późno, bo towarzyszy mu żal, że można było inaczej, że można było lepiej, że w ogóle można coś było. W takich sytuacjach czasem człowiek zwraca się do Boga – szuka, pyta, prosi, wątpi, prowokuje.

Poeta prezentuje właściwie tylko wycinki rzeczywistości. Utrwala konkretny moment, łączy kilka pojedynczych obrazów w jeden wiersz. Buduje liryczne scenerie i umieszcza tam człowieka, który z czymś się zмага. Obserwuje go, bada. Jednocześnie zerka na jego otoczenie – świat nieustannie płynie swoim rytmem, nie zatrzymuje się przy żadnej tragedii na dłużej.

Janusz Urbaniak znakomicie pokazał, jak zmienia się ludzkie postrzeganie w rozmaitych okolicznościach. Jak dla niektórych szczęściem są dobra materialne, a dla innych – świadomość, że codziennie zjedzą kromkę chleba. Ważne jest tu także spojrzenie na ludzi w ogóle – dla podmiotu wszyscy jesteśmy wielką rodziną. Być może wynika to z jego ułomowania człowieka lub wspólnych doświadczeń (swoista rodzina pokiereszowanych przez życie).

Zbywalność rzeczy mówi o utracie, pustce, beznadziei, samotności – w rozmaitych znaczeniach. Jednocześnie opowiada o tym, co w życiu bezcenne i najważniejsze. Bohaterów Urbaniaka obserwujemy najczęściej podczas refleksji o tym, co stracili oraz podsumowaniu tego, co im jeszcze pozostało. I w takim zestawieniu czymże są oszczędności, biżuteria itp. wobec miłości, bliskości, wiary? Czymże bibeloty wobec godności? Podmiot często boleje nad jakąś iluzorycznością życia i relacji interpersonalnych, zastanawia się ile prawdy jest w naszym istnieniu, w nas. Czy potrafimy być naprawdę, czy jesteśmy zdani wyłącznie na maski, frazesy, schematy? Dręczy go świadomość, że jest coś więcej niż to, co znamy.

Jest w wierszach Urbaniaka wielka siła rażenia – dystans podmiotu, paradoksalnie, pogłębia odczucia czytelnika. Nie ma tu sentymentalizmu, grania na emocjach, próśby o litość. Jest wyłącznie, niewyrażona wprost, potrzeba zrozumienia, a przede wszystkim – dostrzeżenia. Podmiot opowiada o jakimś nim, mówi w trzeciej osobie, ale być może to tylko próba oglądu siebie z pewnej odległości, oddalenie emocji i spojrzenia na własny los chłodnym okiem. Zna wszak

osobiste szczegóły, odgaduje smaki, jakie czuje bohater wierszy, zna jego pragnienia, wie o co się modli i jakie targają nim wątpliwości.

Być może ów on to po prostu symbol człowieka w ogóle – tego, który zмага się z różnymi przeciwnościami. Sposób wypowiedzi podkreśla również uniwersalny charakter zbioru Urbaniaka – każdy bowiem może podzielić (albo już podzielił) któreś z doświadczeń podmiotu. Bo przecież poeta wspomina m.in. powodzie odbierające dobytek, smutny los tułaczy czy choćby zatracenie się w alkoholu. Sytuacje, które dzieją się zawsze i wszędzie.

W „Zbywalności...” przeszłość nieustannie depta po piętach teraźniejszości. Przyszłość nie jest tu istotna, bo ważne, aby uporządkować życie tu i teraz, docenić minione doświadczenia i wyciągnąć z nich wnioski.

Podmiot wiele przeżył, dużo zrozumiał (przede wszystkim to, że nie jest w stanie wiele zrozumieć, a to cenna wiedza), ale dotarł do martwego punktu. Naprzemiennie upada i się podnosi, wątpi oraz łąpie wszystkie chwile dające nadzieję.

Poeta chętnie buduje liryki z szeregu postępujących po sobie metafor-scen. To nie tylko zwiłokrotnia możliwości interpretacyjne, ale i tworzy niezwykły nastrój. Są tu też wiersze, w których Urbaniak oszczędnie korzysta z wachlarza tropów poetyckich. Gdzieś tam pojawi się aluzja, symbol, porównanie, gra słowem czy choćby przestawi się szyk. Trzeba jednak przyznać, że nawet pozbawiony wszelkich ozdóbek wiersz jest u Urbaniaka metaforą samą w sobie. W „Zbywalności...” to rekwizyty dnia codziennego tworzą najbardziej wymowną ornamentykę.

KINGA MŁYNARSKA



Marek Naszczak

Jerzy Lengauer

„Współczesność a niezapominanie historii”

(Kateryna Babkina, „Nikt tak nie tańczył, jak mój dziadek”)

„I tak szli, woda pluskała, kończyła się krótka, całkiem już ciemna letnia noc, piasek wysypywał się do trampków i sandałów, a oni patrzyli do przodu, chociaż niczego nie można tam zobaczyć, ani domyślić się, ani wytargować stamtąd żadnej wiedzy, ale mocno, bardzo mocno patrzyli w przód, bo w zasadzie na ich miejscu tylko to warto było robić” [1].

Nie szukam negatywnych powiązań. Raczej przyszło mi na myśl uroczne porównanie. Coś tkliwego. Poruszającego serce. Nawet pewien żal, tęsknota, nostalgia. Niewątpliwie na nowo odczytałem zbiór opowiadań Kateryny Babkiny. Ze wzruszeniem. Tak zadziałał zamykający książkę zacytowany akapit. Podobnie jak ten: „I poszli, trzymając się za ręce. I dokądkolwiek pójdą i cokolwiek im się zdarzy po drodze, mały chłopczyk i jego Miś będą zawsze bawić się wesoło ze sobą w tym Zaczarowanym Miejsku na skraju Lasu” [2]. Jakże sugestywny dla miejsca, w którym dzieje się akcja „Nikt tak nie tańczył, jak mój dziadek” jest zwrot „na skraju” z Milne’a. Ukraina to przecież ów skraj, pogranicze. A dla bohaterów Babkiny zakątek, „Zaczarowane Miejsce”. W końcu przecież dom, przestrzeń, w której spędzili dzieciństwo, gdzie zostali wychowani, skąd pochodzą i oni, i ich rodzice, krewni, znajomi, sąsiedzi, rówieśnicy.

W dwunastu krótkich opowiadaniach, oprócz jednego nie przekraczających dziesięciu stron, czasami wręcz epickich etiudach, Babkina pokazuje czytelnikowi fragmenty dziecięcego i dorosłego świata kilkorga Ukraińców, dziewcząt i chłopców, w ich najwcześniejszym dzieciństwie oraz jako dorosłych, powiązanych pokrewieństwem, niemi przyjaźni, bądź zupełnie sobie obcych, spotykających się przypadkowo. Obrazy od czasu sprzed ich narodzin po im współczesne tworzą w opowiadaniach ukraiński krajobraz ruin i zgłiszcz. Tyle, że jest to smutny pejzaż dusz, serc i umysłów osieroconego pokolenia początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Poranionego podwójnie: odebraniem jednego z rodziców oraz unicestwieniem części emocji i uczuć, co uczyniło bałagan w wartościach i potrzebach młodych ludzi. Do tego stopnia, że czasami zdaje się, iż pięcioro dzieci odziedziczyło bliźny w spadku po rodzicach, niezadowolonych odsunąć od siebie rodzinne dramaty Wielkiej Wojny Ojczyźnianej i reżimowej Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

Kateryna Babkina nie jest wylewna. Nie opisuje tragicznych dziejów Ukrainy. Ale nie traktuje ich zdawkowo. Skupiając się na zachowaniach konkretnych osób z najbliższego kręgu bohaterów, kreuje w nieprawdopodobnie sugestywny sposób ponury obraz życia codziennego, na który przeraźliwie nieodwracalny wpływ ma wielka historia. Z pokolenia na pokolenie.

Dzieci w opowiadaniach nieporadnie wyrażają swoje uczucia. Są słabe fizycznie i emocjonalnie, z deficytami, wystraszone, okaleczone, poturbowane i pokiereszowane jak ich rodzice i dziadkowie.

Pierwszego dnia szkoły 1991 roku, czyli ledwie tydzień po przyjęciu przez parlament deklaracji niepodległości, podczas klasowej uroczystości podkreślającej składa-

nie uczniowskiej przysięgi, „kiedy mamy rozkładaty na stołach przyniesione z domu piegi, ciasta, cukierki w głębokich talerzach i kolorowe gazowane napoje”[3], Liliczka dowiaduje się, że tuż obok niej znajdują się dzieci, które nie mają jednego z rodziców. Babkina opisuje zdarzenie z punktu widzenia pierwszoklasistki, oczywiście jeszcze bardzo naiwnej i infantylnej, dopiero co przekraczającej swój bezpieczny, rodzinny świat. Po kilkunastu latach, po walkach na Wschodzie w Liliczce nie ma już śladu zdziwienia, pozostaje jedynie udawanie, że zawodzi pamięć o płaczącym chłopczyku, któremu współczuła pierwszego dnia szkoły.

Autorka w większości opowiadań tworzy konstrukcję paraleli dramatów, które dotyczą bardzo młodych ludzi i wracają już w życiu dorosłym, dojrzałym. Służy to pokazaniu Ukrainy jako kraju, w którym czas nie jest łaskawy nawet dla jednego pokolenia. Teoretycznie połowa życia, ta pierwsza, dopiero co dorosła, nie zapewnia zablźnienia ran odziedziczonych po rodzicach. Smutki i nieszczęścia ciągną się z pokolenia na pokolenie, zamieszkują w sercach, umysłach i duszach rodzin bez możliwości otrząśnięcia, ponieważ co rusz ojczyzna wstrząsana jest tragicznymi eksplozjami. Klamry opowiadań nie są wyraźne zarysowane. Wydaje się, że najnowsze dzieje Ukrainy to kilkudziesięcioletnie pasmo niedoli i katastrof, które pomimo przybyłej do Ukrainy europejskiej nowoczesności nie zamierzają odstąpić, a wręcz łączą się ze sobą, jak chociażby w opowiadaniu, w którym antysemicki pogrom sąsiaduje z iPaдем.

W przejmujący sposób Kateryna Babkina pisze o skutkach rozpadu Związku Radzieckiego i odzyskaniu niepodległości przez Ukrainę. Nie wdaje się w opisy politycznych niuansów, działań wojennych, ogólnospołecznych zachowań, tworzenia nowych państwowości. Jej uwagę zwracają rozbite rodziny, podświadomie przekazywane dzieciom przez rodziców traumy, okrutne zachowania. Interesuje ją sześciolatka, która raz do roku osnieszonym autobusem jedzie kilka przystanków, by popływać na krytym basenie, za czym kryje się spotkanie z ojcem, widzianym przez dziewczynkę jako bardzo biały i żylasty mężczyzna w czerwonych kąpielówkach, z głębokim pępkiem, owłosionymi nogami, tysiączką i zarazem kędziorami. Pokazuje młodego człowieka w wojskowym mundurze, do którego wydarzenie z dzieciństwa, kiedy jako trzylatek wychowywany był bez matki, wraca agresją w stosunku do przyszłej żony: „Uderzył ją otwartą dłońią w jeden policzek, a potem w drugi, i jeszcze raz, i jeszcze. Natąszy pękła warga i krew trysnęła z niej strużką na białą koszulę Borysa, a oczy zaczęły od razu robić się małe, ale on wciąż bił i bił ją, powoli i jakby nawet bez złości, póki nie straciła przytomności i nie upadła na stertę koców na łóżku. Po tygodniu wzięli ślub” [4]. Albo rozdrażnioną, neurasteniczną kobietę w taksówce, nie umiejącą poradzić sobie z najzwyczajszą sytuacją, jaką jest zaptacenie za kurs.

Opowiadania Babkiny zamieszkują dzieci samotne, osierocone, pozostawiane na wiele godzin bez opieki, muszące radzić sobie same, mimo infantylności jakby przed-

wcześnie dojrzałe w swojej samotności, czasami stanowiące łącznik między dziadkami i rodzicami jak w „Orzechach”, opuszczone na zawsze („Kiedy złotokap obficie zakwitł, już po świętach, mama poszła do pracy i nie wróciła tak samo, jak kiedyś ojciec” [5]). Częstym motywem jest poszukiwanie najbliższych, w wyniku podjętej trzeźwej, przemyślanej decyzji, bądź dziecinnej rozpaczy, obojętnej żalem i tęsknotą. Nie dość, że zdewastowane dzieciństwo tworzy dorosłego ze zrujnowanymi emocjami, to także okaleczonego fizycznie. Przemierzany przez kilkulatki świat jest szary, na granicy mroku, mglisty, bez słońca, zaśnięzony lub pełen błota i wilgoci. Bohaterowie Babkiny przez kilkanaście lat nie znajdują innej drogi. Mają szczęście, jeśli trafiają do szpitali, także psychiatrycznych, bo po niektórych zostaje tylko mała plastikowa broszka-myszka.

Babkina stosuje bardzo proste zabiegi, które mogą się wydawać nieco denerwujące. Lektura zbioru „Nikt tak nie tańczył, jak mój dziadek” to przewijające się przed oczyma pasmo nieszczęść, niedoli, klęsk, złego losu i jedna wielka gehenna. Trafiając w pierwszym opowiadaniu na rok odzyskania przez Ukrainę niepodległości, czytelnik dopowiada sobie historię kraju przynajmniej od Wielkiego Głodu po obecne, tegoroczne wydarzenia, które wychodzą już poza fabułę. Zagubione dzieci są dla niego tragicznym, choć niewątpliwie spójnym obrazem, strasliwym, lecz nie powodującym zdziwienia. Gdy Babkina nagle przenosi się do współczesności, traktowanej nawet nie w sensie czasowym, lecz geograficznym i pokazuje nam neurasteniczkę w taksówce lub bogatego geja, pół Ukraińca, pół Żyda, zmusza czytelnika do uruchamiania wyobraźni, spojrzenia na naszych wschodnich sąsiadów jako ludzi potrącających nas łokciami na chodniku, stojących w tej samej kolejce do kasy w supermarkecie, siedzących obok nas w komunikacji miejskiej, których widzimy z takimi samymi głębokimi problemami egzystencjalnymi, społecznymi, zdrowotnymi, emocjonalnymi a nie jako nieco zapomnianą część historii, dziejącą gdzieś tam na rubieżach...

W bezpośrednio sąsiadujących opowiadaniach Babkina potrafi podejmować dokładnie takie same tematy, lecz opowiedzieć je w zaskakująco inny sposób, bohaterami uczynić kolejne pokolenia, a na dodatek powiązać z na pozór zakończoną już wcześniej historią. Niegdyśi bohaterowie stają się odniesieniem, przyczynkiem, poniekąd statystami z jedną tylko czy dwiema wypowiedzianymi kwestiami. „Babcia powiedziała p” i „Bohaterowie nie umierają” są opowiadaniem o szacunku, który należy się w rodzinie, pośród przyjaciół i bliskich znajomych. Prawdziwe powody estymy zna czytelnik, ale dzieci nie znają tej prawdy. One po prostu powinny szanować starszych ludzi. O właściwych faktach dowiedzą się dopiero, gdy będą dorosłe, jak Dimka, któremu „wiele lat po tym jak umarł ojciec, mama opowiedziała (...), że ten Wowka wrócił z wojny, ale do matki i jej nowego męża nie pojechał oglądać małego brata i w ogóle miał załamanie nerwowe i odebrał sobie życie. Niejasne, czy

babcia postanowiła myśleć, że on zginął na wojnie dopiero, kiedy dowiedziała się o jego samobójstwie, czy już wtedy, kiedy wrócił, ale się do niej nie śpieszył" [6].

Wracając do czasów, w których uczęszczające do zerówki diamentowe wróżki odkładają przed kolacją tablet, przejmujące wydaje się nawet nie pytanie, a stwierdzenie „- Rozwodźcie się – powiedziała cicho Kristina i potem powtórzyła już, pytając: - Rozwodźcie się?” [7]. Rozstanie rodziców to dla czytelników ekspresowa podróż w przeszłość, która drga jak gęsta, ponura, wilgotna mgła, w której pełzają jeszcze powojenne dymy i unosi się zapach szpitalnych sal przepętnionych rannymi fizycznie i psychicznie młodymi

kombatantami. Przeszłość, od której odziera czytelnika tylko kilka stron. Podróż, w której przystankami są wypowiedzane zdania o mamie niebędącej Żydówką, lecz żydowską matką, o dziadku bijącym babcie i mamę z ciotką w dzieciństwie, o wujku, który nie zginął na froncie i wyparł się swojej rodziny, o tacie pracującym na basenie i oczywiście o dziadku, który tańczył jak nikt... Owe wyjątki z dialogu kilkorga młodych ludzi, gdzieś na skraju, gdzie woda pluskała i kończyła się krótka, całkiem już letnia noc, Kateryna Babkina zamieniła na fabuły i tytuły dwunastu opowiadań. W ostatniej historii zmieniając swoje przekonanie, którym zaczęła opowieść: „I wszystkie razem oczywiście natychmiast

udały, że w związku z tym niczego więcej sobie nie przypominają. Bo tylko tak można to było jakoś jeszcze wytrzymać” [8].

JERZY LENGAUER

[1] Kateryna Babkina, „Nikt tak nie tańczył, jak mój dziadek”, przeł. Bohdan Zadura, Warsztaty Kultury w Lublinie, 2020, s. 94.

[2] Alan Alexander Milne, „Chatka Puchatka”, przeł. Irena Tuwim, Nasza Księgarnia

[3] Kateryna Babkina, „Nikt tak nie tańczył, jak mój dziadek”, przeł. Bohdan Zadura, Warsztaty Kultury w Lublinie, 2020, s. 8.

[4] Tamże, s. 37.

[5] Tamże, s. 60.

[6] Tamże, s. 81.

[7] Tamże, s. 88.

[8] Tamże, s. 11.

Jerzy Lengauer

„Ponura atmosfera w Dalmering” (Francis Duncan, „Morderstwo ma motyw”)

Złota era angielskiego kryminału powołała do świata literackiego wielu defektywów-amatorów. Pośród pewnych siebie tużów, egocentryków, snobów, acz uważnych obserwatorów ludzkich zachowań, obracających się raczej w kręgach elity społecznej, politycznej i artystycznej, pojawili się także skromni, powściągliwi w stosunku do siebie, nieco niedowartościowani, lecz służący chętnie pomocą hobbyści rozwiązywania zagadek morderstw.

O to, czy Mordecai Euripides Tremaine wszedł na scenę zbrodni w przedostatnim roku Wielkiej Wojny, czy trzy lata później, toczą się spory. W każdy razie Francis Duncan w powieści „Morderstwo ma motyw” przedstawia swojego bohatera czytelnikom w taki sposób, jakby prezentował defektywa po raz pierwszy. I robi to dość szczegółowo i wiele razy w toku fabuły, poczynając od podania wieku i wyglądu fizycznego Tremaine'a, przez profesję, którą wykonywał, zanim przeszedł na emeryturę, aż po pochodzenie jego imion i opisy życia wewnętrznego budujące jego osobowość. Ten pełen empatii i zarazem wątpliwości, trochę strachliwy, pełen młodzieńczych zapałów i zachwytów nad cudownością wiejskich krajobrazów przyjaciół dwóch inspektorów policji, w tym jednego ze Scotland Yardu, właśnie korzysta z zaproszenia znajomych z Dalmering. Zanim zobaczymy Tremaine'a w pociągu sunącym do stacji Victoria, gdzie przywitają go Jean i Paul Russellowie, poznamy straszną kulminację rozdierającego, ostrego jak brzytwa bólu - wielką, wszechogarniającą ciszę, która około dwudziestej trzeciej zapadła w zagajniku w Dalmering przy wąskiej, wydeptanej ścieżce.

Wież ogarnia letarg, bezruch, otępienie, apatia, odrętwienie. W głosach mieszkańców pojawiają się dziwne nuty. Postacie starają się być jak najmniej zauważalne. Zaczepiane, stają się nerwowe, drażliwe, wybuchają gniewem. Przedstawienie „Morderstwo ma motyw”, czyli sztuka w trzech aktach pióra Alexisa Kenta, która miała być wielkim wydarzeniem dla lokalnej społeczności, zdaje się być teraz puszką Pandory, z której wypetają najgorsze emocje mieszkańców wsi. Dla wnikliwego badacza natury ludzkiej, jakim oczywiście jest Mordecai Euripides Tremaine, to znakomity materiał dowodowy, zatem krok za krokiem wijskimi ścieżkami, szeroką drogą przez środek wsi, pomiędzy domami, od drzwi do drzwi,

pomiędzy salonem swoich znajomych Russellów a świetlicą, w której odbywają się próby do spektaklu krąży, węższy, podpatruje, spiera się z własnym lękiem, błądzi i co rusz odbywa narady przy fajce z inspektorem Scotland Yardu to w krzakach po zmroku, to w kolejnym ciemnym kącie wiejskich zabudowań, żeby bratanie się z policją nie stracić z trudem zdobytego zaufania miejscowych. Tymczasem mieszkańcy w ponurym nastroju decydują się na kontynuowanie przedstawienia, którego tytułowy „motyw” staje się być teraz niezwykle przewrotny.

Francisowi Duncanowi niezwykle łatwo i bardzo szybko udaje się oddać duszną atmosferę miejscowości podzielonej na zamieszkałych tutaj od dawna i nowo przybyłych. Morderstwo wzbudza falę niepewności, które przerażają się powoli w oskarżenia. Najpierw szeptane w zaciszu domowym, potem wykrzykiwane. Co rusz świadkowie zamieniają się w potencjalnych przestępców. Każde nieopatrzne słowo, nieoponowany gest, światło w oknie, spacer w nieznanym kierunku stają się etykietą zbrodniarza i podstawą do zbudowania motywu. Tym bardziej, że zabójca nadal wnikliwie czyta sztukę Alexisa Kenta i sam odgrywa kolejne akty poza sceną świetlicy, w której odbywają się próby.

Przepyszna staje się dla czytelnika-widza scenografia. Tonąca w ciemności wieś parterowych domów. Bezgłośnie wypetająca na ścieżki i dróżki roślinność, wilgotna, nieprovokująca nawet ledwie słyszalnego trzasku pod podeszwą buta mordercy. Światło w oknie nie koi lęku, nie uspokaja, a wystawia na próbę racjonalność, bo nagle przenosi wyobraźnię ze złotej ery kryminałów w dziewiętnastowieczną angielską ghost story, gdzie ogień zwiastuje fantastyczną groźbę. Jeśli Tremaine wraz z czytelnikiem pojawia się w domach sprawiających wrażenie bezpiecznych, gdzie pluszowy fotel, herbata w eleganckiej filiżance, elektryczne już kandelabry współgrają z ciepłem wesoło tańczących w kominku płomieni, to i tak cycha na niego niebezpieczeństwo. Rodzą się w defektywie-amatorze podejrzenia potęgują jego niepewność, zdystansowanie i obawy o własne bezpieczeństwo. Znika komfort wspólnych posiłków z Russellami. Defektyw obserwuje ich oboje, wsłuchuje się w każde słowo, dopatruje znaczeń

w do tej pory niewinnych wypowiedziach, zastanawia, gdy opuszczają dom i do niego wracają.

Autor lubi - i to niejedną raz - pożartować z czytelnikiem. Znakomitą jest paralela rozdziału pierwszego, w zasadzie prologu, w którym poznajemy pierwszego podejrzanego, z fragmentem kilkanaście rozdziałów późniejszym: „W pokoju zgromadziła się cała zgroza Dalmering. Cała potworność, która wcześniej ciążyła nad tą prześliczną miejscowością, skupiła się teraz w tym maleńkim pomieszczeniu za zastonami. W tym stojącym na uboczu domu byli tak skutecznie odcięci od świata, jakby znajdowali się na innej planecie, za warstwą mającą tylko wielkie i straszne zło” [1]. To samo miejsce, prawie identyczna pora bardzo późnego wieczoru i Tremaine w fotelu, w którym prawdopodobnie siedziła pierwsza ofiara sztuki w trzech aktach „Morderstwo ma motyw”. Tak potrafi Duncan przenieść emocje z wąskich, wydeptanych ścieżek przecinających mroczne zagajniki do pokoju, w którym jada się kolacje z mordercą. A może ten zabójczy majstersztyk wynika stąd, że Dalmering, które „składało się ze starej wsi i maleńkim skupiskiem domów i garstką miniaturowych sklepów przy głównej drodze oraz ze znacznie nowszego wykwitu większych domów weekendowych mieszkańców miasta, którzy odkryli nieskażone piękno tej okolicy” [2] nagle stało się wdzierającym obiektem dla opinii publicznej i policji, miejscowością rojącą się od dziennikarzy, śledczych, pracowników Scotland Yardu i skradających się opłotkami podejrzanych obcych.

Francis Duncan kryminałem z 1947 roku satysfakcjonuje czytelnika. Obala obraz sielskiej angielskiej wsi, droczy się nieco z dziewiętnastowieczną niesamowitą opowieścią, dyskutuje z detektywem rozwiązującym zagadki kryminalne w środowisku, w którym ten mieszka. Umiejętnie potrafi zmieniać scenografię i krajobraz niepokojącej atmosfery, przenosząc je z zaułków na teatralną scenę. Poddaje ewolucji nie tylko angielską prowincję, ale i głównego bohatera, w przewrotny sposób pokazując współczesność pukającą do drzwi takich miejscowości jak Dalmering.

[1] Francis Duncan, „Morderstwo ma motyw”, przeł. Tomasz Bieroń, Zyski i S-ka Wydawnictwo, 2019, s. 261.

[2] Tamże, s. 17.

Mateusz Wabik

Jak wydać książkę i nic nie powiedzieć

Po kilku miesiącach oczekiwania, w końcu ukazał się nowy numer „Toposu”, ale tylko z dołączoną do niego jedną książką, nieco droższą i ze zmienionym wydawcą na Instytut Książki.

Do czasopisma wydanego w sierpniu 2022 dołączono tomik wierszy Pauliny Subocz-Białek pt. „Ostatni lot Filomeli”. Poezja Subocz-Białek, także krytyka, jurora i historyka literatury polskiej XX wieku należała do tych, która w ogóle do mnie nie trafiała. Mimo, że to poezja, która wydała się bliska np. poezji Piotra Sommera, gdyż wiersz poetki bardziej mówi niż opisuje, a także jego forma zapisu była zgrabna i nieprzegadana to po prostu wyglądała jak jakieś notatki robione w przerwie pomiędzy różnymi, ważniejszymi od literatury zajęciami. Poetka jakby nie trafiała w sedno, coś tam sobie pisała, zamiast przywalić jakimś wierszem, który by można zapamiętać na dłużej niż tylko podczas lektury. No bo o co w tym chodziło, że w jednym wierszu pisała, że zapomniała, że „istnieje/Świat wokół” i opisywała zachwycona, że padał deszcz

i wiatr wiał. Wiersz o żurawiu, który zanurzył nogę w stawie, nawet nie byłby ciekawy na drugą stronę pocztówki z tym zwierzęciem uwiecznionym na pierwszej. Wiersze o pozbieraniu drobnych, czy buczkach, które nie zdawały się zdjąć i trzeba było w nich tańczyć do śmierci, były tylko jakby szkieletem wiersza, pomystem, który nie przerodził się w zaskakujący opis, wielką metaforę. Zestawianie zachodu słońca z zapaleniem latarni, były tylko takim zanotowaniem chwili jakich w jednym roku tysiące i wywołaniem u czytelnika emocji związanych z zanotowaniem obserwacji, że „Niebo się pali”. Wszystko to zgrabne, ale literaturoznawczynie powinna porzucić ostrożność, niestosowność, strach przed bycia odważną, człe metafory, albo wyjść w stronę jakiejś ciekawej metaforyki, jakichś baśni, bo to co napisała to faktycznie

jedna z najbardziej ostrożnych książek kobiecych jakie czytałem w życiu w stylu „jak coś napisać i wydać książkę, a niewiele się odstąpić, albo nie powiedzieć co się myśli”. Jak pisał Stanisław Grochowiak w poezji powinno się rzucać tomahawkiem zza kanapy, a nie pisać wiersze, które były czymś w rodzaju wachlarza podczas upału. Zresztą mi się od lat wydawało, że instytucje literackie w Polsce zabiły ferment w literaturze. Dzisiaj tak dużo ukazuje się książek niekoniecznych do lektury doktorów, doktorantów, że jeszcze jedna niekonieczna nie spowoduje, że ktoś zauważy, że brak jej było mocy. Przyznać trzeba, że poezja Subocz-Białek była elegancka, ale czy o to chodziło w poezji?

Paulina Subocz-Białek, *Ostatni lot Filomeli*, Sopot 2022

MATEUSZ WABIK

Mateusz Wabik

Czytanie języka przyrody

W nowym tomie wierszy Roberta Gawłowskiego pt. „Życie wieczne”, który ukazał się w 2022 roku w ramach „Biblioteki Toposu” zauważalna stawała się tęsknota za odkryciem jakichś znaków, sygnałów pochodzących z pozazmysłowego świata poświadczających jego istnienie. Poeta nie był jednak niedowiarkiem w swoich wierszach, ani polemista z zastanymi tradycjami filozoficznymi i religijnymi, gdyż raczej chciał upewnić się w swoich przeświadczeniach co do istnienia metafizycznego porządku, ukrytego głęboko pod powierzchnią widzialnych zjawisk, a nie zanegować go. Gawłowski poszukiwał odpowiedzi na pytania związane z przecuciami metafizycznymi, chciałby dowiedzieć się także więcej o naturze kosmosu, powstaniu świata. Ciekawe było to, że te poszukiwania odpowiadały na trapiące go pytania dotyczące zagadki bytu nie prowadziły go do bibliotek, do dzieł greckich filozofów, czy pism humanistów poszukujących w „Biblii” odpowiedzi na trapiące ich pytania z rejonów metafizyki, ale starał się wstąpić w rytm przyrody, wyczytać sensy z jej obserwacji. Tak więc wykorzystał w swoich wierszach średnio-wieczny topos lektury świata jako pisma boskiego. Jednakże z takim przeświadczeniem, żeby ani nie podważać dogmatów religijnych, ani też w lekturze świata przyrody nie narzucać sobie nic z ksiąg religijnych. Chciał być jak najbliższy przyrody by ją zrozumieć. Także bardziej po oświeceniowemu, a może nawet po współczesnemu traktował przyrodę jako coś wcale nie niższego od człowieka, ale coś potężnego, czego człowiek był częścią. Przyroda w wierszach Gawłowskiego nie była jedynie czymś podległym człowiekowi, który mógł korzystać z niej do woli i przekształcać świat przyrody według własnych pomysłów jak to wypływało z „Biblii”.

W wierszu „Kosmologia” podmiot liryczny wiersza wybrał się na przechadzkę nad staw o zmierzchu. Skupiony wstuchiwał się w wiatr i ptasie trele, obserwował owady. Zauważył, że te zjawiska nie były związane z „poezją pozorów”, ale ten widok przyrody u zmierzchu był „bliski elegii”, czyli był czymś na kształt utworu o poważnej treści. Poeta obserwując drzewa dochodził do wniosku, że „czarne obłoki jemioli” „odkrywały swoje/kosmosy w kosmosie”, że zachowanie się przyrody o zmierzchu było wyrażone

w „języku pierwszym”, który był „ukryty w ciemności”. Owo „w ciemności” można było rozumieć dwojako – jako literalne „o zmierzchu”, ale także głęboko pod powierzchnią zjawisk, poza światem doświadczalnym i widzialnym, tak jakby podmiot liryczny wiersza stał na granicy tajemnicy i był bliski ezoterycznym przeświadczeniem o przyrodzie kierowanej przez ukrytego przed ludzkimi zmysłami ducha przyrody. Jemiola o zmierzchu, nie była czymś na kształt dzikiej róży z wiersza Kasprowicza, gdyż nie stawała się symbolem luźno powiązanym z człowiekiem przez rozmaite personifikacje, ale była bytem bardziej odległym, niejasną alegorią tajemnicy, niepoznawalnego. Ów „język pierwszy” dobywający się z ciemności, nadal był dla człowieka ledwie zrozumiały.

W wierszu „Podszewka” podmiot liryczny wiersza w myśl swojego mistrza, starego poety, którego nie wymienił z imienia i nazwiska starał się obserwować przyrodę by odkryć „sensy inne, odwrócone./przenicowane” by poznać niewidzialne prawa rządzące przyrodą, a więc kosmosem, którego człowiek był częścią. Niestety lektura przyrody na podstawie zachowania ptaków nieopodal stojącej góry była trudna. Jedyne przeświadczenie o tamtej stronie poety wyczuł w „smudze światła” pozostającej po „cieniu drozda odrywającym się od gałęzi”. Było to przecucie niejasne, nie do końca zrozumiałe, ale warte zanotowania.

W wierszu „Wyrqb” wycieczka w lesie napotkała przestrzeń z wyrąbanym lasem, co nastroiło podmiot liryczny do smutku i wspomnienia śmierci. W wierszu fragment wyrąbanego lasu stał się alegorią ludzkiej bezradności.

Wiersze Gawłowskiego w „Życie wiecznym” pełne były takich obserwacji jak w przytoczonych wierszach na granicy świata przyrody i świata pozazmysłowego. Wiersze z „Życia wiecznego” były pisane schludną, dostojną frazą jak przystało na klasycystę. Podczas pisania tego tekstu przypomniała mi się „Złota gałąź” sceptycznie nastawionego do magii i religii George’a Jamesa

Frazera, który pisał o tym, że życie człowieka w głębokim buszu, w plemiennej wiosce było pełne niepokoju, bo zewsząd czyhały na niego złe moce, które musiał obłaskawiać. Podobnie w książce Gawłowskiego także zewsząd czyhały na człowieka przeświadczenia metafizyczne, kosmologia i przeświadczenia o świecie pozazmysłowym mogły się człowiekowi przydarzać, ale takie ich natężenie trochę mnie zaniepokoiło. Nagle niemy świat pozazmysłowy objawiał się poecie prawie w każdej obserwacji przyrody. Więc to odkrywanie jej tajemnic, nie było aż tak trudne, jak poeta pisał w swoich wierszach. Człowiek nastawiony religijnie do świata w wielu przypadkach widział działanie boskie – jak księża we Włoszech, którzy podczas początków pandemii koronawirusa uważali, że „pandemia to kara za grzechy”, a np. religijna dawna sąsiadka, kiedy opowiedziałem jej o tym jak złamałem nogę idąc na skróty nie zauważając zamrożonej kałuży pokusiła się o aforyzm „człowiek jest głupi, zamiast iść prostą drogą, wybiera pójście na skróty”.

Na pewno wiersze Gawłowskiego czytane kilka na dzień stanowiły interesującą lekturę, ponieważ były czytelne, poeta z wielką wprawą stopniował w nich napięcie od opisu zwykłego zdarzenia, do niemal detektywistycznej pasji dochodzenia po śladach do wniosków. Jednak w większym natężeniu, wydały się twórczością kogoś kto już poznał i wierzył w różne boskie tajemnice, metafizyka nie była dla niego niezrozumiała, a to czytanie przyrody zaznaczone w wierszach wydało się zaledwie wypadkową stylu. Przy pierwszej lekturze tomiku wydawało mi się, że poeta zyczajnie opisuje przyrodę i te obserwacje nie były niczym niezwykłym. Czyżby poeta nie chcąc wydać się ironistą? Myślę, że mimo różnych za i przeciw w stosunku do „Życia wiecznego”, trzeba zauważyć, że to solidny tomik z wieloma udanymi wierszami.

MATEUSZ WABIK

Robert Gawłowski, *Życie wieczne*, „Biblioteka Toposu”, Gdańsk-Kraków 2022

Przeciw Kiplingowi

W roku 1922 George Orwell, zamiast iść na studia do Oxfordu lub Cambridge, został funkcjonariuszem policji i wkrótce potem – jako policjant – został wysłany do Birmy. Kraj ten w tamtym okresie był brytyjską kolonią. Orwell w Birmit spędził całe sześć lat.

W ten sposób w życiorysie późniejszego autora 1984 i *Folwarku zwierzęcego* po raz pierwszy bardzo wyraźnie zarysowała się pewna jakże charakterystyczna tendencja: unikanie drogi życiowej, która przedstawicielowi brytyjskiej klasy średniej (do której należał), zdawała się być z góry przypisana. Orwell (a właściwie Eric Blair; pseudonim Orwell pochodzi od nazwy rzeczki, w której zwykł się kąpać) systematycznie i konsekwentnie z tego szlaku zbaczając, manifestując z ten sposób swoją solidarność z najbiedniejszymi grupami społecznościami. Przez to długie okresy spędził w skrajnej nędzy, co spowodowało, iż zapadł na gruźlicę, a ta zabiła go, gdy miał niespełna 50 lat.

Doświadczenia z Birmy posłużyły Orwellowi do stworzenia pierwszej powieści pt. *Birmańskie dni*, której atmosfera w pewnym stopniu przypomina klimat niektórych powieści Wojciecha Żukrowskiego. Głównym bohaterem książki jest niejaki Flory – mieszkający w kolonii Brytyjczyk – „nie znosi systemu kolonialnego, który wypłaca mu pensję i zobowiązuje do utrzymywania kontaktu z sadystycznymi rasistami” (1). Mimo tej niechęci Flory nie ma odwagi, by podjąć jakieś konkretne działania i przeciwstawić się systemowi, którego nie aprobował, a który go osacza. Nie znosi swojej pracy przy handlu drewnem, choć właśnie ta gałąź przynosiła zyski wielu jego krewnym. (Podobnie było w rodzinie Orwella.) Zamiast

tego „wciela się” w tubylca, wybierając sobie birmańską kochankę; zarazem jednak szuka uznania u miejscowej kolonialnej śmietanki, zalecając się do Elisabeth Lackersteen, dziewczyny z bogatej europejskiej rodziny. Kiedy jego birmańska kochanka ujawnia sekrety alkowy Flory’ego przed ludźmi zgromadzonymi w kościele, ten, uznając się za skompromitowanego, zabija się strzałem z rewolweru. Cichy buntownik ponosi klęskę. Nic nie zmienia w rzeczywistości, którą gardzi, a swój niezdecydowany wewnętrzny sprzeciw przepłaca życiem.

Orwell swą literacką prozę uwielbiał wywodzić z konkretnych faktów. Dzieje się tak także w jego pierwszej powieści. Pierwowzorem postaci Flory’ego był dla niego niejaki H.R. Robinson, kapitan armii indyjskiej, zwolniony ze stanowiska w birmańskiej służbie policyjnej za zachowania, które uznawano za kalające dobre imię formacji. Orwell był zafascynowany tą postacią, słyszał o niej będąc jeszcze w szkole policyjnej, a przebywając w Birmit wielokrotnie z nim się widywał. Robinson regularnie spotykał się z rdenną ludnością, przyjaźnił się z tubylcami, przeszedł na buddyzm i miewał romanse z miejscowymi kobietami. Ponadto był uzależniony od opium. Podobnie jak Flory, na końcu, w roku 1924, strzelił sobie w głowę ze służbowego pistoletu. Samobójczą próbę przeżył, lecz w szale pozabawił się dwójga oczu. W tym stanie dotrwał aż do roku 1965, by dopiero wtedy ostatecznie odebrać sobie życie.

W *Birmańskich dniach* Orwell podejmuje oczywistą polemikę z Rudyardem Kiplingiem – piewca i apologetą realizowanej w koloniach cywilizacyjnej misji Wielkiej

Brytanii. W przeciwieństwie do sławnego noblisty, brytyjską kolonię przedstawia jako rzecz odrażającą.

Krytyczna dysputa na ten temat trwała potem przez wiele, wiele lat. Jeszcze w latach 40.–tych XX wieku w swej prasowej publicystyce Orwell pisał: „Literacki wizerunek (...) Indii kolonialnych, jaki przekazał nam Kipling (...) powstał tylko dlatego, że on sam, człowiek nieokrzesany i gruboskórny mógł tam żyć, bytować i trzymać dziób na kłódkę w klubach i pułkowych kantinach”. I dalej: „Kipling jest imperialistą w duchu brytyjskiego szowinizmu, jest niewrażliwy moralnie i odrażający pod względem estetycznym. (...) Nie ma sensu utrzymywać, że (...) opisując jak brytyjski żołnierz bije „czarnucha” wyciorem do karabinu (...) jest wyjątknie reporterem niekoniecznie aprobującym to, co ogląda. U Kiplinga nie sposób doszukać się najmniejszej wskazówki sugerującej, że on sam potępia takie postępowanie – wprost przeciwnie” (2).

Co oczywiście, zarówno książkowy Flory, jak i powołujący go do życia Orwell, czy pierwowzór Flory’ego, nieszczęsny Robinson, czegoś takiego nigdy by nie zaaprobowali i bardzo by się tego wstydzili.

WIT ROMANOWSKI

George Orwell, *Birmańskie lata*, tłum Paweł Lipszyc, Kraków 2022

(1) Richard Bradford, „Orwell. Człowiek naszych czasów”, tłum Aleksandra Żak, Znak, Kraków 2022

(2) George Orwell, *Czy naprawdę schamieliliśmy. Nieznane eseje, szkice, opowiadania i felietony*, tłum. Bartłomiej Zborski, Muza, Warszawa 2021



Zbigniew Kresowaty

Córka nie tylko dwujęzyczna (Jak zrozumieć tłumaczenie życia Zbigniewa Joachimiaka)

Jakże przyjemnie brać do rąk książkę, otulić palcami 140 jej stron, tak pojemnych zapisów, że można je pojmować jako POEMAT, i czytać powoli z uwagą, kto wie czy nie leniwie, ale na pewno do końca, tęczać wyobraźnię posuwając się ślimaczym tempem, po szlamie wsiąkających w ubitą ziemię słów, tak jak sugeruje



Portret poety i redaktora Zbigniewa Joachimiaka wyk. Zbyszek Ikona – Kresowaty

okładka z nocnym ślimakiem rysownika Marka Przybyły. Książka poetycka wytrawnego i oryginalnego poety Zbigniewa Joachimiaka, o której już dużo powiedziani i spisano jest wyjątkowa. Jak wiemy, to poeta z dorobkiem wielu zbiorów wierszy, a tutaj tekstów dwujęzycznych, ukazanych w przekładzie z polskiego na angielski przez **dr Annę Zofię Gąsienicę Byrcyn**, filolożkę, tłumaczkę i polonistkę, mieszkającą i rezydującą w Chicago, wykładającą język polski i kulturę polską (także na Uniwersytecie Saint Xavier Oakton Community,

prowadzącą kursy języka polskiego na Uniwersytecie w Indiana – SWSEEL i na Uniwersytecie w Pittsburgh)

– To wydanie numerowane, wydane przez „Fundację Światło Literatury” po przeczytaniu kilkunastu stron, sprawia wrażenie książki ciekawej, innej, czyli nietuzinkowej w redakcji i oprawie, co po przeczytaniu kilku stron wciąga w głąb, wiedzie i dotyka wielu rzeczy i spraw egzystencji... Po przeczytaniu książki pozostaje się pod wrażeniem

bardzo oryginalnego snu z pełnej rzeczywistości, biegu zapisów dotyczących osobistej poeży. Czytelnik powraca do **córki * daughter**. Zbiór poezji jest na pewno bardzo ciekawą, tłumaczoną fachowo pozycją, bo to książka o miłości, relacjach z kochanymi osobami, o wielu córkach wszystkich ojców, o rozstaniu i rozstawaniu wiecznym i na chwilę. W tym tomie wiele jest oparte na rzeczywistości, ale równie dużo jest poetycką kreacją, która ma uniwersalizować to, co jest osobiste i indywidualne. Wydaje się, że poeta zmierzył się ze swoimi osobistymi relacjami ojciec – córka, i córka – ojciec. Zapisy, jak się wydaje głównie z listów w obie strony, niosą bardzo ciekawy smak i zaśpiew autopsji(?), tej przeżytej i mądrej jako rozłąki trawionej wielką miłością. Dlatego może tu być nie jeden wiersz o miłości... albo dwa, ale też o Ameryce i o domu rodzinnym, o wędrowce przez las i przez chaszcze zdarzeń, jest o wędrowaniu przez życie, a nawet o Rosji. Czytając te wiersze ma się wrażenie dotykające drogi absydu. Jest tak, że ojciec przemawia przez wyobraźnię wrażliwością i językiem córki, poprzez listy jest on tak wszechobecny w córce jak ogród pełen zieleni i pulchnej pachnącej ziemi, że chwilami mówi i oddycha jej słowami, odżywia się nimi. To bardzo ciekawe i niebywale znamienne, bo niewielu ojców rozumie swój cały ogród z widokiem na horyzont córek. Dziś czas taki, że wielu poetów mówi o czymś czego sami nie rozumieją. Tak naprawdę książka ta jest pewnego rodzaju katharsis(?) i jakby spełnionym snem z marzeniami. Jest ten stan rozległą rzeką, w której pławić się można nieprzerwanym nurtem. Teksty czasem płyną jak listy, choć bywają czasem dygresyjne, a jednocześnie jakby jedyne, czasem wręcz tajemnicze... Istnieje w nich czas, fenomen zdystansowany i pokorny? Może warto przytoczyć po takich odniesieniach kilka wierszy poety, które poruszają krytycznie.

**Tańczę z ojcem (s. 9
Parafraza wiersza S.)**

Tańczę z moim ojcem po lodowym
zamarzniętym, białym stawie
Tańczę ostrożnie, delikatnie,
z uwagą, aby nie stracić równowagi
Nie chcę się przewracać, ani by ojciec
upadł.
Nasze stopy ślizgają się po lodzie,
przy każdym obrocie boimy się o siebie.

Ale ojciec mocno trzyma mnie za
rękę
i póki to

wiem, że nie upadnę, nie stracę
I będę z nim tańczyć,
a on będzie mówił, że jestem piękna
i nie przestanie mi w tym tańcu
o tym opowiadać.

- Otóż ten taniec „życia”, taniec non - stop ojca i córki, jest wzbogacający, jest przyjemny, opiekuńczy, choć rzucił ją na głęboką i szeroką wodę, ojciec trzyma za rękę, ich byty czują swoje „ja” brzmiące ciepło, nie tylko w słowach. W widzą się mimo opaski losu na oczach. Pewnym jest, że razem nie upadną. Wyznania szepcą, snują i zszywają ich więź. Poprzez takie relacje powstają nowe listy – a u poety wiersze objuczone tęsknotą, ucichłą tajemnicą. Słowa zostają niezaniechane i toczą swe kręgi w dal. Los z opaską na oczach nie tylko tańczy do przodu, los tańczy czasem do tyłu w czasie i miejscu danym jako dopust, czasem robi znów krok do..., jak zauważa to wiersz:

Los robi krok do tyłu (s.17)

Los ma oczy zasłonięte opaską
stoi pomiędzy
a my zawiążemy z uporem
z tyłu węzeł za węzeł
aby nie spadła z oczu losu chusta.

Nie dowiemy się jaki kolor oczu ma
los
jaki jest jego wzrok,
jak patrzy, jak mówi i co.

Gryziesz zielone jabłko,
wypluwasz pestki,
obrana skórka robi się szara.

A on los, robi krok wstecz.

Natomiast, kiedy patrzy się na daty powstania tekstów, bywa, że są one pisane w dość odległym czasie, np. w 1983 roku, czyli blisko 40 lat temu. Dlaczego poeta autor pomieścił wiersze z minionego dawno czasu? Wydaje się, że czas listów i odpisywanie na nie zawiera pewnego rodzaju uniwersum dla rozmowy i dialogu ku cennym przestaniom i wspomnieniom. Wiersz o uniwersalnym tytule **Jabłko** jakby wiodący z „Księgi Rodzaju” do teraz, do przeżywania przy obieraniu jabłka, jest rozległym wspomnianiem o pisaniu wiersza, tak jak łuskanie fasoli u Myśliwskiego. Z takich relacji kontemplacji wydostaje się czasem gorzki smak miłości, dodaje poeta. Zatem przytoczmy:

Jabłko (s. 19)

Pytasz dlaczego wiersze są o śmierci?
Mogłabyś zapytać dlaczego o miłości.
Obieram jabłko, długa już jest
sprężynka zielonej skóry,
układa się w kręgi na kartce papieru.

Dlaczego o wieczność pytasz,
dlaczego z tak daleka koniec widzisz?
Nie przekrawam jabłka na pół,

do środka owocu po-
woli dochodzę.
(...)

1996

Wydłużająca się ser-
pentyńska skórki, wijąca się
w prawą stronę, czyli we
właściwym kierunku ruchu
zegara, wyznacza bieg
i czas... ziemi, a w jabłku
wiedzie do prawdy, gdyż
jabłko pada blisko – ja-
błoni, ma nasienie. Jabłko
spadło pewnego czasu
na głowę Newtona, co
w efekcie spowodowało
wielkie odkrycie w nauce
i poruszenie w świecie.
Jabłkiem podanym przez
kobietę ponoć zadławił się
Adam w Raju, zatem no-
simy od wtedy pamiątkę
na grdyce, jako ród mę-
ski. Parafrazowanie jabłka
prowadzi do bardzo wielu
odniesień mitologicznych
i kulturowych

Zauważyć należy, że
są rzeczy jakby zapisane
magnetycznie(?) w nas,
a w poecie artyście szcze-
gólnie nieodwracalnie
w DNA. Spójrzmy na ruch
puszczonej wody z kranu
do umywalki – wodny wir
zawsze będzie wirował
w prawą stronę, nigdy
w lewą, tego nie zmieni-
my! Ale szukamy środka
i dociekamy dlaczego tak
jest. Czasem napotykały
gorzką prawdę ustanawia-
nia świata. Ale poeta po-
wie o gorzkiej pestce miłości na końcu tego
wiersza, gdyż obierając jabłko obmyślono
już śmiertelną drogę do miłości.

Pojawia się w tej książce wiersz - piszę
książkę, bo to nie jakiś tam mały tomik
wierszy a wartościowy skład przemyślanych
tekstów - zapisany w konkretnym miejscu,
w Nowym Jorku w 1983 roku, być może napi-
sany wg listu córki?, a chyba raczej z pobytu
w tamtym miejscu. Jest to wciąż aktualny
wiersz, pojemny w metafory i wartościujący
siebie jako wiecznie istniejący znak, może
jedynie przeobrażający się w różne atrybuty.
Spójrzmy na wiersz bez tytułu.

X X X (s. 31)

Czas tu się rozwinął do ptasich roz-
miarów,
ostry dziób stwardniał a pióra spło-
wiały,
odporne na wiatry deszczu i zawieje.

Z perspektywy czasu nawet gdy ko-
łuje,
ludzie są jak mrówki (a mrówki są tu
duże)
nie słyszy się ich głosów, gdy zwołują
ptaki.

Starczy że są, tak ptasi czas istnieje,
widzi funkcję swą w mrówczym za-
bieganiu,
nie musi słyszeć głosów.

zbiigniew joachimiaak
córka • daughter



Okładka rysownik Marek Przybyła

Od czasu do czasu, dla pewności,
chwytą w szpony zamroczona mrów-
kę,
która się ze zbyt dużych szponów wy-
myka.

(...)

Nowy Jork 1983

Właściwie można by zakończyć oma-
wanie toku treści wierszy poety Zbyszka Jo-
achimiaaka z książki *córka * daughter*, bo
recenzja z racji swego gatunku jest ograni-
czona. – za mało miejsca! Ten tom to wielki
gąszcz dostarczający czasem kłopotu my-
ślowego... To wielki Poemat, piszę słowo
Poemat z dużej litery na poważnie. Poemat,
w którym mieszają się dygresje i metafory
trwania i zależności... To książka - o wciąż to-
czącej się rzeczywistości, o dojrzałej miłości,
wdzięczności i relacjach ojciec - córka oraz
córka - ojciec. O śmierci i nadziei, i o czasie
rozciągniętym szeroko, wiodącym za oce-
any w kosmos czasu, w orbitę wieczności,
sensie zataczającym duże kręgi. To książ-
ka o pojmowaniu bytu mądrego i wielkich
głębokich snach sędziwego obserwatora,
dopisującego filozoficzne znaczenia, ob-
razującego - jakby artysty malarza - nie-
bawiały ogrody życia i pojedynku z jego
miłościami i prawdami...

ZBIGNIEW KRESOWATY

Zbigniew Joachimiak *CÓRKA * DAUGH-
TER*, Światło Literatury, Gdańsk, tłumacze-
nie na angielski dr Anna Zofia Gąsienica
Byrcyn.

s. 140, 2021, wyd. numerowane. Okładka
Marek Przybyła.

Kazimierz Sopuch

LIPCOWE SKRZYPCE

Tadeusza Franciszka Machnowskiego
(1937 – 2022)

W Wydawnictwie **Marszałek Development & Press**, ukazała się nowa książka Tadeusza Franciszka Machnowskiego **LIPCOWE SKRZYPCE** – wybór wierszy przygotowany przez Irenę Knapik-Machnowską. Tadeusz Franciszek Machnowski – poeta i pisarz Narwi, miał ten rodzaj talentu, który od początku jego twórczości objawiał się w całej krasie. Był twórcą świadomym źródeł inspiracji pozwalających na kreację słowa, intuicyjnie znajdował właściwe określenia dla wyrażenia myśli i wizji – najlepiej widać to w wierszu **DO POEZJI**: „daj mi poezjo najwierniejsza / przejrzystość słowa w chwiejnej łodzi serca”.

Pejzaż nad Narwią uczył go harmonii i umiłowania natury, wzmagał pragnienie:

„rozprzestrzeń ryby w ogromnym akwariu
niezmałconego snu nad wieczną Narwią

ponad ziemią prowadź w słowach prostych
w zielone wiry i wodorosty”

Błaga poezję, by go ostoniła przed banatem i wybawiła od prostactwa.

I rzeczywiście - Machnowski w całej swojej twórczości unika banatu i prostactwa.

Często w swojej twórczości odwołuje się do Norwida, co wskazuje, że jest obeznany z poezją wielkiego lotu i wie, do czego zmierza. Nikt go takiego spojżenia na poezję nie uczył, do tej świadomości doszedł sam, ciągłym i upartym samokształceniem.

Innym, jakże ważnym nurtem w poezji Tadeusza Franciszka Machnowskiego, była tęsknota za nieskończonością. Wyrażał ją w różny sposób, ale zawsze w połączeniu ze skończonością. Poeta tę myśl odwieczną określił po swojemu, poetycko w wierszu **Marność**: „zmieszane pojęcia: piekło albo niebo / miłość ponad nami czy marność...”.

Pisząc o Machnowskim należy jeszcze dodać: Poeta metafizyk, który odczuwał każdym swoim nerwem tragizm istnienia. A oto jeszcze jeden przykład innego sformułowania tej samej myśli z wiersza **SŁAWIONE BŁOGO** :

„błogosławione moje zapomnienie
powracający jak żniwa i Norwid
ci co najcelniej rzucali kamienie
wiatr co przewiał a który mnie powił.”

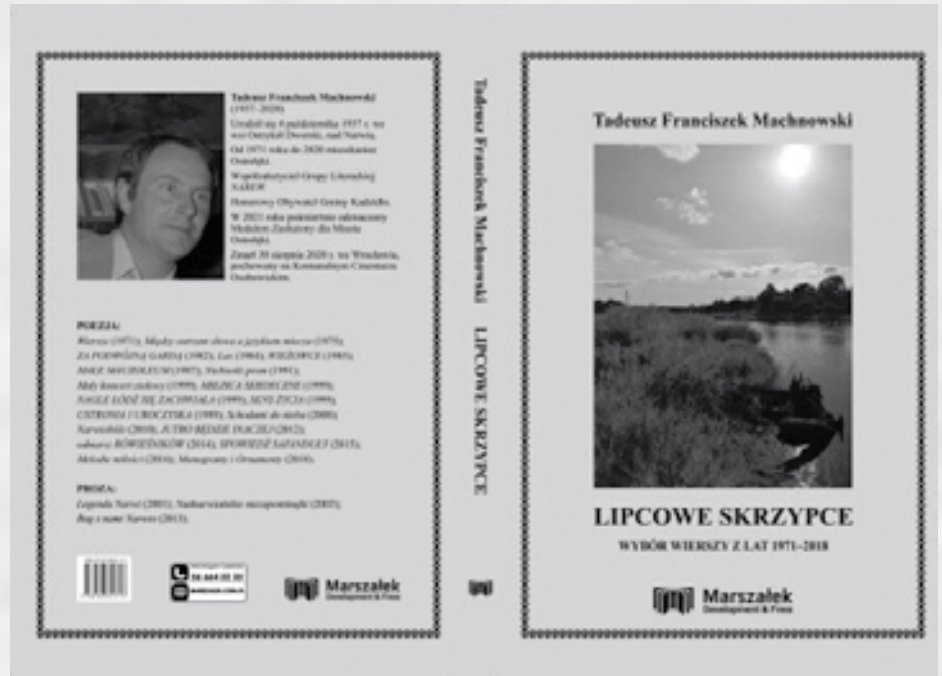
Jakże proste i jakże jednocześnie treściwe, pełne tęsknoty za lotem w nieskończoność, widzenie świata przez Poetę.

Kończąc to krótkie przedstawienie wyboru wierszy Machnowskiego, zachęcam Czytelników do zagłębienia się w jakże piękne i pełne niesamowitych skojarzeń wiersze.

Grób poety

Pochowany na Cmentarzu Osobowickim w Alei Głównej we Wrocławiu
Olsztyn, 4 października 2022 r.

KAZIMIERZ SOPUCH



Agnieszka Tomczyszyn-Harasymowicz

Plaga natrętna, ale pożyteczna

W zbiorze Majki Żywickiej-Luckner pt. w każdym innym mieście „rozkrecają się wszystkie tańcuchowe karuzele” – pojawiają się lalki bez kolan, złowieszcze cyganki z „oczami bez rosy i fartuchem z pajęczyn”, trwa „karnawał na ulicach miasta półsenny”, gromadzą się szmacianki, symbole niezbyt dzieciennego dzieciństwa, zaprogramowane przez łęki „dziewczynki noszące strach za koszulką”.

Poetka przeprowadza czytelnika przez miasto będące innymi miastami, przez zaułki tego osobliwego miejsca – w konsekwencji przez korowody psychiki ludzkiej, przez porwane życiorysy, przez historie zaniedbane różnych mieszkańców-bohaterów. Ogólnie rzecz ujmując – spotyka tu czytelnik ludzi przedziwnych, odbywających własną podróż, niemalże Dantejską, niosącą niepowetowany ból straty i pragnienie uspokojenia.

pamiętasz jakie miały imiona anatomiczne słoje i ten jeden najbardziej bojaźliwy? – próbujesz moje imię jakbyś wszystko wiedział o zaprzestaniu. mam puste przeloty z mocnym milczeniem do siebie nie tylko o zmierzchu a kiedy się kończysz w ramionach swojej kobiety jestem jeszcze drobniejsza.

(zrób dziecko smutnej dziewczynie)

Mocna metaforyka psychozależności, unerwiona jak płatek ucha – szuka czytelnika śmiatego i bezkompromisowego, bo tylko taki jest w stanie rozpoznać przez skórę wiersza własne zalężnione utrapione ciało, własną zaniedbaną historię. Peregrynacje po mieście można by zatem też rozumieć jak rozliczenie się ze sobą. Nazywanie czegoś dosadnego słowami doraźnymi, spoza alfabetu i rutyny ortograficzno-interpunkcyjnej, niesie ciężar samosądu, niemalże masochizmu związanego z nękającym poczuciem winy i jakąś wieloaspektową niemożnością wybaczenia sobie.

każdej nocy otwieram się coraz boleśniej. z winy własnej i niezawinionej twojej przeganiam cię w biegu nad źle rozłożonym pigmentem nienarodzonego dziecka. – nienawidzę się w sobie – a tak się nie dogania - to zaledwie wynoszenie się z północzoch w mniej pożyteczny czas przyszły.

(horoskopy są omyłne a sny niepostrzeżenie wróżą)

Nie ma tu miejsca na piękne słowa, wymyślne górnolotne definiowanie. Wiersze-epifanie atakują ładunkiem emocji, nazywają nerwicowym językiem („językoznawczo wyczerpującym dłonie”), desygnują na własny sposób.

nie powiem zajęcysz się we mnie. skoro na tylnym siedzeniu w cudzym samochodzie jesteś

taki akuratywny w doborze języka – miodek. bralczyk. nie strzęp się. nie powiem zacudzołóż się we mnie [...]

(podróż językoznawcza wyczerpująca dłonie)

Już pisanie nazw własnych małą literą daje klucz do świata, który objawi się czytelnikowi po wejściu do miasta takiego, jak każde inne. Ma się poczucie, że Żywicka-Luckner daje prawo szczęścia ludziom, którzy sami siebie zaniedbali lub skrzywdzili, popadli w alkoholizm i inne uzależnienia, którzy sami siebie nie chcą nazywać wielką literą, którzy degradują tym samym własną wartość. Aspekt humanitaryzmu jest istotnym wyznacznikiem tej liryki. Autorka unifikuje się z zafiksowanymi utracuszami, pokrzywdzonymi, odepchniętymi, którzy „sypiają pod słońce” i „gdy nikt nie widzi próbują swoje imię”, których „ciało przyszłe do swojej przeszłości” nie może się wyzwolić z etykietowania.

jak miała czelność w czas czerwonej trawy wlec za sobą swój cień. – nie

liziała jej noc, nie gwałcił sen. – była z tych obcych w obleczonej pościeli.

należało się jej – uwierzyć że dzień się wyrodzi. – podajcie jej

gwoździe – niech je przybije do desek podłogi. – po co dziwce krzyk.

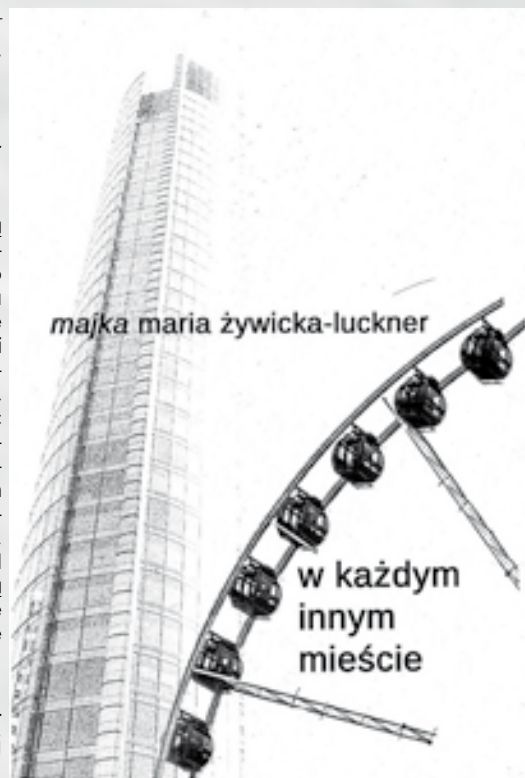
(poetycki news w słowie na niedzielę)

Nic dziwnego, że czytając ten tomik, odnosi się wrażenie rwania słów, zdań, zatykania się kanałów słuchowych i wzrokowych. Czyta się je emocjami, stanami ducha, sobą wewnętrznym. Te wiersze niesformne i niewdzięcznie wchodzą w słuchacza jak kij w mrowisko, i już nie można się od nich opędzić. Wiadomo, że to plaga natrętna, ale też pożyteczna. Jeśli tak – warto wejść w to miasto – częściowo też warszawskie (park skaryszewki, palotyni z sierakowskiego, nowy świat, ulica saska, wał miedzeszyński) i zwiedzić je w sobie, bo jak podkreśla poetka – „dziejemy się w sobie i odchodzimy po swojemu”. Kuszeni przez własne iluzje, „oddychamy poprzecznym powietrzem”.

[...] – nasz belgijski owczarek zagryzł się w od środka ryglowanych drzwiach. – od tej pory nie podnoszę tylnej nogi za wysoko i ciągle nie wiem które to miasto się odszczekuje.

(tylko próbuję nie być psem)

I jeszcze ważny jest w tym zbiorze dualizm, który daje przestrzeń dla psychomachii, dla ciągłej walki jasnego z ciemnym, światła z cieniem.



[...] - jesus plecami do nieba – kobieta na klęczkach

- maria – chyba była to maria – dokreca mu śruby”

(na solidarności w każdym innym mieście w każdy inny wtorek)

Nie jest to poezja prowokacji i horroru, nie jest to również poezja wydziwiania i manieryzmu. To raczej osobliwa poezja ratunku, rozliczenia, oddania światu głębokiego zafrasowania, też tego erotycznego. Wybieka z tych lirycznych powiastek nostalgia i rozdrażnienie, czystość i brud, pragnienie i zawstydzenie, daje się odczuć przekraczanie siebie – najczulszej granicy ocalającej.

karmisz mnie brudnymi truskawkami – w blasku flesza masz szczurze oczy. rosna z niepamięci, wędrują w niepamięć. – tej nocy nikt nie jest senny. – jak w niemym letnim kinie wpadasz we mnie dojrzałe.

- jak dwa wędrowne szczury ważymy smak mieszkania w sobie.
(nauka latania w parku skaryszewskim)

Jednak wiedz, że w każdym innym mieście „jesteś w swojej ranie”, w głębokości własnej płytkości, w dręczących winach i ciasnych barach – gdzie „dosiadujesz się do na długo rozerwanym słów” – krótko mówiąc: jesteś „u siebie”.

Majka Maria Żywicka-Luckner, w każdym innym mieście, Tanowo 2022

AGNIESZKA TOMCZYSZYN-HARASYMOWICZ

Metafizyka trwania

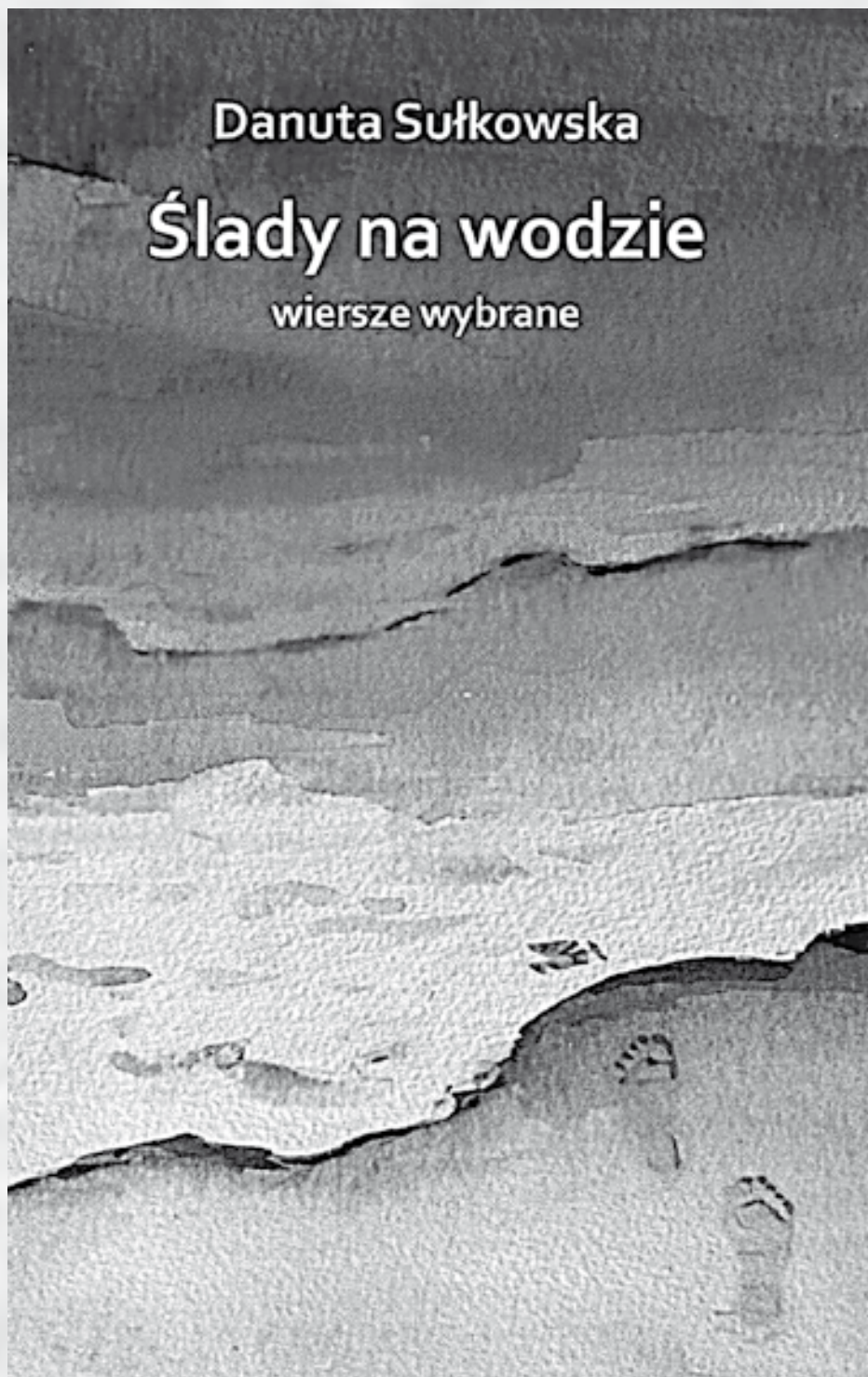
Poezja Danuty Sułkowskiej ma w sobie coś amorficznego, coś niezrozumiałego, a przez to fascynującego, coś trudnego do uchwycenia i zakwalifikowania, przy czym poezja ta w sposób głęboki i ściśle powiązany z naturą rzeczy opisuje kondycję naszego współczesnego człowieczeństwa wobec odwiecznej potęgi absolutu.

To poezja łamiętków, intelektualnych wyzwani, piękna ukrytego w zwyczajności, a jednocześnie poezja silnie zaburzająca nasz wewnętrzny błogostan, nasze warstwy zabezpieczeń i otulin przed brutalnością tego świata. Metaforyka Sułkowskiej zmusza do refleksji, do zastanowienia się, do poddania w wątpliwość stanu uciszenia naszych wnętrz i wyzwala burzę w duszach, w sercach i w świadomości. To ważna poezja, nie pozostawiająca nikogo obojętnym. Stanowiąca wyzwanie dla czytelnika, przy czym nagradzająca go głębią przeżycia, ekwilibrystyką namysłu i zapamiętania ważnych słów, kroczących za ważnymi emocjami. Sułkowska wiąże ze sobą płynność świata jaki nas otacza ze stanem naszych sumień i rozważa je w łączności z dramatem upływającego stale czasu, który u Sułkowskiej przyjmuje postać nurtu rzeki, szumu padających kropli deszczu, czy innych wysoce malowniczych przejawów zamyślenia nad tym, że czas stale przybliża nas ku ostateczności.

Bardzo lubię wiersze Danuty Sułkowskiej. Rzekłbym od pierwszego spotkania z nimi. Ich metafizyczna zaczepność powoduje chęć powtórnej lektury, lektury nadobowiązkowej, a jednocześnie magnetycznie wskazanej dla odkrycia podskórnych znaczeń, ukrytych sensów oraz myśli pomiędzy wersami, jak dla przykładu w wierszu rozpoczynającym ciekawy tom „Ślady na wodzie” zatytułowanym „**Mapa rzeki**”

moja rzeka nie pozwala się opisać
wczoraj odkryłam wir na miejscu
przedwczorajszej mielizny
naniósłm zmiany na mapie
tak zmiany bo było ich więcej
naprzeciw starego młyna nurt zmienił
kierunek
olszyna runęła w przesmyk między wy-
spą a brzegiem
w trzcinach przed piaszczystą łachą
powstały dwa gniazda perkozów
kacze trudno zliczyć
nie można przejść w bród
w miejscu zawsze bezpiecznym i pew-
nym
na zakręcie z nawisu skalnego odpadły
kamienie
odbija się od nich prawe ramię rzeki
trochę przeskakuje
reszta wypłukuje jaz pod grupą sosen

woda
codziennie opływa mnie inaczej
zmiany nurtu kształt i barwy fali
szkicuję tylko
dokładność w malowaniu ciała rzeki
nie jest na razie dla mojej ręki moż-
liwa



są jeszcze szepty szumy
śpiew pomruki a także huk
zawsze groźny na szczęście nieczęsty
rozpoznałam zaledwie kilka liter alfa-
betu
mowy rzeki
jeśli się nie mylę

Nota bene w zasadzie cała poezja Danuty Sułkowskiej kojarzy mi się z pewną symboliczną rzeką, z nurtem w sensie metafizycznym, czy choćby w sensie drogi, a może i upływającego czasu i (tutaj) naszej, ludzkiej z tymi kategoriami relacji. Całość bowiem naszego doświadczenia

to położenie (zajęcie swojego stanowiska) wobec wszechświata, a owa „płynność” materii i wymiarów to jakby nasza tragedia wobec dramatu istnienia. Wszystko przemija, a rolą poezji jest to zobrazować, zamknąć w ramy słowa, dzieląc się z czytelnikiem, a jednocześnie dzieląc i jego i własne obawy co do: losu, przeznaczenia, determinacji i skazania na ... wieczność?

Poezja to misja, to katharsis, zbawienie wręcz i poszukiwanie wartości największej. To wszystko u Sułkowskiej krąży gdzieś między słowami, między wierszami, między znaczeniami, z tym wszystkim się tutaj konfrontujemy, a jest to spotkanie ożywcze, rzeźkie, zapładniające. Weźmy wiersz „**Pada**”

Pada
a rzeka myśli że to tylko dla niej
te muskania i chłostania z góry
do dreszczu do pulsowania dygotania
do fali drobnej jak łuska ryby i do hu-
czącej
groźnie skręconej w spiralne wiry wę-
żowo lejowato
na wskroś od grzbietu w pianach do
dna zmaconego

Pada
a rzeka myśli że to tylko dla niej
te miliardy kropeł wnikałych z góry
w jej zachłanne wnętrze
i te strumienie wezbrane spieszące z
szumem
tęsknoty do niej
zawsze do niej
Pada
zieleń coraz bujniejsza wszędożyłska
zuchwała
drzewa zrzucają konary zboża się kładą
z przepicia
na podwórku sześćioletni Jasiak próbuje
nie spaść ze starej
opony i wygrać zawody w pływaniu ze
stadem kaczek
Pada
a rzeka myśli że to wszystko dla niej

Ponownie mamy tu ów wciągający
motyw rzeki, symbol naszego życia w upły-
waniu. Rzeka jest fascynująca. Magne-
tyczna. Można siedzieć i patrzeć w jej nurt
godzinami, aby pisać wiersze. Twoja rzeka
i moja rzeka, nasza rzeka, rzeka istnienia.
Nasze rzeki są innymi rzekami zapewne
niż rzeka Danuty Sułkowskiej, choć źródła
i natura ich systematyki są z pewnością
takie same, ale ich inność polega na pry-
watności doświadczeń i w kwintesencji
osobności choćby wizji twórczych, ale
nasza wspólnota opiera się na stawianiu
tożsamy pytań, na tożsame wątpliwości,
lęki, obawy czy ekspresję jako nieodrodne
elementy natury człowieka filozoficznego,
który ma odwagę pytać.

Jednak Sułkowska to nie tylko filozo-
fia. To poezja w pełnym wymiarze. Poezja
poruszająca wiele tematów, spraw, dusz,
sumień i egzystencji. Poezja szerokokątna
jak obiektyw fotograficzny, ale nawet
bardziej do poetki chyba pasuje porów-
nanie impresjonistyczne z dziedziny malar-
stwa. W wierszu „Po powodzi” zapytamy
– czym jest ta powódź? Ja wciąż o to
pytam.

teraz wystarczy tylko posprzątać
opłakać i pogrzebać
zasiać posadzić wybudować
zastąpić
odzyskać jak najwięcej siebie
wznieść tamy

ślady wielkiej wody
przetwarzają pod warstwami nowych
zdarzeń
mówić się będzie

to było przed powodzią
może już nigdy
nie wejdiesz do strumienia

stary dom wypięknieje we wspomnie-
niach
wzniesiesz nowy za wysokim murem
albo staniesz się ptakiem
i tylko czasem pochwycisz kroplę
wody
z bezimiennej rzeki

Czy – dajmy na to – moja powódź
wydarzyła się wtedy to, a wtedy? Dajmy
na to... Potem przechodzimy do krainy
wspomnień, a te rządzą się własnymi pra-
wami. Mitologizują. Nivelowują wspomnienia
złe, wymazując je z czasem, a pielęgnują
te ciepłe, dobre, piękne wspomnienia, bo
człowiek jest istotą dobrą, z natury – zło
wypiera podświadomie, a ulega mu, bo
ono... jakże kusicielsko kusi, począwszy od
jabłka po spożyciu Ewy, Adam przecież
potem został sam, sam się zatem w kon-
sekwencji później rodzi i sam umiera i tak
się w skrócie nasz ludzki los metaforycznie
przedstawia. Można w to nie wierzyć, tylko
logicznie sprawę ujmując, to w co wie-
rzyć? We współczesne zezwierzęcenie nie
obrażając oczywiście natury i bytu zwie-
rząt, które wbrew pozorom mają stabilną
i mądrą hierarchię wartości i nie czynią zła
dla przyjemności, a jedynie dla przetrwania
gatunków.

Człowiek poszedł o wiele dalej w perfi-
dii, wyrafinowaniu, w ewolucji odmian zła.
Stąd dziś taka potrzeba dobra, taka za-
nim tęsknota, taka frustracja jego elimina-
cją, brakiem, czy wręcz jego defraudacją,
której właśnie poezja usiłuje się dziś prze-
ciwstawić, poezja jako kierunek, jako nurt,
jako zjawisko, a nasza, znakomita poetka
Nowosądecka, poetka Krakowska i po-
 prostu nasza – Danuta Sułkowska świet-
nie się wpisuje w ten nurt współczesnej
poezji polskiej usiłującej ocalić wartości
i busolę sensu wobec globalnego zidio-
cenia całych mas społecznych, wobec
ich ośmieszenia, zamrożeniu umysłów i my-
ślenia, wobec zatrucia ciała słowa i dusz
wszelakich, wobec upadku duchowości,
na korzyść materii, uciech i lekkomyślności
w tych wszystkich tęczowych dziś odsto-
nach hedonizmu.

Być może daleko zawędrowałem
w tych moich dywagacjach związanych
z poezją Danuty Sułkowskiej, acz jest to
poezja głęboko humanitarna, poezja
niezgody na dojmującą współczesność,
wreszcie poezja liryczna mocno wskazu-
jąca na źródła naszego ocalenia z tego
globalnego chaosu nam fundowanego
na co dzień. Słowa padają ważne, istotne,
wytrawnie skonstruowane, po mistrzowsku
zespolone z metaforą, z refleksją, z dro-
gowskazem dla współczesnych. Świetnie
się czyta Danutę Sułkowską, gdyż wszyst-
kie wiersze poruszają jakąś strunę w nas,
dają do myślenia, przeżycia i wnikięcia
w emocje niezbędne do odkrycia siebie
i świata.

Zatem na koniec, jako pośredni dowód
fascynacji i refleksji przeczytajmy na przykład
„Prywatną arytmetykę”

Liczy się tylko ten krok który teraz

robię
i następny i jeszcze W sumie siedem
od okna
do stołu z komputerem Liczy się też
przedświt
dosyć szary bez niebieskawych fal
śniegu
choć styczeń Liczy się podobnie jak
kawa
w kubku z fragmentem obrazu Vin-
centa

One są wykonywane on dostrzegany
ona pachnie kawą i smakuje kawowo

I liczy się kalendarz z którego zry-
wam
wczorajszy dzień Czuję pod palcami
zapowiedź kilkuset nowych dni Na-
dzieję
na podobne ranki a po nich południa
i zmierzchy
Ma też znaczenie oderwana właśnie
kartka
Dobrze się pamięta oznaczony na niej
dzień
Można przywołać jakieś rozmowy prze-
prowadzone
spotkania odbyte teksty przeczytane
widoki
obserwowane albo tylko widziane prze-
lotnie
Troszeczkę się tego jeszcze doświadcza
Odrobinę odczuwa sens nastroj
przebieg kształty i kolory

Liczą się też dawniejsze a także bardzo
odległe
prastare nawet sprawy jeśli pozostały
obrazem
drgnieniem emocji w pamięci
Dzieją się jeszcze czasem
Trochę nieostro mgliście niedokładnie
czasem wysoce fałszywie
Niekóre nabrały blasku i kolorów
inne pociemniały albo zmieniły
kształty
porządek elementów a nawet ich
rangę
Ale liczą się
Wracają

Liczą się i wracają prastare sprawy i ...
nowy dzień. Powinność poety XXI wieku.
Ocalić prastarość i nowy dzień. Nowy świat
oparty na: miłości, wierze i nadziei, na ca-
łej ludzkości, na sumieniu, na konsekwencji,
misji i idei, na prastarych nostalgjach i pra-
starych świętościach ku świętościom nowym
– dopiero przed nami, a rzeka niech płynie
dalej, niech przyciąga nas ku sobie i niech
zatrważy nasze serca ... ku poezji.

ANDRZEJ WALTER

Tomasz Kostyła

DEDYKACJE**Wieczór w Paryżu**

św. p. Jackowi Bierezinowi
poeście wędrownemu i samotnemu

To wydarzyło się naprawdę
ja, Ty, ktoś jeszcze
szliśmy wzdłuż Sekwany
oddychając powietrzem znad rzeki
była wiosna, był czerwiec
przybyliśmy do świata, który umierał dostojnie
broniąc się dyskretnie jeszcze
murami Notre Dame

Ale wtedy tego nie widzieliśmy
wisało czarne niebo nad nami
nie wróżąc niczego złego
przeciwnie – ludzie uśmiechali się wołając
nie widać było po nich
że są zmęczeni miastem pełnym świateł
tak się wówczas wydawało

Wieczór w Paryżu
zatrzymał się na dłużej
w kawiarniach pełnych filozofów
i muszkietierów ze Wschodniej Europy
byliśmy wolni
mieliśmy czas
pieniądze nie stawiały oporu przy ich wydawaniu

Pomyślałem wtedy
że są takie miejsca
gdzie warto nie martwić się o jutro
bo i tak kelner będzie się uśmiechał
podając dostojnie tanie wino

Pamiętam też o tym
że chciałem bardzo napisać list
zostawić ślad
z odległego kraju Eugene Atgeta
z miasta, które dzisiaj oglądam na jego fotografiach

Dowiedziałem się na koniec
iż Paryż jesienią jest jeszcze piękniejszy
i warto powracać
mając nieokreślony cel podróży
poprzez kamienne miasto
długie ulice, niebezpieczne zaułki
w niemym zachwycie nad architekturą
i cichą muzyką Erika Satie



Portret poety i fotografa artysty wykonał Zbyszek Kresowaty

Ulica Brzozowa, ulica Ogrodowa

Adamowi Ziemianinowi
poeście wędrownemu

Z ulicy Brzozowej wyruszyłem rankiem
i chociaż czułem, że tu nie powrócę
to bywam i tak codziennie
tak naprawdę i trochę na niby
bo przed sobą jeszcze mam
tą niezwykłą ulicę Ogrodową
która choć odległa od Brzozowej
ciągle woła mnie w tę stronę
do siebie – a ja rozważam swoje rozterki
iść do przodu czy zawracać?

Zawsze stoję gdzieś pośrodku
dwóch zapamiętanych ulic
na których jeszcze sporo pozostało
jesień w górach i wiosna w ogrodach
coś jak smutek i radość w jednej chwili
trzyma na zmianę w niewoli pamięci
tylko czas rzeźbi bruzdy głębokie
na zamysłonej twarzy asfaltu

W kilku słowach moich listów
opiszę kiedyś to wszystko
jak było dawno temu, czyli wczoraj
kiedy marzyłem o tym by zamieszkać
jesienną wiosną pośród brzoź w ogrodach

Małgorzata Dorna
(Wendrychowska)

O TYM, CO JEST CISZĄ... PÓŻNOJESIENNE SPACERY W MODERNISTYCZNYCH PEJZAŻACH MARKA NASZCZAKA.

SZTUKA

„Jako chłopak przyprowadziłem do domu dość paskudnego dziada, aby go namalować. Matka moja nie była zachwycona. Najpierw dziad najadł się do syta. Zrobiłem wtedy kilka szkiców. Potem zaczął przysypiać. Ponieważ zmieniał pozę, więc go lekko szturchałem. Wyraźnie się roztościł, wstał i toczył się w kierunku drzwi.

Matka powiedziała: Aaa..., niech idzie!

Dziad coś mamrotał, wyszedł trzaskając dziwami. Jak się później okazało wysiakał się pod drzwiami, pewnie z zemsty, a ja klnąc musiałem to posprzątać. Matka kategorycznie zabroniła mi przyprowadzać takich modeli.

Wspomnienie dziada zmusza mnie do przestania pachnących różami pozdrowień.”

(Zamiast motto – fragment listu malarza do autorki tekstu, koniec listopada 2022)

Pisanie o sztuce bywa doskonałą zabawą (szczególnie w pewnym wieku, gdy inne zabawy wzbronione!), bywa też niekiedy zabawnym i raczej bezpiecznym, nie wolnym od groteski, radosnym (niezależnie od tak zwanych okoliczności losowych) doświadczeniem. Prawidłowość jest nader wyrazista: im większe zadęcie krytyka – tym większa zabawa artysty. Wiadomo, że świadomi swych poczynań przedstawiciele niegdysiejszej Bohemy, przekorni i ironiczni z natury – nie lubią pomnikowo patetycznych tekstów. Co prawda pisanie bywa też dramatycznym wyborem, którego źródeł próżno by szukać w sferze racjonalnych dociekań. Istnieje jednak takie przeświadczenie, że ten kto analizuje i komentuje prace innych – pisze przede wszystkim o sobie. W efekcie megalomania krytyka rozbija się o mur megalomanii artysty.

Tak, więc dramaturgię mojego spotkania z twórczością krakowskiego malarza można logicznie wytłumaczyć. Oto oboje, oboje „dobrze już” po sześćdziesiątce – i artysta i krytyk, mający głębokie poczucie własnej wartości – wchodzimy nieprzygotowani w teatralną scenę listopada. Któż bowiem może zaakceptować jesień życia i cieszyć się ową jesienią jak wiosną?

Pejzaże wewnętrzne, pędzla Marka Naszczaka – utrzymane w złocistych czerwieniach, w żółcieniach i brązach, w złamanych, nieostrych czerniach, w szarościach nasączonych światłem i krystalicznym błękitem, aż po gamę złotych, niekiedy połyskliwych, kiedy indziej matowych bieli – emanują spokojem i powściągliwą ciszą. A przecież nie są to pejzaże bezładne, pozbawione śladu obecności człowieka, pejzaże opustoszałe, pustynne, jałowe. Moje pejzaże wewnętrzne naznaczone już jesienią szarugą i deszczem, z migoczącym światłem w tunelu, nadal tylko pozornie uporządkowane, naznaczone piętnem buntu, niezgody, dojmującej tęsknoty i żalu. Przyczyny nad wyraz realne: kilkanaście dni temu moja mama, sopocka malarka kwiatów, radosnych i witrażowo świetlistych – odeszła w głąb Lunatycznych Ogrodów. Marek zmaga się z ciężką chorobą ukochanej żony, z tragedią którą przeczuwał być wcześniej, rysując tajemniczą, mroczną, zakapturzoną postać, jaka w końcu rozwiła się, rozplynęła we wnętrzu Jego prywatnego sanktuarium, pracowni. We wnętrzu do niedawna przyjaznym, bezpiecznym, teraz budzącym niepokój. Tamtej nocy, jeszcze



Dolina lewitacji

wrześniowej, pogodnej w ciągu kilku godzin powstała grafika „Zwiastun smutnej nowiny”. Pracę (nazwaną roboczno „Ten”) uzupełniał krótki, oszczędny komentarz artysty: „Wiedziałem, że przynosi fatalną nowinę. (...) Postanowiłem go unieruchomić, zatrzymać rysując w pośpiechu na kartonie. Jednak złe wiadomości były szybkie...”

Podając dyskurs na temat sztuki – nie sposób zatem oddzielić matową taflę milczenia osobistych doświadczeń rozmówców. Ten rys biograficzny, zapisany w wypowiedzi krytyka i usprawiedliwiony symboliką onirycznych wizji malarza, daleki (jak mi nie mam od taniego ekshibicjonizmu) pozwoli popatrzyć z innej, bardziej uniwersalnej perspektywy na kompozycje artysty związanego z Krakowem, na owe domyślne do końca struktury, epatujące zarówno doskonałością warsztatu jak i intuicyjnym, emocjonalnym odbiorem własnego, wewnętrznego świata. Kompozycje zda się dopracowane po najdrobniejszy detal, do ostatka, niosące w sobie jednak margines nieświadomości i przeczuć, w istocie – nieprzewidywalne. Piszę „nieprzewidywalne” bowiem istnieją malarze, z uporem powtarzający samych siebie, cytujący własne dzieła, artyści których „nowych” wystaw nie trzeba odwiedzać by wiedzieć co napisać i jak. Marek oczywiście do ich grona nie należy!

W Jego nieprzewidywalnych kompozycjach, zaskakujących odbiorcę zarówno tematyką jak i warsztatem – dalekim echem powraca modernistyczny dekadentyzm, metaforyka sennego marzenia, estetyka symbolizmu i ekspresjonizmu, który wcale nie musi oznaczać (jak przywykło się sądzić, interpretując w sposób konwencjonalny dzieła mistrzów epoki fin de siècle)

karykaturalnych przerysowań, dynamiki nieokietzanego ruchu i groteski.

Pozwalam sobie przede spojrzeć na utrwalone w ramach obrazów wizje i przeczucia, na kadry niepojętych, profetycznych snów, niosące w sobie element wiecznej Tajemnicy, intuicyjnego dotyknięcia spraw ważkich, by nie powiedzieć „ostatecznych”. Pozwalam sobie spojrzeć z odmiennej, bowiem już listopadowej, późnojesiennej perspektywy. A owa „jesień”, pojmowana tutaj metaforycznie i dosłownie – zwiastuje poszukiwanie czasu minionego, czasu którego doświadczanie i analiza, jak w pamiętnej powieści Marcela Prousta – kładzie się gęstym cieniem na naszej rzeczywistości, na owym jakże utrudnym i nietwałym „tu i teraz”, spod powierzchni którego wyłania się (w nagłych błyskach, prześwitach zadrapań i piękności) głębia podświadomości, podświadomych lęków, obsesji, i owej ustawicznej tęsknoty do spełnienia. Spełnienia się w życiu i w sztuce.

Jeszcze w trzeciej dekadzie września Marek Naszczak, w odpowiedzi na mój krótki komentarz do Jego obrazów, publikowany na jednym z portali internetowych, napisał: „Chciałbym Panią do czegoś (dobrego) namówić, ponieważ oboje interesujemy się sprawami ludzkiej jaźni, Ducha. Temat bardzo trudny i zagmatwany. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że każde z nas te zainteresowania realizuje w inny sposób. Parę lat temu studiowałem dzieła szwajcarskiego psychologa i psychiatry C. G. Junga. (...) Jego genialna intuicja, ogromna wiedza wzbudziły mój zachwyt. W 1989 roku wydano w Polsce książkę, która stała się dla mnie dziełem wielkiej wagi. Tytuł: „Podróż na Wschód”. Zakładam, że Pani tego zbioru

nie czytała. Oczywiście mogę się mylić. (...) Jest w nim rewelacyjny komentarz Junga do chińskiego dzieła „Sekret Złotego Kwiatu”. (...) Jung przytacza opis sporządzony przez Edwarda Maitlanda, któremu udało się dotrzeć do Absolutu i opisać to, co zobaczył. Doświadczenie zdumiewające! W ogóle Jung to fenomenalna psychologia głębi.”

Zabrałam się zatem za samotne penetrowanie „Podróży na Wschód”, świadoma jak bardzo to tereny odległe od mojej spontanicznej fascynacji światem, niepokromionej radości życia (zakłócanej zdarzeniami, których każdy z nas doświadcza wbrew sobie i które uznaje się za tragiczne zrzędzenia losu). Tereny w istocie (dla tak powierzchownej i niecierplivej osoby jak pisząca te słowa) niedostępne, naznaczone urodą mrocznych rozważań o podświadomości, popędach, o owych niejasnych przecuciach istnienia niezgłębionej, ciemnej, skrywanej głęboko Tajemnicy.

Z całego skomplikowanego wywodu, zamieszczonego w rozdziale, o bardzo obiecującym tytule „Spełnienie” zapamiętałam tylko jedno, błyskotliwe zdanie, poświęcone „nieświadomości zbiorowej”, owym archetypom i symbolom, podświadomie wypieranym i stanowiącym swoisty „balast” dla naszej psyche, która „jest nie tylko w nas, ale także my w niej egzystujemy”. Zdanie to, zapamiętane z tekstu Junga, przyswojone dzięki owej dziwaczności stylu i konotacjom bliskim absurdowi, grotesce - brzmi: „Prawdopodobnie istnieją też takie ryby, które wierzą, że mieszcją w sobie morze.” W świecie archetypów (do których chętnie odwołują się współcześni wróżbici) ryba zanurzona w oceanie symbolizuje coś niewielkiego, drobnego, pozornie bez znaczenia. Ryba oznacza „płynność, absorpcyjność, przyzwalanie”², a zodiakalna ryba – coś, co posiada szczególnie delikatne, kruche, wrażliwe „ego”. Ma zatem prawo mniemać, że miesi w sobie ocean, gdyż nie oddziela „ego” od Absolutu, egzystuje we wnętrzu Absolutu tak jak On (być może Jego cząstka, isierka, drobina) egzystuje w niej.

Nie jestem pewna, w jakim mierze (i czy w ogóle!) bohater mojego tekstu podziela owo mistyczne mniemanie, ale w jego pracach malarskich, w jego rysunkach i szkicach istnieją takie fragmenty, które wydają się rozpytywać, zatracać we mgle, niknąć w poświacie niedomówień i mrocznych, dziwacznych przeczuć. A ja, jako obecna adresatka owych, zapisanych na płótnie i kartonach monologów, ja która nigdy nie opuszczałam miejsc, w których przyszło mi żyć, wierząc że wiedza rozdana jest równomiernie po całej kuli ziemskiej? Ja, która szukałam śladów Absolutu w kaszubskich sosnowych lasach i nad brzegami głębokich, polodowcowych jezior, gdzie w glinianej, pionowej skarpie drążą swe gniazda jaskółki? Ja niewątpliwie należę do takich „ryb”. Nie szukam kosmosu na zewnątrz, unikam dalekich podróży. Szukam kosmosu w sobie. Im dłużej patrzę na obrazy Marka, tym bardziej jestem przekonana, że on również tak właśnie czyni, tyle że nie deklaruje tego otwarcie, gdyż wydaje się unikać rozgłosu, promowania własnej sztuki, wywiadów. Śmiem mniemać i jest to (jak mawiają fatalnym stylem współcześni) „mniemanie graniczące z pewnością”, że w ciągu ostatnich lat Marek nie opuszczał swojego atelier, radując się przede wszystkim pasją tworzenia i ciesząc się wyzwaniem jakie stawia przed malaczem poszukiwanie nowych i zwykle wymagających, niełatwych – środków wyrazu.

Malując pejzaże wewnętrzne spogląda z uwagą w głąb siebie, by utrwalić na płótnie swoje i tylko swoje stany psychiczne,

dociekania, analizy. A trzeba przyznać, że Marek Naszczak ma dokąd lub może – w jaką wspaniałą, mistyczną otchłań spoglądać: studia na Krakowskiej ASP, fascynacje modernistyczną tradycją miasta, spotkania z artystami epok minionych, podejmowanie dialogu z przeszłością ponad głowami odbiorców, kopiowanie i analiza oryginałów dzieł, zgromadzonych w renomowanych galeriach i muzeach, wędrówki u podnóża Montmartre, samotne penetrowanie Paryża, podróże do Włoch, pamiętne dwa tygodnie w willi w Porza nad Lugano, wreszcie – własne poszukiwania w miejscach osobnych, zagłębianie się w istotę filozofii Wschodu, studiowanie okultyzmu, psychologii głębi, dostrzeganie znaków i symboli w sobie tylko wiadomych zdarzeniach.

Być może również dlatego prace Marka są tak intensywne w wyrazie, rozpoznawalne, naznaczone piętnem indywidualnych, zwykle mocnych, „ciemnych”, „typowo męskich” (czyli pesymistycznych) przeżyć. Podobno wszystkie prawdy o świecie miesimy w sobie i nie jest to moje odkrycie. Wiedział o tym zapewne Sokrates, gdy spacerując ulicami Aten, zadawał przypadkowym przechodniom pytania. Współczesny człowiek nie umie stawiać sobie samemu pytań, nie patrzy w głąb siebie (zapewne wierzy, że nie bardzo ma w co i po co spoglądać) i zdaje się nie doceniać lub nie dostrzegać nawet faktu istnienia owej wewnętrznej, nieświadomianej na co dzień - głębi. W konsekwencji neguje obecność owej cząstki Absolutu, która jest w nim i która łączy go z Duchem Wszechświata lub (jak pisała Maria Janion) z „Uniwersalnym Wszechbytem”.

Współczesny człowiek nie dostrzega wyroków Losu, zdarzenia traktuje jak rozsypane przypadkowo szkiełka, zapewne - nie jak szkiełka ułożone w rozmaite konfiguracje, zatrzymane w kalejdoskopie. A jednak owe „wyroki Losu” tworzą strukturę, szlachetną, klarowną i piękną, tak jak struktura kryształu, strukturę widoczną na płótnie. Pisze o tym Marek w jednym z listów: „Kryształ i jego symboliczne znaczenie jest w obrazie „Uczta Trymalchiona II.” Jest punktem zbiegu perspektyw, do którego odzysko zmierza. To tamten świat w wielu odmianach. Na ten kryształ wskazuje pustelnik, on już wie, co jest ważne - lewa strona obrazu. Głosi kazanie z kolumny słupnik, ale nikt go nie słucha, zblazowane i znudzone towarzystwo chce się bawić. Na pierwszym planie po prawej stronie obrazu tajemnicza, zakapturzona postać rozmawia z Petroniuszem (jest to mój szwajcarski kolega). Powyżej postaci z lustrem odbijającym najważniejsze światło, nieco w głębi, to jestem ja z pewną panią. Nadpalona księża rzymska, to symbol przemijania. W ogóle przemijanie to moja prześladowcza mania. O tym zjawisku mówi wiele moich obrazów. Czasem dosłownie jak „Dezintegracja martwej natury” (gwasz) lub aluzyjnie.”

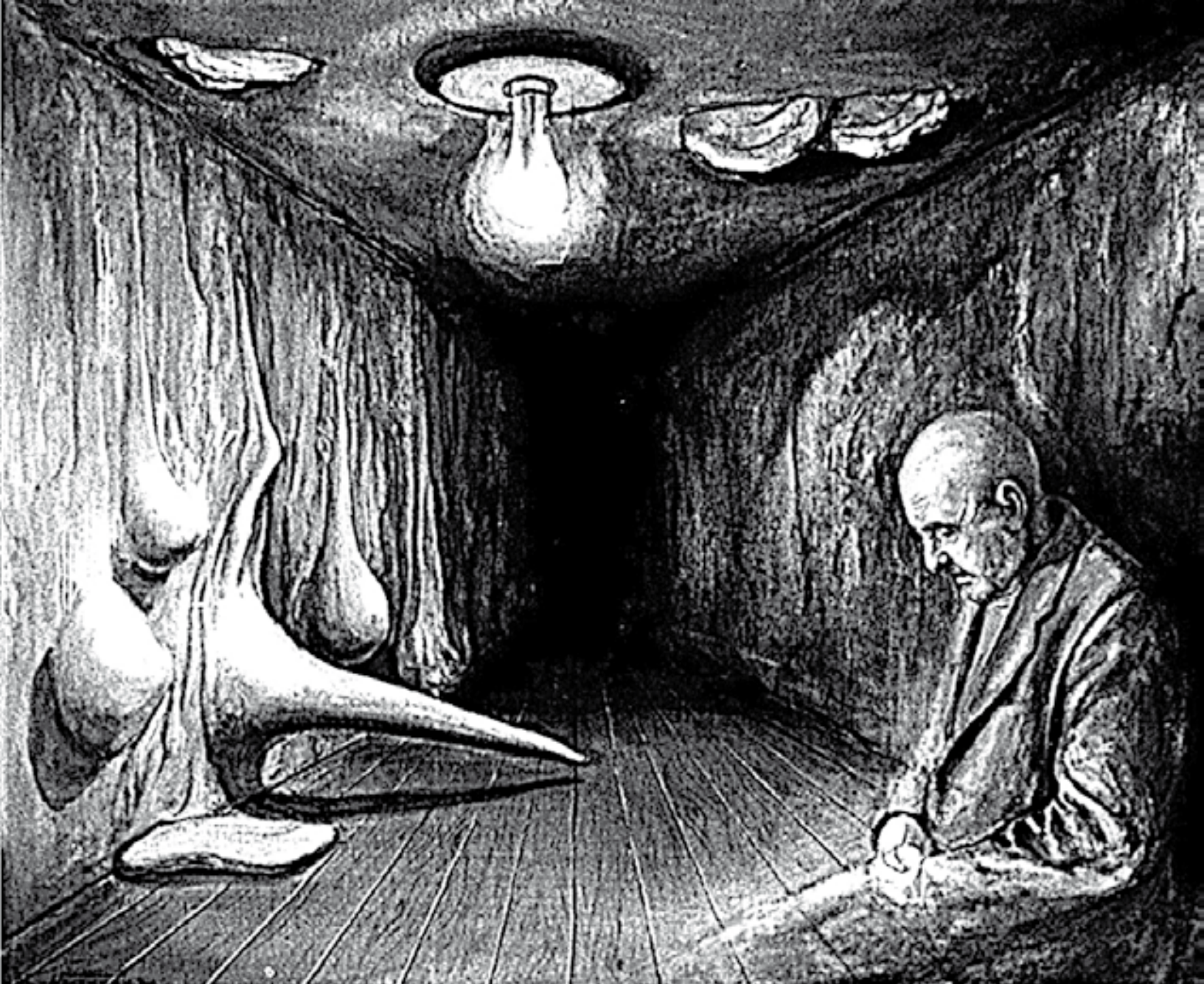
Zanim nastąpił listopad, z ową złocistą melancholią przemijania i dżdżystym niespełnieniem (na śmierć i chorobę jest zawsze zbyt wcześnie, a nasze zabieganie urywa się zwykle w pół drogi) – pisałam bardzo konwencjonalnie do nieznanego sobie jeszcze wówczas, poważnego wiekiem i doświadczeniem absolwenta Krakowskiej ASP, z którym zdarzyło mi się toczyć spory na pewnym portalu społecznościowym. Oj oberwało mi się wówczas nielicho! Opublikowałam na publicznym profilu, „do wiadomości publicznej” jakiś swój obraz, nie pomna że w gronie znajomych mam niemal samych malarzy. Marek skwitował lapidarnie: „Znam bardziej powalające próby”. Niewątpliwie bywają bardziej „powalające”. Wystarczy zajrzeć do

Internetu. Zaglądam i już nie ogłaszam publicznie swych prób. Był to jednak dopiero początek słonecznego września 2022, a ja poczułam się tą uwagą krakowskiego artysty - mocno dotknięta. Zaczęłam się nawet tłumaczyć (nader niezręcznie), że taki to rodzaj autoterapii, forma relaksu, wyciszenia. Wiedziałam przecież, że krytyk, który publikuje swe prace malarskie - wystawia się (jak mawiają Anglicy, używając określenia „vulnerable”) na ciosy.

Oto fragment listu, który wówczas (dla podratowania reputacji, pewna swego literackiego warsztatu) napisałam i który stał się zaczątkiem naszych rozmów o życiu i sztuce: Oglądam Pana prace z zachwytem i (jakkolwiek by to nie brzmiało pompatycznie, a po Pana uwagach - niewiarygodnie, nieszczerze) – oglądałam Pana prace w uniesieniu. Romantyzm mrocznej Północy zderzony z intensywnym, połyskliwym światłem metafizycznego obrazowania baroku, Tajemnica wyraziście obecnej (wyczuwalnej zmysłowo) materii. Materii lub może raczej substancji, istoty niezależnego bytu, któremu nadaje Pan walor duchowości, utajonego, wymykającego się wszelkim regułom - życia. Interesują Pana „czysto malarskie”, warsztatowe problemy. Treść, jak Pan pisze - pełni tu rolę drugorzędą. Mam jednak odmienne przekonanie. W Pana pracach (dotykających symbolizmu, surrealizmu, metaforyki snu) fascynuje niezwykła spójność formy i treści.

Ta spójność narzuca umiar, wewnętrzną logikę, strukturę każdej kompozycji. Pozwala na potraktowanie konkretnego przedmiotu jako pretekstu do wychodzenia poza ów przedmiot, na sferze Tajemnicy, niedomówień, intuicyjnych dociekań, rozważań. Określają one krąg bliskich mi tematów i być może także z tego powodu w Pana obrazach doszukują się teatralności, teatralizacji lub jeszcze prościej - spojżenia przez pryzmat sceny na kompozycje zapisane na płótnie. Dramaturgia obrazu (i wcale nie chodzi tu o temat, wątek fabularny, a raczej o owe wewnętrzne spięcia: światło i mrok, faktura lub jej celowy brak, forma zamknięta i otwarta) stanowi podobną strukturę jak struktura sceny, często sceny symultanicznej, z jej tradycyjnymi podziałami. Na scenie przedmiot staje się rekwizytem, ubranie kostiumem, gest nabiera symbolicznego wymiaru. Wracam zatem do studiowania Pana „teatrów osobnych”...

Przedemną, na ekranie komputera album, złożony z ponad stu prac. Oto „Magiczny pokój”, kompozycja bardzo wyważona, trójdzielną, otwartą w głąb, ku mrocznej, niemal pustej ulicy. Modelka, odziana w złotą, zbyt ciężką suknię, pochylona, zatrzymaną, zastępną w teatralnej pozie. Wygląda jak rzeźba, wpisana w przestrzeń o nieostrych, rozpywających się granicach, w przestrzeń wyznaczoną umownie tuż przy krawędziach owego wyłomu w murze, który mógłby (ale nie musi) kojarzyć się realistycznie, z oknem. Materia muru celowo chropawa, odstawiająca swą betonowo-ceglaną strukturę, zimna i nieprzyjazna, jakby dopiero co otwarta, wyrąbana, niespodziewana szczelina, wiodąca ku światom nieznanym. Dziewczyna o klasycznej urodzie, wpatruje się z wielką uwagą w świecący metalicznym blaskiem, srebrzysty kryształ. Spojrzenie widza, wabione światłem, owym metalicznym blaskiem, zsuwającym się po twarzy modelki ku trzymanemu przez nią przedmiotowi – buduje ten typ napięcia jakiego doświadczamy w teatrze. Więc dalej, wzrok odbiorcy (jakby prowadzony punktowym światłem reflektora) przesuwa się przez kamienny parapet na stronie prawej, gdzie kilka symbolicznych przedmiotów, fragmentów martwej natury,



znowu w srebrzystej poświęcacie. Metaforyka złota i srebra kojarzyć się może najprościej, z archetypem słońca (z jaźnią i energią solarą) oraz z archetypem księżycy (nieświadomością, nazywaną w sposób poetycki, magiczny „cieniem indywidualnym”).

Czyż doświadczając ulotnego momentu obecności „pięknej nieznamiennej”, obecności utrwalonej w scenerii „magicznego pokoju” – nie dane nam doświadczając równocześnie katharsis i ocalenia? Czyż zanurzając się w wykreowanej przez malarza „realności” nie stajemy zadziwieni, samotni, znieruchomieli jak skamieniała Niobe, milczący wobec uniesionej nagle kurtyny? Czyż wreszcie uczestnicząc i współtworząc spektakl – nie przekraczamy owej umownej „szczeliny”, owego wyrazistego, czytelnego „pęknięcia”, owego „wyłomu w murze”, rysującego się nagle między teatrem i życiem?

„Inną moją manią są stare mury, bo są niemymi świadkami wielu wydarzeń.” – pisze Marek – „I maluję te mury: „Dar Olbrzymki”, „Stary mur” (gwasz), „Popołudnie na Kazimierzu” i inne. Mam słabość do biedaków i oni intuicyjnie czują, że mogą liczyć na mój przyzwoity datek. Także chętnie ich maluję: „Wniebowzięcie dziada” (gwasz) oraz „Wniebowzięcie dziada III” (także gwasz.)). Tytuł ten sam, ale obrazy całkowicie różne.” Mur jako element scenografii okazuje się ważny.

Nie samą jednak scenografią teatr

żyje. Żeby zaistniał teatr potrzeba właściwie niewiele. Wystarczy obecność aktora i kogoś, kto obserwuje, uczestniczy w obrzędzie. „Najistotniejszą cechą przestrzeni teatralnej jest jej antropocentryzm.” – twierdziła przed laty wybitna badaczka zjawisk teatralnych we współczesnej humanistyce – „Przestrzeń pozbawiona człowieka, aktora i widza, postaci dramatycznej i współuczestniczącego w jej perypetiach odbiorcy, staje się jedynie martwą scenerią, wspaniałym pustkowiem.”⁴

Kompozycje Marka Naszczaka, w których zawsze obecny jest człowiek - układają się w cykle, wyznaczone przez specyficzne ukształtowanie przestrzeni teatralnej. Oto kryształ i katedry. Oto obrazy z motywem minerału o nieskazitelnej czystości, z motywem kwarcowej sieci krystalicznej, zatrzymującej lub załamującej światło. Oto obrazy z motywem wysublimowanej, strzelistej, niemal koronkowej, gotyckiej architektury Południa. Kryształ i katedry to ważny element scenografii. Bywa, że postać pokazana w konkretnej scenie, postać wpisana w rolę tak dalece, że zapominamy iż jest postacią umowną, iluzją, zatrzymuje się w punkcie ogniskującym spojrzenia odbiorców. Takim punktem może być rekwizyt (kula lub kryształ), element scenerii, fragment architektury, czy chociażby pęknięcie, szczelina prowadząca ku innej, niekoniecznie mitej i bezpiecznej – „realności”. Widzimy wówczas aktora w przestrzeni szczególnej. Bywa,

że zastygłego w bezruchu, pogrążonego w milczeniu. Bywa, że przeciwnie - wygłaszającego jeden z tych wielkich, znanych z literatury romantycznej, a wcześniej z teatru szekspirowskiego – monologów.

Oto „Hamlet i Duch”, słynna scena, rozgrywająca się w tekście dramatu na schodach zamku w Elsinore, scena dla której w teatrze buduje się zazwyczaj monumentalne, szerokie, „pałacowe” stopnie, zasnuwane mgłą lub dymem. W teatrze akcja tej sceny rozgrywa się zawsze w podobnie zagospodarowanej przestrzeni, symbolicznie łączącej komnaty i sienie z dziedzińcem. W obrazie Marka – schodów niemal nie widać, spotkanie Hamleta z Duchem odbywa się w (tak lubianym przez romantyków, szukających inspiracji u Szekspira) pejzażu górskim, skalistym. W pejzażu przykrytym jak kopułą „kryształowym” sklepieniem. Zamiast nieba – sklepienie, symbol doskonałości i obcego, wyizolowanego piękna. Metaforyczna wizja sklepienia niebios lub może obojętnego, chłodnego, „szklanego oka opatrznosci”. Wizja owego spojrzenia jakim Absolut zwykły był kwitować wszelkie ludzkie namiętności, występki i zbrodnie. Zamiast „monumentalnych schodów – monumentalna postać Ducha. Nadnaturalnych rozmiarów Ducha Ojca otulonego (jak wielkim skrzydłem) czerwienią, przytłoczonego ciężarem materii i zbroi, Ducha w nienaturalnej pozie, lekko odchylonego do tyłu. Ducha pragnącego zachować dystans, odsunąć

się, być może - wnieść jeszcze ku górze, jakby na przekór historycznym gestom Hamleta, chwytając go się skrają szaty. Wobec fizycznej wielkości Ducha – postać Hamleta raczej krucha, niewielka, chłopięca. Postać naiwnego humanisty, uwikłanego w realność, młodzieńca co to „ze dwojgi złożony natury”. Ciągłe jeszcze poety, malarza, ale już dotkniętego, opętanego potrzebą dokonania zemsty. Zemsty, która ostatecznie zniszczy jego życie, odbierze spokój Ofelii i zakwestionuje wszystkie humanistyczne wartości, jakich uczono go w szkołach. Oto Hamlet, nieco zagubiony i kruchy, ciągle jednak „bohater tragiczny”, w momencie dokonywania przekraczającego ludzkie doświadczenie, dramatycznego wyboru. Oto Hamlet, tak niedawno jeszcze wrażliwy i delikatny poeta, przyjaciel Horacego, Hamlet który już za moment przybierze maskę szaleńca, ironicznego okrutnika, sztygającego bezczelnie z Ofelii. Po prawej stronie żebrak, symbol upadku i klęski, żebrak którego obecność widoczna jest także w innych kompozycjach malarza.

Bywa, że na theatrum Marka Naszczaka pojawia się Filozof, archetyp mędrca, utrwalony w charakterystycznej dla siebie pozie. „Filozof wiedział i przeczuwał dużo więcej niż potrafił to wyrazić słowami.” – pisze w komentarzu malarz – „Godzinami siedział i myślał popadając w rodzaj odętwienia. Tak, jak żył, umarł cicho i spokojnie. Teraz chodzi pod rękę z Sokratesem i filozofują. Nie pił, nie palił i nie chodził do kościoła. Można go zobaczyć na kilku moich obrazach.”

W scenach osobistych dramatów przyjmujemy maski samotnych, szlachetnych lub występnych, zastępych w pół gestu, w pół słowa, bohaterów klasycznej tragedii. Bywa, że przyjmujemy maskę milczącego, teatralnie zamyślnego „Filozofa”.

W sytuacjach granicznych otuleni płaszczem ciszy jak królewskim płaszczem lub greckim chitonem, o twarzach zastoniętych maską opanowania i spokoju wobec nieuchronności wyroków Losu, wyniesieni na koturnach, koturnowo uroczystości – operujemy teatralnym szeptem. Gdy jednak dane nam „zagrać rolę”, stanąc na proscenium i mówić „tekstem” - recytujemy swe nomologii pełnym głosem, uroczystość, z powściągliwą, umiarkowaną ekspresją, z wycuciem nastroju i ukrytego, głębokiego sensu. Tu równie ważny jest co jego brak, owa teatralna pauza i cisza, co jej celowa nieobecność umiejętnie skrywana za parawanem dobrze skonstruowanego dialogu, za zastoną literackiej, wyrafinowanej mowy, przemyślanej do ostatka, po ostatnią liniijkę, po ostatni wers roli.

W kompozycjach malarskich Marka, w Jego inscenizacjach, w Jego teatrach osobnych - liczy się właśnie owo milczenie, owa wyrafinowana pauza, która w dobrym spektaklu wywołuje na widowni „szumek”. Podążając tropem wielkich inscenizatorów, nie reżyserów teatralnych, a inscenizatorów właśnie, traktujących tekst, wątek fabularny, czy motyw jako jeden (niekoniecznie najważniejszy!) z elementów artystycznego tworzenia – malarz buduje swe polifoniczne, wielowarstwowe i wielogłosowe spektakle. Ulubionym rekwizytem jest tu świeca, z charakterystycznymi naciekami, jak rzeźba, „oczywisty symbol życia i przemijania”, fascynującym elementem scenografii – chropawy, spatynowany mur, w którym nagle otwiera się droga ku innym, intrygującym, surrealnemu przestrzeniom. Bywa, że wszystkie trzy elementy spektaklu (wizerunek Filozofa, złota, szczeniata świeca i fragment ceglano, niedbale otynkowanego muru) spo-

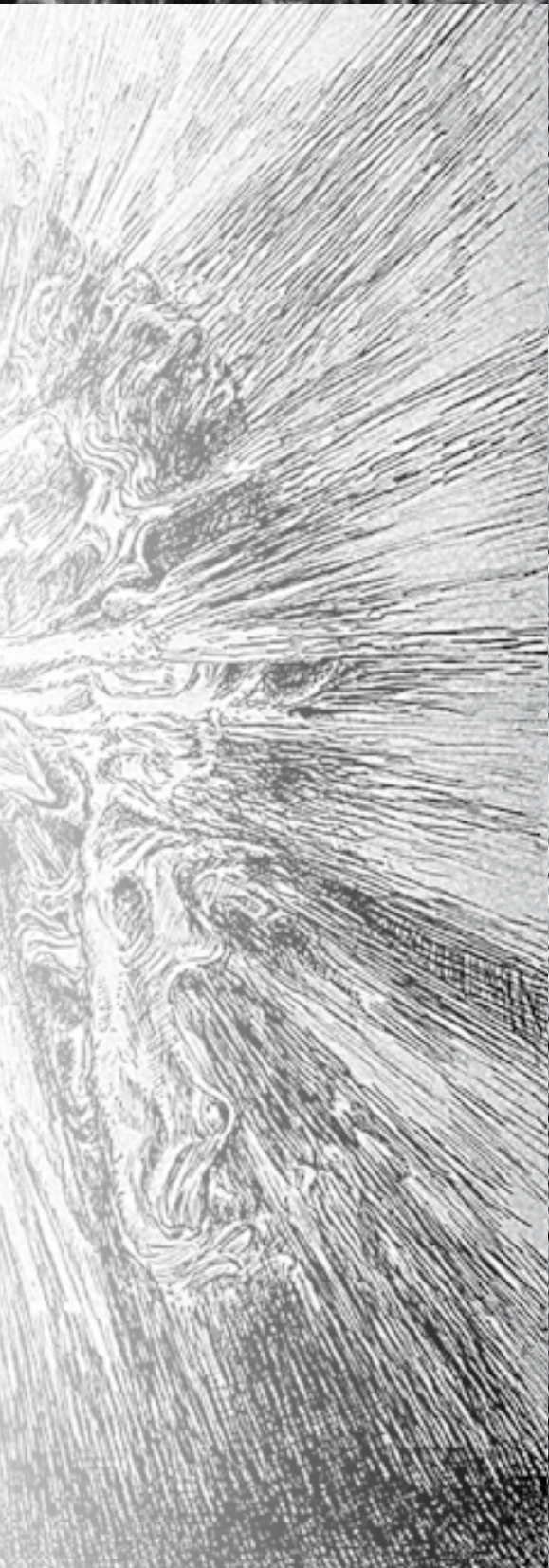
tykają się w jednej inscenizacji, na jednej ogromnej scenie. Teatr to bowiem „ogromny”, „wielkie, powietrzne przestrzenie”. Taką sceną okazuje się obraz malowany gwałtem, zatytułowany po prostu „Stary mur”. Zakapturzona postać, o oczach zasnutych bielmem, znieruchomiła, milcząca jak „wyrok Losu”, bezwzględna, nieprzychylna i obca, zimna i obojętna jak Fatum – zajmuje prawą kulisę. Przed nią (niemal już na proscenium) dwie nadpalone świece, złote, z ozdobnymi naciekami, ze śladami, dotknięciami upływającego czasu. Na proscenium – rozmalowany wizerunek (swoista personifikacja) odpoczywającego lub może pogrążonego w letargu muru. Symboliczna i jakże ponura konstatacja faktów, faktów kwitowanych milczeniem, ową znieruchomiłą, niepojętą (dla nas zakorzenionych w kruchej, ulotnej realności) elegancją, zasnutą obłokiem mgieł - ciszą. Konstatacja faktów dziwnie znajomych, przeczuwanych, budzących zawsze niepokój, zapewne otwierających także korytarze do owych mistycznych, metafizycznych snów.

Zatem ostatni etap naszej jesiennej, listopadowej wędrowki to spacer w głąb korytarzy snów, w głąb charakterystycznych Ogródów, o których pisał był Miłosz. To tam, w perspektywie szerokich, daleko wiodących dróg, w perspektywie wąskich, pokrytych listwami alejek u wylotu których już tylko cisza i mgła, w sferze literackiej „cudowności” i utudy - doświadczyć można istoty wizjonerskich teatrów Marka Naszczaka. „Cudowność to mowa duszy zbiorowej” pisała Maria Janion, odwołując się do „Manifestu surrealizmu” Bretona z 1924 r., dając tym samym dowód, że potrzeba wyprawy w głąb „korytarzy snów” była nie tylko właściwa romantykowi, ale także ich następcom.⁵ Dla teoretyka sztuki, traktującego pojęcie romantyzmu bardzo szeroko, na prawach specyficznej estetyki i w konsekwencji, przywiązania do konkretnych mitów, symboli i postaw – „Manifest” Bretona i jego interpretacja, dokonana przez pryzmat filozofii Freuda i Junga, interpretacja z 1937 r. – niesie w sobie (być może zadziwiająco i niepojęte) znamiona optymizmu, których próżno by poszukiwać w literaturze gotyckiej, do jakiej owa wypowiedź Bretona nawiązuje.

Postulat, by „zwrócić klucze do korytarzy snów” nabiera tutaj szczególnego znaczenia i staje się zapowiedzią zwycięskiej walki o ujawnienie „drugiego dna” epoki, o pokazanie znaczenia intuicyjnych przeżyć, czy jak pragnęła tego Maria Janion - zastąpienia „mitu ucisku” przez mit wyzwolenia”. Wyzwoleniem jest bowiem sen, który „uczy umierać człowieka”, podczas gdy „dusza sobie niech pobuja mało” i jak pisał Mistrz z Czarnolasu w swej refleksyjno-filozoficznej fraszce - „Niech się nacieszy nieboga do woli, a ciało, które odpoczynek woli, niechaj tym czasem tęsknicie nie czuje, a co to nie żyć, w czas się przypatruje.”

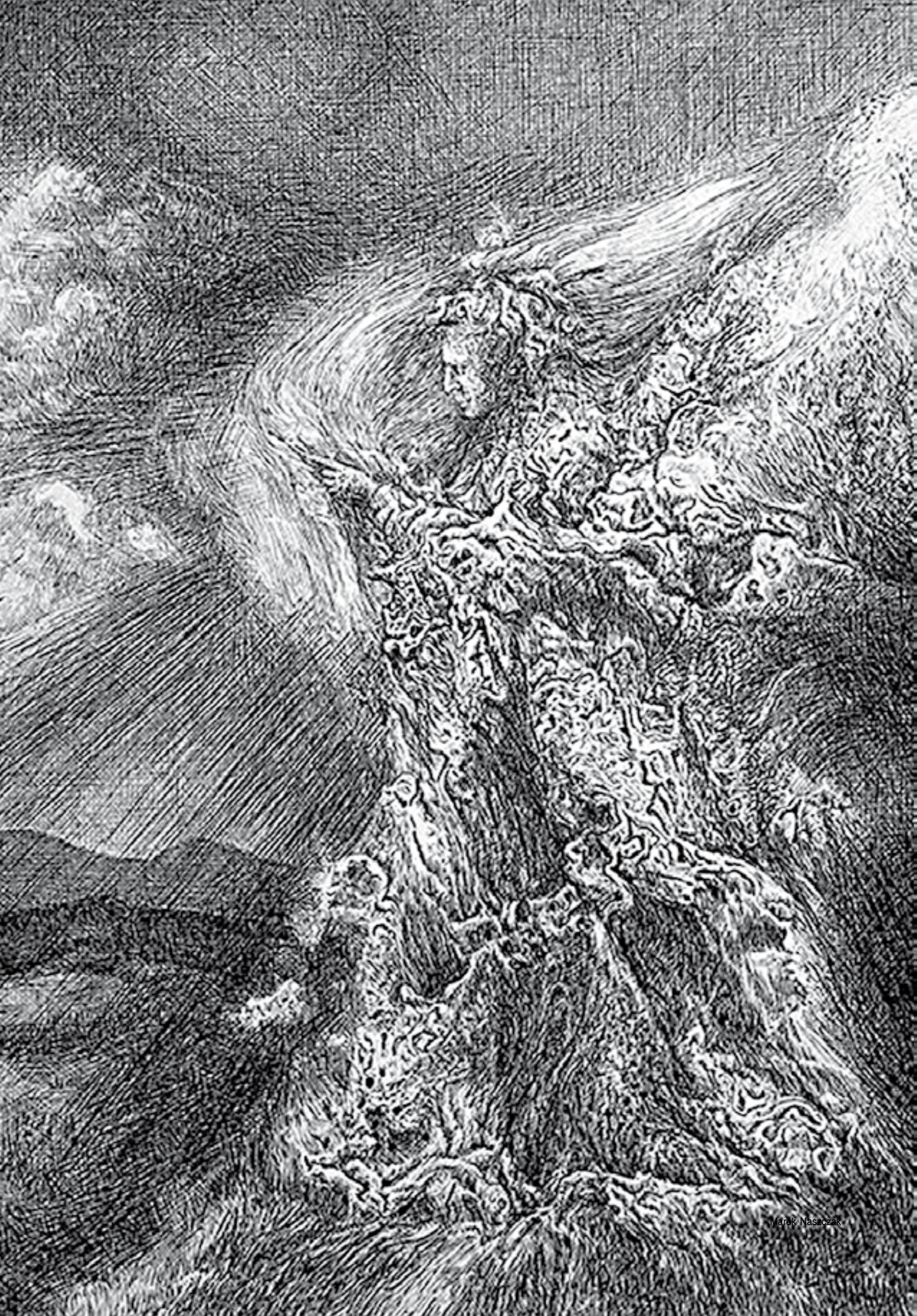
Postulat by „zwrócić klucze do korytarzy snów” sugeruje także potrzebę ponownego odczytania wielkich tekstów kultury, odczytania przez pryzmat surrealnego obrazowania i „typowo surrealnych” motywów, przez pryzmat tak zwanej „nowej estetyki” pragnącej przełożyć język Ducha na język Materii, język najgłębszych ludzkich przeżyć na język wizji malarskiej, grafiki lub obrazu. Wreszcie na język owych pejzaży wewnętrznych, ku którym mierzymy nieuchronnie, zawsze nieprzygotowani, przedwcześnie, w listopadowej, nieco zamglonej, wabiącej tajemnym światłem - ciszy.

MALGORZATA DORNA (WENDRYCHOWSKA) PILA
JESIEŃ 2022



Marek Naszczak

1. T. Olchanowski, *Fenomen duchowości w ujęciu psychologii głębi*, https://repozytorium.uwb.edu.pl/jspui/bitstream/11320/9648/1/T_Olchanowski_Fenomen_duchowosci_w_ujeciu_psychologii_glebi.pdf (dostęp: 22 XI 2022)
2. <https://zwierciadło.pl/lifestyle/500440,1,archetyp-ryb--wolne-jak-ptaki.read> (dostęp: 22 XI 2022)
3. „Uroda panny R właściwie zmuszała mnie do ujęcia tematu w poetycki sposób. Najtrudniej malować ładne kobiety, bo zawsze grozi to banałem, przesłodzeniem...” Marek Naszczak
4. D. Ratajczak, *Przestrzeń w dramacie i dramacie w przestrzeni teatru*, Poznań 1985, s. 11.
5. M. Janion, *Romantyzm, rewolucja, marksizm, Colloquia gdańskie*, Wyd. Morskie, Gdańsk 1972, s. 390



Mira Król

kolektyw.

weź i wysyp
 się
 ze mnie przesyp
 tu są takie pyszne naczynka
 hotele i domki
 dla pszczół samo centrum
 miasta
 i jaka szkoda że nie jesteśmy owadami
 a nasze ciała nie są połączone giętkimi elastycznymi błonami
 mogłabym porzucić praktykowanie jogi i wygiąć się w łuk
 triumfalny
 to rozczulające nieprawdaż
 chwasty zioła kwietne łąki
 a tu jedynie moje łono
 opuszczona gawra
 dajcie mi mleko
 a będę miała wszystko pod żebrami
 i niech wytryska z piersi
 jak z otwartej rany
 bo ktoś tu już był
 ruch zdradza się w wymiętej ściółce
 uchodzi i wychodzi tędy życie
 jak przez uchylone wrota
 tyle już zrobiliśmy a zrobimy jeszcze mniej
 powiedziałaś chcę mieć z tobą dom jakby chodziło o psa albo o dziecko
 i rzeczywiście gra się to na tych samych akordach
 refren powraca jak echo
 akcent kładzie się na chcieć i na mieć
 historia parzy w język
 zrobmy sobie dom
 ale to nie moja wiara
 wierzę w schrony
 w dym nie w dom
 i czasem jeszcze w święte obcowanie
 słodkie i lepkie jak miód
 próżno mnie szukać w ciele
 puste pokoje prawdziwie tętnią życiem
 gdy odejdą wszystkie zapachy
 wysiejemy tu łąki
 niech wabią
 pszczoły

czy.

jeszcze nas rozhuśta
 wyluska
 początek jest z drzenia
 tylko
 nie udław się własnym językiem
 to się zdarza i w dalszej perspektywie
 nie przywodzi na myśl nic dobrego
 martwe źródła
 ryby unoszące się brzuchami do góry
 tak rzeczowo potrafisz to wytłumaczyć
 kręgosłup ryby jest gęstszy niż jej brzuch
 zachowuję w pamięci
 tylko
 to
 łupiny gruz proch
 podchodzimy nazbyt blisko
 a to ustawia perspektywę
 zachowujemy czujność
 wartownicy szczelin
 pilnujemy okien ustalamy
 hasła
 jakie jest prawdopodobieństwo
 że zderzymy się ponownie?
 powtórzmy
 stan splątania
 nasze kręgosłupy gęstnieją
 i bierzemy to za pewnik
 bezsporny jak drops
 pod językiem
 oranżada w proszku
 syk
 ostatnia nuta grzęźnie w szczelinie
 klepiemy się po plecach

W numerze prezentujemy prace Marka Naszczaka

Marek Naszczak, polski artysta malarz. Studiował w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Dyplom uzyskał w 1969 roku. Studia uzupełniał w l'Ecole Des Beaux Arts w Paryżu. Prace (obrazy, rysunki, grafiki) znajdują się w zbiorach muzealnych w Lublinie, Wałbrzychu, Kaliszu oraz w zbiorach prywatnych w Szwajcarii, Włoszech, Niemczech, Austrii, Kanadzie, USA i w Polsce. Miał kilka wystaw indywidualnych za granicą i w Polsce. Uczestniczył w wielu wystawach zbiorowych. Malarstwo Marka Naszczaka czasem jest kojarzone z surrealizmem ze względu na atmosferę jego obrazów, jednak zasadniczo różni się od tego kierunku. W obrazach Naszczaka nie ma automatyzmu dostownego przenoszenia na obrazy sennych wizji. Obrazy jego cechuje logika budowy obrazu, przemyślana kompozycja i kolorystyka oraz zróżnicowana i bogata struktura powierzchni obrazów. Tematem prac jest zazwyczaj człowiek i jego kondycja w świecie. Temat obrazów jest tylko pretekstem do jego powstania i jest sprawą drugorzędną. Najważniejsze są problemy czysto malarskie.



Zasady współpracy z autorami w Gazecie Literackiej "Migotania":

- Przekazując materiały do redakcji Pisma: autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
- autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwem i nie naruszają praw osób trzecich.
- autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
- autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
- autor zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, Autorów oraz Przyjaciół „Migotań” zapraszamy do wsparcia finansowego naszej Gazety. Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać na trudnym rynku oraz drukować Wasze teksty.

Dziękujemy za pomoc! Redakcja

Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji. Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest przesyłka za zaliczeniem pocztowym.

Jak zamawiać kwartalnik? Proste:

1. Zadzwoń pod numer 601-840-302 i złoż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: joa@migotania.pl
3. Ewentualnie pocztą:
Fundacja Światło Literatury, ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:
"Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przestanie na konto: Bank Millennium 74116022020000000170195866

gazeta literacka

Migotania

www.migotania.pl



ISSN 2083-2494

numer 4 (77) 2022

Redakcja:

Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**

Redaktorzy: **Maria Jentys-Borełowska (Warszawa),**

Zbigniew Kresowaty (Łądek Zdrój)

Roman Warszawski (Gdynia),

Małgorzata Dorna (Wendrychowska), (Piła - Sopot)

Stale współpracują:

Anna Frajlich (Nowy Jork),

Grzegorz Musiał (Bydgoszcz),

Leszek Szaruga (Warszawa),

Olga Śmiechowicz (Łódź),

Marek Wawrzkiwicz (Warszawa),

Krystyna Śmiechowicz (Łódź),

Aleksandra Naróg,

Urszula M. Benka,

Leszek Żuliński (Warszawa)

Andrzej Wołosewicz

Dział fotografii: **Sybilka Storie**

Dział tekstów, redakcja i korekta:

Agata Foltyn

Dział PR: **Adam Buszek**

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy autorów.

Opracowanie graficzne:

Baltex Jolanta Rakowska

Wydawca: Fundacja Światło Literatury
Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,
ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk

tel. 601-840-302

joa@migotania.pl

Fundacja

ŚwiatłoLiteratury

Migotania.

Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów nie zamówionych. Staramy się odpowiadać na propozycje tekstowe, ale nie zawsze możemy to zagwarantować. W korespondencji z Redakcją prosimy używać przede wszystkim adresów e-mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy o kontakt mailowy na adres:

joa@migotania.pl



WOJEWÓDZTWO
POMORSKIE

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Leszek Szaruga



WYPRASOWANIE (41)

W rozmowie z Justyną Sobolewską w „Polityce” (nr 49/2022) Zyta Rudzka, mówiąc o swej nowej powieści *Ten się śmieje, kto ma zęby* powiada: „Literatura to nie jest pogadanka psychologiczna, wykracza poza wszystko”. Coś w tym jest, ale co dokładnie, o tym nie sposób wyrokować. Gdy się zastanowić nad sensem ostatecznym tego zdania, wówczas nie sposób uniknąć konstatacji powiadającej, że literatura po prostu wykracza poza samą siebie. A to, oczywiście, bardzo zawęża jej pojmowanie, gdyż zmusza do odrzucenia wszystkich tych tekstów literackich, które powtarzają jakiegokolwiek wzorce narracyjne. Z drugiej strony takie stanowisko pozwala zrozumieć debiutanta, który wkracza na scenę z manifestem powiadającym, że to, co dotąd uważano za literaturę, literaturą nie jest, a czym jest literatura, to dopiero on jest w stanie pokazać.

Piękne są takie możliwości swobodnego, wolnego od wszelkich obciążeń startu w przestrzeni kultury. Ta przestrzeń jednak dzisiaj w Polsce wciąż podlega zwiększającemu się ciśnieniu ograniczającemu swobodę twórcze. Warto przy tym podkreślić, że wytworzone do ciśnienia ośrodki władzy dość zreszcie na razie unikają wprowadzania przepisów, które by mogły zostać uznane za oficjalne wprowadzenie cenzury. Pisze o tym Adam Bodnar w artykule *Bądźmy solidarni z twórcami* na łamach „Gazety Wyborczej” (nr 281/2022): „Do rzeczywistej cenzury dochodzi obecnie w wyniku występowania wielu czynników o charakterze własnościowym, komercyjnym oraz wpływu sektora publicznego na twórczość i wolność wypowiedzi. Jest to proces, który cały czas postępuje i wpływa na mentalność społeczeństwa. Strach, który prowadzi do autocenzury, związany jest mniej z rzeczywistymi groźącymi sankcjami, a bardziej z ogólną sytuacją materialną, koniecznością utrzymania miejsca pracy, brakiem innych perspektyw rozwoju zawodowego”.

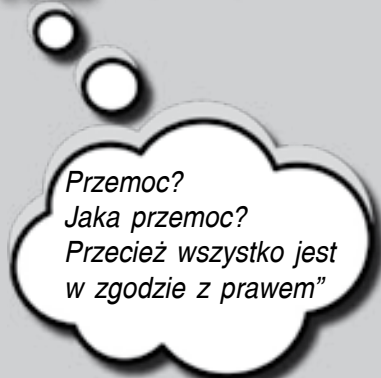
Formalnie wszystko jest w porządku. Państwo wciąż mieści się, choć z trudem, w kategorii „demokratycznego państwa prawa”. Ale jednocześnie państwo od roku 2015 oblepione jest przez struktury partii sprawującej władzę czyli, mówiąc wprost, jest po prostu upartyjnione. Dzieje się tak za sprawą uruchomienia mechanizmów zmierzających do obsadzenia instytucji i organizacji publicznych funkcjonariuszami PiS lub osobami z PiSem związanymi. Bodnar wskazuje kilka takich przypadków: „W ostatnich latach doszło do wielu bitew, których tłem było odwoływanie dyrektorów niezależnych instytucji kultury. Przypomnijmy niektóre z nich – Muzeum II Wojny Światowej (Paweł Machcewicz), Muzeum Śląskie w Katowicach (Alicja Knast), Muzeum Polin w Warszawie (Dariusz Stola) czy Teatr im. Słowackiego w Krakowie (Krzysztof Grochowski). Używane były różne argumenty i fortele prawne, ale w gruncie rzeczy za każdym razem chodziło o aspekty merytoryczne. Wystawy czy przedstawienia nie podobały się przedstawicielom rządu”. A przywołane przypadki ukazują tylko wierzchołek góry lodowej. Dotyczy to zwłaszcza przestrzeni, w której dotacje państwowe stanowią niezbędny warunek utrzymania takich placówek – teatrów czy redakcji – przy życiu. Opanowując Instytut Książki PiS likwiduje („Nowąją Polską”) lub upartyjnia („Nowe Książki”, „Twórczość”) czasopisma literacko-kulturalne, przy czym nie czyni tego wprost, lecz obsadzając

zwalniane stanowiska naczelnych swoimi ludźmi. Niezależnie od tego partia tworzy własne, niejako równoległe do istniejących, instytucje, jak choćby powołanie Instytutu Literatury z jego atrakcyjnymi finansowo, a zatem „kuszącymi” chudych literatów wydawnictwami typu „Nowy Napis”.

Warto w tym kontekście zwrócić uwagę na od dawien zapowiadany przez Jarosława Kaczyńskiego program stworzenia własnej klasy średniej (kasa – tu swoją rolę do odegrania mają spółki skarbu państwa) i, co wielokrotnie podkreślał, własne elity. Hasło „wymiany elit”, które mają wyeliminować wpływy środowisk określanych mianem „fżę-elit” nie jest niczym nowym: postulowali się nim komuniści po roku 1945, ale też i peerelowski premier Rakowski u progu stanu wojennego. Pisze Bodnar: „Państwo polskie jest potężnym mecenasem sztuki, a wielu artystów poszukuje wsparcia publicznego na realizowane projekty. Raz na jakiś czas słyszymy, że wybitne przedsięwzięcia artystyczne czy publikacyjne nie uzyskały publicznego finansowania. Organizowane są zbiórki publiczne, organizowane protesty i apele, ale to nie zmienia całego systemu”. To prawda, ale też – przykro mi o tym pisać – Adam Bodnar się myli, i to głęboko. Otóż myli się wówczas, gdy postuluje się anachronicznym w obecnych okolicznościach terminem „wsparcie publiczne” czy „publiczne finansowanie”. Owszem, takie coś się – jeszcze... - wydarza, ale wtedy, gdy zadziałamy poprzez portal „zrutka.pl” lub po prostu zbierzemy kasę. Ale w rzeczywistości owe dotacje, o których pisze Bodnar, winno się określać jako „wsparcie partyjne” bądź „partyjne finansowanie”. Jak to pisał Barańczak? Pisał „taka jest prawda nieprawda i innej prawdy nie ma” :)

A Bodnar pisze dalej: „Podobne dylematy [przed jakimi stoją artyści decydujący się na kompromisy czy wprost ustępstwa] występują w świecie nauki w związku z postępującą parametryzacją, ale także symbolicznymi działaniami w stosunku do niektórych naukowców. Zwolnienie rektora Uniwersytetu Wrocławskiego Przemysława Wiszewskiego przez ministra edukacji i nauki wystąpiło jasny sygnał do całego środowiska, podobnie jak przedłużająca się procedura nadania prof. Michałowi Bilewiczowi tytułu profesorskiego. Jeśli wejście w życie „lex Czarnek 2.0”, to na dyrektorów szkół i nauczycieli zostanie nałożony dodatkowy kaganiec. Nawet bez tej ustawy w środowisku szkolnym często się mówi o strachu przed podejmowaniem określonych tematów”. Nie tylko w szkolnym, w naukowym również – coraz częściej słyszę od koleżanek i kolegów, że rezygnują z jakiegoś „gorącego” – na przykład „genderowego” – projektu zakładając z góry, że nie dostaną na to grantu, o który chcieliby się ubiegać, a bez kasy, wiadomo...

A przecież pan minister Czarnek nie używa przemocy, gdzieżby mógł, co oczywiście nie oznacza, że nie jest brutalny i arogancki. Podobnie można spojrzeć na radosną twórczość pana ministra Glińskiego. Przemoc? Jaka przemoc? Przecież wszystko jest w zgodzie z prawem, wszystko dokonuje się *lege artis*. A że kultura, nauka i szkolnictwo, wspierane przez masowe środki rażenia medialnego traktowane są jako transmisja partii do mas, to przecież w porządku. A walczyć o swoje przecież trzeba, co w dramatycznym apelu *Jacy tacy, Unijczycy i Polacy*



podnosi współtwórca głośnego podziemnego niegdyś kwartalnika „brulion”, a dziś spec od egzorcyzmów Robert Tekieli na łamach pisma „Sieci” (nr 49/2022): „Toczy się więc dziś walka o nadrzędność unijnych trybunałów nad krajowymi systemami sprawiedliwości oraz o zniesienie weta w najważniejszych dla Unii Europejskiej kwestiach. Unijczycy w togach nie uznają wyższości polskiej Konstytucji nad unijnym prawem. (...) Jak mając patriotyczny rząd, powoli tracimy suwerenność, to co będzie, kiedy władzę przejmą chcący zarządzać przywiślańską kolonią euroentuzjaści? Jaki jest plan? W jaki sposób patriotyczne elity chcą utrzymać suwerenność Polski”.

Swoją drogą interesujące ile to tych „krajowych systemów sprawiedliwości” się Tekieli do liczył, bo dotąd uważałem, że jest tylko jeden – system prawa kościelnego nie jest wszakże systemem krajowym. Ale zostawmy to... Jaki jest plan? To jest dobre pytanie. W jednym z wywiadów, bodaj dwa lata temu, pan premier Morawiecki ogłosił, że realizowanie projektu nowej, na wskroś suwerennej Polski wymaga wygrania przez PiS kolejnych wyborów łącznie z tymi mającymi się odbyć w roku 2032. Przyznam otwarcie, że się tego nie boję, gdyż jest niezwykle mało prawdopodobne, bym tego triumfu geniuszu Jarosława Kaczyńskiego doznał. On sam zresztą też najprawdopodobniej nie – do najmłodszych wszak nie należy, jeśli więc ma jeszcze zasmakować owoców swych wobec kraju zamiarów, o czym mówił w wywiadzie dla Teresy Torañskiej, w którym widział swą przyszłość jako „emerytowanego zbawcy narodu”, to swój cel czyli zbawienie Polaków, winien osiągnąć nieco wcześniej. Tak czy inaczej wypada mu życzyć pogodnej emerytury, starym ludziom należy się bowiem spokój. Rzecz w tym, że niektórzy starcy nie potrafią w spokoju pozostawić innych.

Przyznam, że gdybym był dziś młodym pisarzem szykującym się do debiutu, przymierzałbym się do stworzenia tekstu wykraczającego poza wszystko. Tytuł wzięłbym z aforyzmu Lecca: *Po utracie zębów większa swoboda języka*. Zawartość? Anarchia na full skrzyżowana z treścią Białych Ksiąg opisujących dokonania ministrów Czarnka i Glińskiego. Dzieło zarówno historyczne jak futurologiczne. Machina wszystkoniszcząca o cechach *perpetuum mobile*. Strumień podświadomości zwalczającego dżender naczelnego redaktora tygodnika „Do Rzeczy”, którego tym razem, niestety, nie zdołam tu zacytować, ale polecam zwalczający przeżarte ateizmem „tęczowe państwo” wstępniak *Zachodnia wspólnota wartości* w nr 49/2022 jego organu.

LESZEK SZARUGA

Zbigniew Zbikowski

interferencja

świat opisany przez promień
światła to ciąg załamania i odbicie
fal rozchodzących się po liniach
prostych

światło załamane na granicy gęstości
zmienia kierunek jego promień
podąża dalej dopóki najgłębsza
gęstość go nie pochłonie

fala odbita od granicy interferuje
z falą biegnącą od źródła
światło kiedy wraca
poznaje samo siebie

jestem promieniem
pochłanianym przez świat
falą odbitą w świetle
poznaję
świat opisany światłem
to świat prostych równań
nic nie jest białe
ani czarne światło
nie ma względu
na osoby

niekrzyk

ten pierwszy bezgłośny
liść zasuszony wyfruwa
spomiędzy płatów zwojów
synaps ocalone same żyłki treści
w proch obrócona
złapany na strychu nie będę płakał oni
świdrują oczami czekają
pokaż mu jesteś przecież ojcem
– Tato czy musiałeś

ten drugi zastygły
skruszały beton przygniata
nie wypluty z trzewi
gdy był pyłem cięży późna łza
go nie rozpuszcza
już z nim pojechali sygnał dogasa
oni widzieli że ciało bezwładne czekają
na rozpacz dlaczego nie krzyczę
– Panie czy musiałeś

ten trzeci wciąż ciepły
wyrwany z kawałkiem wilgotnej krtani
nie wchodzi do puzderka
po czekoladkach wypada
na podłogę
– I co teraz będzie

upływ

przylatują o czwartej
kiedy ciało przetacza się
pomiędzy *ave* a *secula*
seculorum obsiadają serce
otwierają komory dowcipkują ta krew
nieco gorzkawa dosłódzą
płuca jak w porządku proszę
na chwilę wstrzymać oddech

nie wyją nie gryzą nie
straszą serdeczni do przesady
posyła ich przecież
za nami grzesznymi święty
czas patron upływu
arcymistrz cierpliwości
ten który przychodzi
gdy przychodzi

dla żartu oczywiście
ot tak dla zabawy
obsypują ci twarz czarnym
puchem swych miękkich skrzydeł
łaskoczą wilgotnie płyniesz

zrywasz się spod całunu potu serce
szaleje łapiesz oddech dłoń
oczyszcza nerwowo policzek
czy to dziś czy już
teraz i w godzinę

Zbyszek Ikona -
Kresowaty

Piórem malarza, Wspomnienie

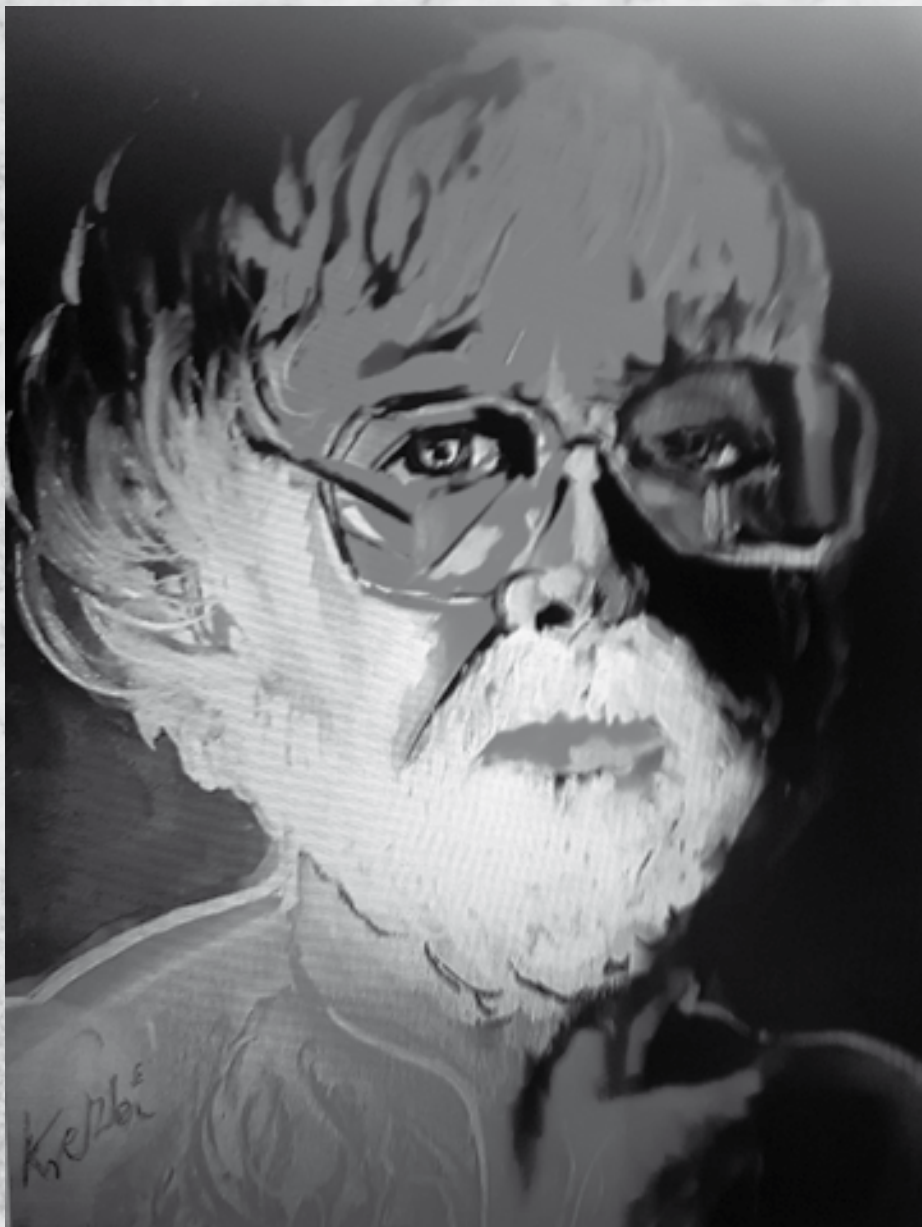
Z NOWEJ FIGURACJI GRZYWACZA

Dygresyjnie, po latach pracy danego twórcy, można powiedzieć, że zawsze widać w dziełach ambicje i zamierzenia pierwotne... Widać wiedzę jaką świadczył on przy podejmowaniu pracy nad swoim zamierzeniem. Często cała twórczość to ambitna praca wieloletnia... Często jest to wpływ innych artystów, którzy zostawiają nam swoją spuściznę. Artyści cenni uznawani za twórców przelomowych w Sztuce tacy jak Zbylut Grzywacz mają swoich nauczycieli i ojców duchowych... Ojcem duchowym artysty malarza Grzywacza, stał się Adam Hofman wykładowca, który później był także przyjacielem artysty. Artysta edukację kontynuował w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych w pracowni malarstwa Emila Krchy, którą ukończył w 1963 roku, realizując prace dyplomowe - W 1966 roku wraz z Maciejem Bieniaszem, Leszkiem Sobockim i Jackiem Waltosem. Zbylut Grzywacz współzałożył grupę Wprost, działającą do 1986 roku.

Lata działalności grupy, to czas najlepszej twórczości Zbyluta. Podjął on wtedy cykl sztuki figuratywnej. Otóż artystom z grupy Wprost bliskie było społeczno-polityczne zaangażowanie, co skutkowało celowym artystycznym komentarzem na temat fatalnej kondycji człowieka okresu totalitaryzmu. I to nie tylko z perspektywy egzystencjalizmu, lecz także w kontekście poddanego krytyce artystycznej narastającego systemu politycznego w tzw. Polsce Ludowej, zakrawającego o komunizm, a co za tym idzie tzw. sztuce narzucanego socrealizmu.

Mówił o tym niejeden krytyk zaangażowany w ówczesną Sztukę - o kryzysie przedstawienia postaci człowieka w pierwszych latach po II wojnie światowej w zastanej polskiej rzeczywistości, mówiono o tym na przykładzie twórczości Andrzeja Wróblewskiego oraz Tadeusza Kantora, Brzozowskiego, Kobro, Strzebińskiego w następującej wtedy eksplozji abstrakcjonizmu. Sugerowano, że do powrotu sztuki figuratywnej i przedstawienia kondycji człowieka w Polsce doszło w kontekście twórczości grupy Wprost. Otóż zaprezentowane przez Grzywacza na pierwszej wystawie Grupy w 1966 roku, w krakowskim Pałacu Sztuki obrazy, z cyklu Orantki zajmują tutaj szczególnie miejsce - a były to „przedstawienia” w większości nagich kobiet, czasem rubasznych czyli brzydkich, zmęczonych z rękami opuszczonymi w dół w geście bezradności, sylwetki, ukazane w dużym zbliżeniu, były wydobywane przez światło ze stosunkowo ciemnego mrocznego tła. Otóż twórca niezależny Zbylut Grzywacz, co było nowością w polskiej sztuce lat 60., przedstawił postać w sposób wyjątkowy i wyraźny: wzmocnił podmiot charakteru kobiety, potraktował go jako element ekspresji, komunikujący jasno określone treści. Było to echo jakby z malarstwa Andrzeja Wróblewskiego,

W Orantce I kobieca głowa jest „obcięta” przez górą krawędź płótna. Wróblewski jest w sztuce Grzywacza dość znaczący... Tutaj np. na wysokości tona, zamiast płodu widoczna jest trupa czaszka. **Orantki** z jednej strony mówią o dramatycznym poniżającym losie kobiety, która - zdaniem autora - nie może swobodnie urodzić, jak wiemy odwołuje się to do osobistych doświadczeń artysty. Zdaniem Grzywacza, „pojawiły się



Portret artysty i twórcy Zbyluta Grzywacza wykonał Zbyszek Ikona - Kresowaty

tutaj reminiscencje oświęcimskie(?)”. Otóż jak wiemy trwała wówczas wojna w Wietnamie, co bardzo mocno oddziało społecznie na młodych ludzi w całym świecie. Powrót do przedstawienia ówczesnego człowieka polega tu na rehabilitacji figury, uwydatnieniu w jej budowie ekspresji i jej siły. Co można powiedzieć o kolejnych dziełach artysty: z serii Utrwalone (1966-1967), obrazach z serii **Świadek** (1966-1967), **Marzec 68** (1968-1969), **Człowiek bez jakości** (1971-1974) oraz **Lalki** (1971-1974).

Natomiast w twórczości ekspresjonistycznej Zbyluta lat 70 – tych doszło do tzw. „stylizacyjnego przesilenia”. To zwrót ku realizmowi. Co do tej słuszności Grzywacz utwierdza się po wprowadzeniu **stanu wojennego**, Otóż artysta był sam także, przez służby tego stanu internowany, jako wolny twórca, w Zakładzie Karnym. Tuż po aresztowaniu artysta zanotuje, jako święte słowa

twórcze: **„Wezwanie do realizmu zjawia się chyba zawsze w chwilach najcięższych”**

W drugiej połowie lat 80. artysta zarzucił społeczno-polityczną problematykę. Skoncentrował się na malowaniu martwych natur, aktów i pejzaży. Od około 1987 roku, gdy powstał cykl **Puzzle**, w twórczości Grzywacza zaczęły dominować problemy czysto malarskie i estetyczne. Wyjątkiem jest powstały w 1994 roku cykl **9 obrazów** oraz cykl z lat 1998-2000: **Przyjdź precz**; oba – nic nie tracąc na malarskiej atrakcyjności – stanowią polemiczny głos wobec wprowadzonej w 1993 roku w Polsce ustawy o planowaniu rodziny, ograniczającej dostęp do zabiegów abortyjnych.

Należy wspomnieć, że w latach 80 - tych twórca i artysta uczestniczy w ruchu **kultury niezależnej**, a w 1982 roku otrzy-

mał Nagrodę Komitetu Kultury Niezależnej „Solidarność” za twórczość malarską tematycznie związaną z życiem w warunkach okrutnego dla artystów stanu wojennego.

W połowie lat 80 - tych przeszedł do malowania martwych natur, pejzaży i aktów. W 1987 roku, gdy powstał cykl **Puzzle**,

w twórczości Grzywacza zaczęły dominować problemy bardziej estetyczne.

Ten wybitny i cenny Artysta, pisany z dużej litery jako znany twórca miał wyraźne własne reakcje na społeczne problemy...

Zmarł w wieku 65 lat w Krakowie.

Natomiast z okazji siedemdziesiątej rocznicy urodzin malarza Muzeum Narodowe w Krakowie zorganizowało retrospektywną

wystawę pośmiertną wspólnie z Konferencją Naukową poświęconą życiu i twórczości artysty. Oba tym wydarzeniom towarzyszyły obszerne opracowania naukowe, m. innymi: był to katalog wystawy, zawierający między innymi kompletną listę obrazów oraz artykułów o malarzu i jego ciekawej, bardzo wartościowej twórczości...

ZBYSZEK IKONA - KRESOWATY



Miroslaw G. Majewski

pamięci Sławka Majewskiego

GRUNT TO MIEĆ
WIARĘ W LUDZI

Było ciepłe październikowe popołudnie, na dodatek piątek, więc Romek po zjedzeniu podstawionych mu przez matkę trzech kotletów mielonych z ziemniaczkami puree i buraczkami z chrzanem, pomyślał sobie, że to najlepsza pora na zaliczenie browara, szlachetnego trunku warzonego dla przedstawicieli ciężko pracującej klasy robotniczej do której przynależał od wielu pokoleń. Świadomy swych robotniczych korzeni dumnie wypinał pierś i twardo stąpał po matce ziemi.

Odniosł naczynia do kuchni. Matka krzątała się przy zlewku.

- Potóż je na szafkę, i nie szwendaj mi się tu.

Syn z czułością spojrzął na siedemdziesięcioletnią, spracowaną kobietę zastanawiając się, dlaczego nigdy nie powiedział jej nic miłego, ilekroć tylko próbował słowa były blokowane jakąś tajemniczą siłą w połowie drogi. Grzęzły mu w gardle, dusiły! Borykał się z tym od lat.

- Mamo, to ja idę – zameldował, co jego zdaniem miało uchodzić za apogeum jego synowskich uczuć do matki.

Odpowiedzią było głębokie westchnienie.

Romek wrócił do pokoju. Opuścił roletę na jedynym oknie w swoim pokoju odcinając dopływ promieni zachodzącego słońca, w których fruwały miliony drobinek kurzu. Otworzył szafę, wyciągnął swojego ulubionego t-shirta z gotyckim napisem HATE. Przebrał się, i opuszczając pokój puścił oko młodzieńcowi na obrazie wiszącym od lat nad jego biurkiem. Obrazem często mylnym, przez mniej obeznanymi, z Jamesem Deanem, być może dlatego, że i ten podobnie eksplikował ten luzacki styl bycia z nieodłącznym papierosem w kąciku ust.

Ale to nie był James Dean.

Przechodząc przez kuchnię tchnięty jakimś irracjonalnym odruchem pocałował matkę w policzek.

- A idźże ty baranie jeden! - Ofuknęła się, ale w tym ofuknięciu mieścił się niezgłębiony ocean matczynej miłości.

Wiedział o tym.

Wszedł delikatnie zamykając drzwi za sobą.

Zatrzymał się w progu spoglądając w bezchmurne niebo które płonęło czerwienią na zachodzie. Był to piękny widok, wyciągnął z tylnej kieszeni jeansów smartfona i strzelił kilka fotek.

Do Słonecznika było jakieś 10 minut drogi.

Nie wątpiąc w swoją wartość szedł z dumnie podniesionym czołem, niczym Joe Don Baker do którego w jakiejś mierze był nawet podobny. Podobny teraz, jako pięćdziesięciolatek, nie jako nastolatek z przyozdobioną wówczas głową zielono – fioletowym irokezem. Czas był bezlitosny, tak jak jego świętej pamięci stary, największa menda jaką spotkał. Nie wiadomo dlaczego właśnie w tej chwili przypomniał sobie jak pijany ojciec wpadał w szał i lał go kablem od żelazka za złe wyniki w nauce. Dlatego szkoła do dziś kojarzy mu się jedynie z kablem od żelazka. Skurwiel, pomyślał o ojcu, po czym nieco dystansując się od wspomnień dodał, niech mu ziemia lekką będzie.

Gdzieś z okna mijanego bloku doszedł

do jego uszu znany kawałek. Zdziwił się, że jest jeszcze ktoś słucha Joy Division. Spojrzął w górę. Namierzył otwarte okno. Ale jaja, pomyślał, to chyba ten młody Durszlak od Krawczyków, no, no...

Szedł dalej pozwalając myślom pojawiać się w niekontrolowany sposób, zresztą myśli zawsze pojawiały się znikąd i nie wiadomo po co. Pogadził się po tysinie, przystanął, wyciągnął z kieszeni zmiętą paczkę papierosów, zapalił z lubością zaciągając się dymem w myśl starego, odchodzącego już do lamusa powiedzonka, że każdy Polak po jedzeniu nie zapomni o paleniu. Do tej myśli przylepiło się kolejne wspomnienie, tym razem z Jarocina, ujrzał siebie sprzed ponad trzydziestu lat. Koszmar! Usztyniony żelem zielono – fioletowy irokez, a on najarany i podłany gorzałką podryguje niczym koczodan na koncercie punkowej kapeli, której nazwy już nie pamiętał.

Coraz częściej tupał się na tym, że żyje przeszłością. Tłumaczył to sobie, że wszystko co dobre ma już za sobą, no bo co go może teraz czekać? Wszystko płynie i nic nie pozostaje takie same. Przypomniał sobie sentencje Talesa albo Heraklita. Jakże może mieć jeszcze plany? Żadnych. Od czasu do czasu, raz na tydzień, upierdolić się i tyle. To wszystko. Był świadomy tego, boleśnie świadomy, że spierdolił sobie życie, że ten młodzieńczy bunt, ta punkowa kontestacja doprowadziła go do tego miejsca w którym teraz jest. Winił też trochę ojca, trochę matkę, rodzinę, wszystkich, tylko nie siebie. To wina tego całego popierdolonego świata, który doprowadził go do tej robociarskiej vegetacji, vegetacji, z której ze wszystkich sił na przekór całej korporacyjnej rzeczywistości starał się być dumny, przynajmniej do czasu kiedy nie wypierdolił go z kolejnej roboty za pijaństwo.

Kryzys wieku średniego, pomyślał, i na jakiś czas ta diagnoza przyniosła mu ulgę.

Zalewany natłokiem masochistycznych wspomnień obrzydzał sobie drogę do Słonecznika potykając gorycz decyzji szalonej młodości. Ale wtedy zakładał, że w najlepszym razie dobije do trzydziestki i kopnie w kalendarz. Bo niby jaki sens jest vegetować na tym też padole będąc trzydziestoletnim starcem. Jakaś tam mata, pierdolona stabilizacja. Tak wtedy myślał. Znał trzydziestolatków i ich stateczne życie. Praca dom, praca, praca, dom, kościół, praca, dom, praca, praca, dom, kościół, pierdolone noce i dni! O tamtych buntowniczych czasach przypominały mu zaledwie trzy fotki zrobione aparatem Zenit 11, którego właścicielem był Zenek, obecny starosta.

- Cześć, gdzie tak zapierdalasz? - ze wspomnień wyrwał go znajomy głos.

- Cześć Heniu. Zamyśliłem się. A idę na piwko.

- Do Słonecznika? - Ucisnęli sobie dłonie.

- A gdzie mam iść? Tam najtaniej.

- Ty, wiesz co, może też do was dookoopuję po obiedzie. Dawno już tam nie byłem.

- No... Wpadnij, wpadnij.

- Wpadnę, wpadnę. No, na zrazie.

- Hej... Czekaj no, a do Krakowa jeszcze jeździsz na te stand – upy?

- A czasem pojedę, ale dawno już nie byłem. Nie mam czasu. W weekend chce w chacie trochę posiedzieć.

- Ale wpadniesz?

- Wpadnę.

- Czekaj no...

- No?

- A o czym ostatnio nadawałeś?

- W Krakowie?

- A gdzie niby?

- A, takie tam o weekendzie.

- Ok. To na razie.

Heniek machnął ręką i ruszył w stronę bloku z którego okien dobiegała muzyka Joy Division.

Rozstali się na czas jakiś. Romek korzystając z tego że stoi, dopalił papierosa, niedopałek rzucił na chodnik i rozdeptał czubkiem buta, po czym ruszył w dalszą drogę użalając się na sobą. Co prawda nauczył się do perfekcji robić dobrą minę do złej gry, ale rzeczywistość go bardzo dotowała, od lat harował w charakterze niewykwalifikowanego robotnika w przeróżnych zakładach pracy za najniższą krajową, a z czasów młodzieńczej kontestacji pozostały mu trzy fotki z fioletowym czubem na głowie, i to sentyment do punk rocka z lekkim odchyleniem do Joy Division, którą przed chwilą puszczał młody Krawczyk.

Zdziwił się sam sobie, kiedy po czterdzieste jego wierność punkowi zaczęła korodować, co prawda słuchał jeszcze od czasu do czasu Sex Pistols, ale to już nie było to. Złagodniał, ustałkował się na swój sposób. Nie przyznając się ferajnie z dawnych lat, słuchał Pink Floydów, a nawet Griega i innych klasyków. Sam przestraszył się swoich myśli. Jak to dobrze, że ostatnio namawiany przez kumpli ze starej ferajny pofatygował się do Krakowa na koncert Rumjacks.

Cóż. Przekonał się jedynie po bólach w kościach, że młodość opuściła go nieodwracalnie, że to już nie te lata, nie ta energia co dawniej.

SKS dawato coraz mocniej we znaki.

- Romek!

Spojrzął w bok skąd dobiegał zachrypnięty głos.

W jedynym domku rodzinnym, który jakimś cudem ostał się pośrodku bloków robotniczego osiedla, siedząc na przydomowej ławeczce kiwał na niego stary Nowak. - Cho no tu na chwilkę.

Romek, aczkolwiek niechętnie, podszedł do furki, wyjął wetknięty w nią plik reklam, otworzył, zamknął za sobą, aby nie wypuścić na ulicę wolno biegającego wielorasowca Kajtka, położył reklamy na skraju ławki, ścisnął sękatą dłoń Nowaka i rzekł – Co jest?

- Siadaj, pogadamy, gdzie się tak spieszysz?

Kajtek prawie wlał mu na kolana, pokazując w ten sposób swoją radość. Romek poczochnął psa za uszami, ale Nowak dał psu zmykać. Postuszny pies kuląc ogon dał Romkowi spokój.

- Sprawę mam – westchnął Nowak, zastanawiając się przez chwilę jak ma zagic.

- Jaką sprawę? - podrapał się po tyśinie Romek, zastanawiając się co to za sprawa.

- Pamiętasz jak wpadliście do mnie kilka tygodni temu z Atosem i ferajną?

- Pamiętam, co mam nie pamiętać.

- Pytam, bo byłeś wtedy niezłe wstawiony. Ledwie trzymałeś się na nogach. - Nowak spojrzął Romkowi badawczo w oczy.

- Józek, mów o co łązi, bo mi w gardle zaschło - niecierpliwił się Romek.

- Pamiętasz czym mnie poczęstowaliście?

- Niby czym? - Romek próbował przełknąć zatłkane kanały pamięci.

- No to nie pamiętasz - zawyrokował Nowak.

I wtedy Romka olśniło.

- O kurwa! Daliśmy ci skręta?

Nowak przez chwilę ważył słowa, zerknął na psa, potem na czubek swojego buta, następnie zdjął nogę z nogi, podniósł się, wyprostował i spojrzął z góry na zapadniętego w sobie młodszego o jakieś 20 lat kolegę.

- Nawet nie byłeś błyskiem w oku swego świętej pamięci ojca, jak ja już marychę jarałem. Ludzie hodowali ją legalnie w szklarniach, trzymałem ją w puszkach po landrynkach. Widziałeś kiedyś puszkę po landrynkach?

- Nie widziałem - przyznał Romek, przypominając sobie opowieści Nowaka o jego

hipisowskich wyczynach.

- No - powiedział Nowak. - Powiem krótko, masz dojście do gandzi?

Nowak stał nad nim jak posąg ruskiego geroja z czasów wojny ojczyźnianej.

- Ja... - zaczął Romek.

- Tak, czy nie? - Nowak był bardzo konkretny.

- Popytam - zaczął kręcić Romek.

- Tak, kurwa, czy nie. Nie rób mi nadziei.

- Tak - przyznał Romek przyparty do muru przez starego hipisa, który był w wieku jego matki i raczej nie powinien chodzić ujarany.

- I oto mi chodziło - Nowak usiadł z powrotem na ławkę a jego oczy rozbłyły na samo wspomnienie o dawnych dobrych czasach. - Stoi!

- Stoi - Romek powoli podniósł się z ławki.

- Na bank? - Nowak też powstał i wyciągnął swoją sękatą dłoń na pożegnanie.

- Na bank - przyrzekł Romek i uściśnął dłoń Nowaka.

Stońce zachodziło, niebo spurpurowiało. Romek doszedł do furki, odgonił nogą Kajtka, który tylko czekał na okazję aby dać dyla w polowaniu na sukę w rui. Nowak wolnym krokiem zbliżył się do furki.

- Znam źródło? - zapytał stojącego już po drugiej stronie Romka.

Romek przytaknął ruchem głowy.

- Powiesz mi?

- Nie.

- Rozumiem - zrozumiał Nowak, po czym odwrócił się i bez słowa ruszył w stronę domu z Kajtkiem pętającym się przy jego nogach.

Ja pierdole! Romek nie mógł poradzić sobie z tą sytuacją. Niby wiedział o Nowaku wszystko, nie jeden raz oglądał jego album z fotkami na których młody Józek wyglądał niczym Robert Plant z włosami po dupę, w dzwonach w kwiaty, z kolorowymi koralkami na szyi. Ale nigdy nie pomyślał, że ten jarał gandzię. Przyśpieszył kroku aby strząpać z siebie te wszystkie irracjonalne myśli. Żałował, że nie wziął kasy od Nowaka na marychę, akurat w ten piątek groszem nie śmierdział, miał zaledwie na jedno piwo, ale od czego ma się przyjaciół, szczególnie tych zblazowanych intelektualistów. Atos, Protos i Aramis, goście z tak zwanej middle class, którzy nie potrafili oprzeć się plebejskiemu urokowi Romka, promieniującego z niego niczym aureola z obrazka ze świętym Stanisławem Kostką.

Grunt to nie tracić nadziei i mieć wiarę w ludzi.

MIROSLAW G. MAJEWSKI

Marek Naszczak



Piotr Kominek

Tam mieszka miłość

gdy cały świat jest przeciwko nam
gdzie możemy odnaleźć miłość

jest we wszystkim co nas łączy
w piosence o deszczowej nocy

w twoich oczach pełnych światła
gdzie zapisane jest moje imię

w dotyku twoich ciepłych dłoni
w kroplach wiosennego deszczu

gdy mówisz mi że będzie dobrze
nawet gdy przychodzą gorsze dni

tam wszędzie mieszka miłość
w każdej tęsknocie naszych serc



Maleńka miłość

gdy spotkali się ze sobą
w małej kawiarni nad wodą
tak długo rozmawiali o wszystkim

stali się dla siebie tak bliscy
wśród tylu nieznanymi osob
połączyła ich maleńka miłość

każdego dnia zakochani w sobie
chcieli biec przed siebie
znowu poczuć wiatr we włosach

w szerokości ich ramion
zmieściła się maleńka miłość
na deszczu zamykali oczy
i wtedy znikal cały świat

a kiedy musieli już odejść
każde w swoją stronę
ich maleńka miłość poprosiła
by o niej nie zapomnieć

Cisza

gdy między nami jest tak cicho
możemy usłyszeć głos Jezusa

tak bardzo pragnę tej ciszy
spokoju drzew które przynoszą nadzieję
po przejściu burzy

gdy między nami jest tak cicho
milkną radosne dzwonki deszczu
słyszemy piosenkę o miłości

to tylko wiatr tańczy
wśród złocistych kłosów
i zanoszą moją modlitwę do nieba

w ciszy odkrywamy swoje serca
gdy ich bicie odmierzają kolejne godziny

gdy przychodzi czas twojego odejścia
pozostajemy dla siebie ciszą

Marek Wawrzekiewicz

OKRUCHY (6)

Katia P., świetna poetka i tłumaczka poezji polskiej, napisała kiedyś wiersz, jeden z wielu, które przełożyłem. Pisze w nim, o tym, że gdyby żyła w porządnym Niemczech, to wierszy by nie pisała. W Italii śpiewałaby jak ptaszek, we Francji romansowała i wiersze nie byłyby jej potrzebne. A ostatnia zwrotka brzmi tak:

Ale ja żyję w Rosji nie skarżąc się na boże wyroki,

By w nocy nie zamarnąć, spalam deski z podłogi

I nie wiem, za co kocham to gorzkie i to srogie,

To nieprzytulne życie. I wierszy nie pisać – nie mogę.

Pamiętam wiele wierszy Katii. Często pisała o swoim kraju, prawie zawsze z jakimś serdecznym dystansem, z goryczą, ze świadomością jego niedoskonałości. Nie wiem, jak pisze teraz, po 24 lutego. Nie dzwoniłem do niej, nie pisałem elektronicznie. Kto wie – może uwierzyła propagandzie, wedle której Polska jest wrogiem zagrażającym Rosji. Przecież kilku moich dobrych znajomych, a nawet przyjaciół, poparło zbrodnię. Kto wie – wedle naszej propagandy moje próby kontaktu mogą być dla nich niebezpieczne. Okrężną drogą, via Wiedeń i poetę Michała B., który również przyjaźni się z Katią, dowiedziałem się, że Wanusza, jej syn, zdał maturę i musi się dostać na studia, bo inaczej wciela go do armii i będzie niespełna osiemnastoletnim żołnierzem.

Będę czekał na najnowsze wiersze Katii. Z nich wiele się dowiem, albo domyślę.

* * *

Lipiec. Piję piwo w ogródku restauracji „Samson”. Przy sąsiednim stoliku siedzi dwóch mężczyzn w poważnym wieku. Mimowolnie słucham. Mówią: szanowny panie, jak szanowny pan zauważył, zapewniam szanownego pana... Wypijają, zakąszają i bez przerwy się szanują. Gdzie ja jestem, w Krakowie? Nie, to warszawskie Nowe Miasto, ulica Freta, a szanowni panowie są trzeźwi. Postępują się językiem z przeszłości, z czasów, kiedy na „ty” ludzie przechodzili po trzydziestu latach znajomości. Podobno Antoni Stonimski w okolicy Sylwestra unieważniał wszystkie wypite w mijającym roku bruderszafty i ogłaszał nabór na nowe.

Kiedy objąłem stanowisko szefa tygodnika „Kobieta i życie” postanowiłem poszerzyć krąg współpracowników o dobre nazwiska. Zadzwoiłem do Stefani Grodzieńskiej – mam nadzieję, że ta pisarka i aktorka nie została jeszcze zapomniana. Przedstawiłem się i zacząłem mnie więcej tak: wielce szanowna pani, byłibyśmy niezmiernie zaszczytzeni, gdyby zechciała pani... itd. Grodzieńska przerwała mi: - Czy mógłby pan rozmawiać ze mną normalnie?

Mogłem, choć z trudem. Potem, co tydzień mieliśmy felieton pani Stefani.

* * *

Myślę, że umieranie na nowotwór jest najbardziej pracochłonne i cierpliwe. I pełne nadziei, bo beznadzieja rodzi się wraz z utratą świadomości. Powiadają, że spieszą się tylko niewytrzymali na ból, ale czy można im wierzyć? Może ten pośpiech dedykuja

bliskim, chcąc, żeby było im lepiej. Tyle rzeczy gubimy przez pośpiech.

Już to chyba gdzieś napisałem – o Ludwiku Stommie, który dawno temu promował swoją „Kronikę śmierci sławnych ludzi”. Powiedział, że to jest naturalne, iż każdy śmierci się boi. Ale żeby ten lęk był mniejszy, to trzeba śmierć oswoić, udomowić, a nawet ośmieszyć. Jak to zrobić? – tego nie powiedział. Przecież nie tak, jak w „Siódmej pieczęci” Bergmana, gdzie Śmierć – Szachista ogrywa Rycerza, a potem prowadzi jego i rodzinę wędrownych kuglarzy na pochmurne, ostateczne wzgórze. Może tak, jak w filmie Monty Pythona, gdzie Ponury Żniwiarz zabiera grono biesiadników zatrutych nieświeżym łososiem?

A ścieżka dźwiękowa? Przecież nie marsz żałobny Chopina, ani czwarta część szóstej Symfonii Czajkowskiego. Może po prostu „Ten wspaniały świat” śpiewany przez Luisa Armstronga?

* * *

Starość jest dolegliwością. Czasem fizyczną, czasem psychiczną, niekiedy umysłową. Ale bywa stabiliej dostrzegalną – gdy przebywamy w wąskim gronie rówieśników (zauważamy wtedy głównie ich, a nie własną starość), wśród najbliższych, wśród przyjaciół. Starość spostrzegamy wtedy, kiedy znajdziemy się w wielkiej gromadzie ludzi starych. To otoczenie gwałtownie dodaje nam lat. Wtedy dokładnie rozumiemy „Sanatorium pod klepsydrą”.

* * *

Niewesołe to, oj niewesołe. W ciągu dwóch miesięcy trzy pogrzeby. Niby na świecie przybywa ludzi, a przecież staje się coraz bardziej pusto. Znam lepsze rozrywki od przemawiania nad mogiłą. Ale...

Przed laty wracałem z pogrzebu Piotra Kuncewicz i zupełnie przypadkiem odkryłem grób Franca Fiszera. Ten domorosty filozof, pieczeniarka, dusza towarzystwa, był gwiazdą przedwojennej Warszawy, przyjacielem Skamandrytów i wielu sławnych artystów. W najlepszych restauracjach jadł za darmo, bo ich właściciele obecność Fiszera uważali za reklamę nie do przecenienia. Opowiadają, że pewien starozakonny, przeczując rychte przenosiny na tona Abrahama, zamówił u sławnego Franca mowę pogrzebową. Filozof odpowiedział, że za 50 złotych napisze mu taką mowę, że będą ją pamiętali do siódmego pokolenia. Ale – kontynuował – jeśli nie jest pan przy gotówce, mogę napisać za 20 złotych, niewiele gorszą. Mogę też napisać za 5 złotych. Jej jednak nie polecam.

* * *

Gałęziński wymienił proroczo sporty dla ludzi w moim wieku: bieg na 8 metrów, rzut pomidorem i skok w dal we śnie. Lata czynnego uprawiania sportów najróżniejszych mam już dawno za sobą. Jestem za to kibicem, ale wyznaję, że niektórych konkurencji nie mogę oglądać ze względu na słabe nerwy – na przykład pływania synchronicznego. Kiedy te sześć czy osiem dziesięć minut zanurzy się w wodzie i nad nią rytmicznie macha nogami, w trwodze myślę, czy wszystkie wypłyną na powierzchnię. To jest nie do zniesienia. Pewien mój były przyjaciel powiedział, a może nawet napisał, że z powodów nerwowych nie może oglądać

spektakli operowych. Tłumaczył to tym, że oto tenor dziesięć minut śpiewa o pościgu. Widz denerwuje się, że nie przez to śpiewanie nie ucieknie. A potem chór też dziesięć minut wyśpiewuje, że właśnie goni zbiega. I znowu nerwy – bo marnują czas i mogą nie dogonić. Chyba z tych samych powodów zrezygnuję z oglądania telewizyjnych turniejów o wielkie pieniądze. Bo oto para z wyglądu inteligentnych ludzi, na oko dziesięć lat po maturze, długo zastanawia się, kto jest autorem słów: Szlachetne zdrowie Mickiewicz, Słowacki, Fredo, Kochanowski? Nie wytrzymuję napięcia. Uczeń powinien wynaleźć aparat do mierzenia idiotyzmu, tak jak wynaleziono pomiar inteligencji. Tym testom – uważam – powinni być poddawani posłowie, ministrowie i inni wysocy urzędnicy państwu i profesorami włącznie. I jeszcze: tak jak z cholesterolem – jest dobry i zły. Jest zła i dobra inteligencja. Ta ostatnia – w zaniku.

* * *

W Kai Feng (mieścina, 700 tys. mieszkańców, prowincja Henan) w latach 999 – 1062 żył Chen Zhou. Miał 160 cm wzrostu, co w owych czasach zaliczało go do mężczyzn wysokich. Był merem miasta i wyższym prokuratorem. Stworzył cztery zasady, którymi powinien kierować się dobry przywódca.

- kochać ludzi;
- nie przywiązywać się do własności;
- ciągle się uczyć;
- być dobrym człowiekiem.

Można powiedzieć, że Chen Zhou stworzył kanon zasad całkowicie nierealnych. A w dodatku nigdy w życiu nie wziął łapówki. Oczywiście ta uwaga nie ma nic wspólnego z moją ojczyzną.

* * *

W czasie podróży po Chinach kilkakrotnie towarzyszył mi Liu. Mówił biegle po rosyjsku, tłumaczył rosyjską literaturę. Namawiał go, żeby przełożył powieść pewnego pisarza. Jej akcja rozgrywała się latem w syberyjskiej wsi – była to historia trwającego cały dzień pijaństwa pięciu przyjaciół. Liu odmówił – przecież w Związku Radzieckim alkoholizmu nie było, a jeśli nawet, to taka książka w Chinach nie mogła się ukazać.

Kiedy w pokoju hotelowym zadawałem mu niewinne z pozoru pytanie, zapraszał mnie na spacer, nawet o północy. I dopiero na spacerze odpowiadał. Na takim spacerze opowiedział mi dowcip.

Japońscy turyści podróżowali dwa tygodnie po bezkresnym Kraju Rad. Kiedy już mieli wracać, na lotnisku Domodjedowo gid zapytał ich, co im się w jego ojczyźnie najbardziej podobało. Turyści bez wahania odpowiedzieli, że dzieci. – Dlaczego właśnie dzieci? – Bo wszystko, co zrobiliście rękami, jest do dupy.

* * *

W pieśni o spustoszeniu Podola Jan Kochanowski wieszczy, że tę sromotę będą pamiętały wszystkie pokolenia Polaków. Dziś tylko historycy tego okresu wiedzą, o co chodzi i kiedy to było. A niemal wszyscy pamiętają śmierć młodej dziewczynki, która wielkie pustki uczyniła. Tak to jest, kiedy poezja próbuje nadążyć za aktualnością społeczną i polityczną.

O poezji nigdy nie mówiło się dużo. ➔

a teraz nie mówi się wcale. Ale pamiętam: lat temu kilkadziesiąt, publiczność, która – w najlepszym razie – kończyła edukację poetycką na „Chaty rzędem na piaszczystych wzgórkach” Kasprowiczu, zderzając się ostąpiła z nową poezją polską, miała pretensje, że nie prowadzi ona narodu. A nie prowadziła nigdy. Stawała się własnością wszystkich rzadko – na przykład w przypadku „Bagnetu na broń” Broniewskiego, czy „Alarmu” Słonimskiego. Kiedy na wielkich wiecach w okresie naszego przełomu tłumy słuchały „Wydzie stu robotników”, były przekonane, że to wiersz napisany teraz, bo zapomniały poetę w wykładanym kołnierzyku; aktualny – tak to odbierano – wiersz o tym, który skrzywdził człowieka prostego, był przecież napisany kilkadziesiąt lat przed wybuchem Solidarności. A właśnie: co zostało z wierszy wtedy powstałych? Może tylko ten śpiewany o murach, które runę?

Kiedy już było wolno, runęła lawina wierszy o Marszałku. Było wolno, więc poeci zapłakali nad mogiłami w Katyniu. Potem polaty się łyż na smoleńską brzozę. Wspniany poeta JMR zostanie w pamięci (o wstydział!), jako autor rymowanki o żubrze, którego adresat musi ugryźć w tyłek, a nie autor znakomitych wierszy.

Czytam współczesne wiersze poetów ukraińskich. Mniejsza o to, jak są tłumaczone. Są to wiersze – prawdy. I czytam wiersze o tej wojnie poetów polskich, niektóre dobre. Toną jednak one w wierszach przymiotnikowych: nieludzkie, barbarzyńskie, okrutne, bestialskie itd. Nie wierzę poetom przymiotnikowym.

* * *

Do naszego dworku dobudowano oficynę, w której była wielka kuchnia, a dalej, w szlacheckich czasach, pewnie spiżarnia i zwalisko przedmiotów potrzebnych, a zapomnianych.

Ojciec to wszystko zagospodarował, choć nad tą czynnością sprawował raczej nadzór artystyczny. Po wojnie pensje nauczycielskie były bardzo biedne i ta tradycja przetrwała, choć może w mniejszym stopniu. Trzeba było coś hodować. Były więc kury, kaczki, czasem gęsi. W latach czterdziestych pędzono niekiedy bimber i było to wielkie święto braterstwa całej wsi, nie wspominając już o burzliwych konsultacjach wybitnych fachowców. Raz na jakiś czas odbywało się świniojebie, obrzęd szanowany i cieszący się dużą frekwencją. Była też żywicielka krowa. Z przyczyn, których nie pamiętam, żywicielkę postanowiono sprzedać. Zgłosił się gospodarz z sąsiedniej wsi, a w roli sprzedającej wystąpiła ciotka Danecka. Nie była ciotką rodzoną, a przybraną, ale za to prawdziwą i serdeczną. Przeszła już być wójtem w sąsiedniej Strzelcach i bywała u nas co najmniej raz w tygodniu. Ciotka podbijała cenę, chłop ją zbijał, a mama stała obok nich i błagała, żeby się pogodzili. Była wyraźnie po stronie kupującego. Łańcuch poszedł za darmo.

Wiem, co potem ciotka powiedziała mojej mamie. Mówiła długo, głośno, i używała słów bardzo męskich.

* *

Miałem chyba trzynaście lat, kiedy powiedziałem rodzicom, że nie będę chodził do głogowieckiego kościoła, bo przestałem wierzyć. Ojciec, ateusz, nie odezwał się, mama biadoliła.

Sprawa była śliska. Proboszczem w sąsiedniej, dużej parafii, był wujek Olek, rodzony brat mamy. Bywałem często na jego plebani i oczywiście na niedzielną sumę chodząc. Bo jak to – siostrzeniec księdza

nie uczestniczy w mszy świętej? Wujek o moim odstępstwie od wiary dowiedział się kilka lat później, ale chyba nie przeżył tego boleśnie. Kiedy już zacząłem publikować wiersze, uznał mnie za fachowca i pokazywał mi teksty swoich niedzielnych kazań – a był wspaniałym kaznodzieją. I człowiekiem światowym – gościł na swojej plebanii Jerzego Zawieyskiego, Mieczysławę Cwiklińską, Irenę Eichlerównę i innych, naukowców, pisarzy. A mama? W czasach kutnowskich co niedziela chodziła do kościoła, była wierząca, ale kościoła nie lubiła. Modliła się i uwielbiała Jana XXIII i Ojca Pio.

Telefonicznie rozmawiałem z nią codziennie. Niekiedy jednak uznawała, że rozmowa nie wystarcza. Wtedy pisała – miała piękny charakter pisma. W jednym z listów prosiła, żebym uwierzył w Boga. Nie umiałem spełnić jej prośby. I nawet wytłumaczyć, że to jest niemożliwe.

* * *

W Wielką Sobotę przyjeżdżał bryczką z Głogowca ksiądz proboszcz, święcił potrawy z całej wsi. Najpierw zajeżdżał do nas. Ojciec już ukrył się w jakimś zakamarku, a mama czuwała przy wielkanocnym stole. I w ostatnim momencie spostrzegła, że nie ma na nim naczyńia ze święconą wodą.

Wodę czerpało się ze studni. Stojące w kuchni wiaderka były puste. Ale był jeszcze czajnik. Ksiądz popatrzył i nieznacznie się uśmiechnął: święcona woda parowała.

* * *

Mój wujek zdradził mi kiedyś świętą tajemnicę powieści.

Codziennie klękała przed konfesjonalem pewna starsza pani. Ile można nagrzeszyć przez dobę, kiedy ma się przeszło osiemdziesiąt lat? Grzesznica wyznawała, że oszukała w sklepie na 15 groszy, że brzydkim słowem nazwała sąsiadkę (ale jej się należało), że miała nieskromne myśli dotyczące jej nieboszczyka męża. Spowiednik się nudził. W końcu grzesznica wyznała, że stawia pasjanse. Wujek zainteresował się: a wychodzą?

* * *

Wielu lat temu jakiś krytyk pisząc o moich wierszach zauważył, że w większości z nich pojawia się las. Nie jako opis, pejzaż, czy miejsce akcji. Nie jako system ekologiczny. Las jako symbol czegoś samoistnego i suwerennego, żyjącego własnym życiem, pierwotnego, a jednocześnie mistycznego.

Chyba tak jest. Zapewne o tym nie wiedziałem, że las z dzieciństwa rósł we mnie przez całe życie. Nie wiedziałem, a przecież był i jest dla mnie najważniejszy.

Kiedyś urlopy spędzałem nad morzem albo w górach. Ale już od kilkadziesiątu lat wiem, że prawdziwie odpocząć mogę tylko w lesie. Odkryłem dla siebie jeden z najpiękniejszych zakątków mojego kraju, a być może całego świata – Suwalszczyznę, ziemię położoną w północno – wschodniej części kraju, na granicach z Litwą, Białorusią i Rosją. Wchodzę w Puszcze Augustowską i przez osiem godzin nie słyszę ludzkiego głosu, dźwięku motorów, hałasu cywilizacji. W tej leśnej ciszy doznaję czegoś w rodzaju religijnego przeżycia. Zaczynam rozumieć harmonię i to, że człowiek nie jest samotną wyspą we wszechświecie. Jest częścią natury, a jego życie jest bardziej lub mniej udane w zależności od tego, jaki jest stopień zgody z naturą. Może to być świadome lub nie.

Z tego spostrzeżenia wynika wiele innych. Także to najbardziej przykre: zauważenie jak wiele zrobił człowiek, aby naturę zepsuć (choć chce ją poprawić tak, aby mu lepiej służyła), zszpecić, uczynić ją

czymś, w czym czuje się źle, z czym się nie zgadza. Nie zgadza się z dziełem własnych rąk. Natura protestuje. Ostrzega nas zmianą klimatu, coraz częstszymi i coraz groźniejszymi klęskami żywiołowymi, niespodziewanymi zjawiskami przyrodniczymi, wymieraniem całych gatunków roślin i zwierząt. Broni nas przed nami samymi. Ale człowiek ze swoją techniką jest coraz potężniejszy.

Nasi dalecy przodkowie byli mądrzejsi. Umieli swoje siedziby wtopić w krajobraz, zbudować je tak, że stawały się częściami pejzażu. Pokolenia współczesne stały się zarozumiałe, zadufane: wydaje się nam, że jesteśmy mądrzejsi od przyrody i że powinniśmy ją przekształcać. A trzeba ją tylko ocalać. Ocalać przed nami samymi.

* * *

Kiedyś mówiło się „Zaprawdę powiadam wam”, dziś powszechnie używa się zwrotu „tak naprawdę. (Kiedy to słyszę, wiem, że za chwilę ze złotych ust wypłynię straszne łgarstwo.) Można też wnioskować, że wszystko, co zostało powiedziane wcześniej, albo prawdą nie było, albo tylko odrobinię z prawdą się miało. Poza tym jest to przekład z języka biblijnego na język siermiężny.

Zasadą obowiązującą we współczesnym języku polskim jest zwrot, od którego zaczyna się co druga wypowiedź: „Chciałem powiedzieć”. Logicznie rzecz biorąc oznacza to czas przeszły niedokonany: kiedyś, a może przed chwilą, chciałem, ale nie zrobiłem. Ale robi właśnie tuż po użyciu tego zwrotu. Uroczystym wstępem do występu jest też zwrot „teraz ci powiem” z modyfikacją „ja ci powiem”. Taki początek oznacza, że usłyszycie coś szczególnie doniosłego, a mówca o tym nas uprzedza, bo moglibyśmy dopuścić się do tego, że przez nieuwagę wymknie nam się ważna uwaga. Doniosłe też jest to pierwsze „ja”, bo oznacza, że nikt inny nie mógłby wyartykułować mądrości, co się zaraz objawi. Wiele lat temu w Augustowie z przyjacielem Krzysiem Gąsiorowskim wybrałem się w godzinach popołudniowych do baru piątej kategorii. Przy sąsiednim stoiku siedzieli dwóch dżentelmenów. Oni znacznie wcześniej zaczęli uprawiać czynność, do której my dopiero się zabrałiśmy. Jeden z nich monotonicznie, co parę minut zapowiadał: **ja ci, Heniuś, powiem**. I nie mówił tego, co zapowiadał. Nawet po upływie lat zastanawiam się nad tym, co mógłby powiedzieć kompanion Heniusia, gdyby powiedział. I dochodzę do jednego wniosku: ci, którzy go dziś naśladowają, mogliby też poza zapowiedzią, nic nie mówić.

* * *

Jan Paweł II w napadzie poetyckiej natchnienia wymyślił słowo **ubogacić**, tak, jakby w języku polskim nie było słowa **wzbogacić**. Idąc tym tropem proponuję zastąpienie starego słowa **zubożyć** słowem **ubiednić**.

* * *

Pewien mój niezjący już kolega, pisarz znaczny, dał mi do przeczytania dwie swoje książki, których nie znam. Po paru dniach mimochodem zapytał o wrażenia. Powieści szczerze pochwaliłem, ale zwróciłem uwagę na drobniaczki – że np. nie mówi się „**wrócił z powrotem**”, bo wystarczy powiedzieć „**wrócił**”, i że zwrot „**cofnął się do tyłu**” jest bez sensu, ponieważ nie można cofnąć się do przodu. Obraża trwała kilka tygodni. Obrażony nie pamiętał definicji Mrożka: **Co to jest przodem do przodu? – Postęp. A tyłem do tyłu? – Tango**.

* * *

Język jest żywy, musi nadążać za cywi-

lizacyjnymi rewolucjami, znajdować nazwy dla nowych zjawisk, wynalazków, stosunków między ludźmi, musi się zmieniać. Są to zmiany konieczne. Ale też, jak każde zmiany, bywają te na lepsze i te na gorzej. Fatalne jest to, że do tych gorszych przyzwyczajamy się najszybciej, stajemy się na nie niewrażliwi, akceptujemy je do tego stopnia, że po pewnym czasie filolodzy uznają nowe słowa i zwroty za dopuszczalne. I tak w bujnym ogrodzie języka polskiego wyrastają chwasty i właśnie chwasty zaczynamy pielęgnować. Kiedyś staropolskie słowo „onegdaj” oznaczało „przedwczoraj”, a „ongiś” - dawno temu. A dziś nawet wyborni publicyści uważają, że przedwczoraj znaczy - w pradawnych czasach. I w ogóle używanie słów w ich pierwotnym znaczeniu **trąci myszką** - jeśli ten stary zwrot jest jeszcze zrozumiały dla współczesnego Polaka.

* * *

Jesteśmy narodem, który się nie dziwi, jesteśmy narodem żyjącym **w szoku**. Przyjął nas kardiolog, nie za pół roku, a za miesiąc - **szok**. Nieznajomy uśmiechnął się do nas w autobusie - **szok**. Po miesiącu oczekiwania oddzwoniła do nas trzecia sekretarka dyrektora - **szok**, bo mogła nie oddzwonić. Minister delikatnie zasugerował, że być

może nie sposób wykluczyć ewentualności, iż popełnił błąd - **szok**, bo ministrowie się nie mylą. Zapowiadali pogodę, a pada deszcz - **szok**. W tej sytuacji wcale się nie dziwię, że jestem w permanentnym **szoku**.

* * *

Nasz język dostojnieje, a czyni to przez komplikację. Powiedzieć dziś, że **coś się wydarzyło** jest zwyczajnym prostactwem. Należy mówić **miało miejsce**. Jak pięknie brzmi komunikat, że **miało miejsce wydarzenie!** Jeszcze nie osiągnęliśmy doskonałości, ale już jutro usłyszymy z lubością, że **w tym miejscu miało miejsce zdarzenie**. Kiedyś był **dzień wczorajszy**, a nawet **dzień jutrzejszy**, tak jakby nie mogło być po prostu **wczoraj i jutro**, a obecnie dołożyliśmy do tego **dzień dzisiejszy**, bo nie może przecież być **dziś**, albo **dzisiaj**. Nie wypada też powiedzieć **w tej chwili, w tym momencie**, bo można się wyrazić bardziej elegancko: **na obecną chwilę, w danym momencie**. Tęsknocie do dostojnej komplikacji ulegli nie tylko politycy, ale w ślad za nimi dziennikarze radiowi i telewizyjni, wykładowcy i nauczyciele. Może tylko kościół nie podąża za duchem czasu?

* * *

Stare elity się zużyły. Nieśmiało wraca-

ją do mody tytuły hrabiowskie i książęce, dobrze jest napomykać o szlacheckim pochodzeniu, ale to wszystko nie znaczy tyle, ile **onegdaj i ongiś**. Elit artystycznych i intelektualnych nie ceni się w epoce, w której ozdobą salonów są aktorzy serialowi i gwiazdy disco polo. Przygasa nawet blask książąt kościoła. Natura jednak nie znosi pustki i oto jesteśmy świadkami narodzin nowej elity. Ma wszystko: pieniądze, wpływy, instytucje, władzę. Ma też, ta elita i jej służba, własny język.

W tym języku nie ma słów **ja i mnie**. Zastąpiły ją słowa **moja osoba, moją osobę** itd. Mówi się: **Mojej osobie** zarzucono, **moja osoba** została wymieniona. I wszyscy wiedzą, że mamy do czynienia z przedstawicielem elity, z, że tak powiem, jądrem narodu. Taka osoba oznajmia czasem, że oto zakończyła się jej **misja** na stanowisku ministerialnym, prezesowskim, naczelnym. **Misja** - czyli coś więcej niż praca na jakimś stanowisku. **Misja**, czyli coś, co na **osobę** spłynęło z góry, z mocy sił nadprzyrodzonych, co ja natchnęło i namaściło.

Marzę o czasach, kiedy ktoś w takim przypadku powie: **wybieprzyli mnie z roboty**.

MAREK WAWRZKIEWICZ

Marek Naszczak



Tadeusz Zawadowski

gry w szachy

każdy totalitaryzm prowadzi do wojny. na początku
wygląda niewinnie. jak gra w szachy. najpierw
dzielone są pionki. na białe i czarne. to one
zbijane są pierwsze. później przychodzi kolej
na gońców przynoszących wieści o przegranych
bitwach. król ukryty za podwójną gardą porównuje
straty po obu stronach. nie toleruje
porażek. jutro

podzieli kolejne pionki.

deklinacja

odmieniam życie przez przypadki. to one
je determinują. wystarczyło
wyjść godzinę później do pracy aby natknąć się
na patrol i rozminąć z życiem. na nic
tłumaczenia że żona i pies czekający na spacer.
dzieciom w szkole ciągle nikt nie potrafi wytłumaczyć
jaki przypadek rządzi odmianami

śmierci.

kobieta w oknie

kobieta w oknie. niby
nic nadzwyczajnego gdyby nie
oczy. przerażone. zatrzymane
na nieznanej orbicie jak dwa
białe księżycy. gdyby nie
okno rozbite na stercie

gruzu.

liczby pojedyncze

coraz bardziej przyzwyczajam się do liczb pojedynczych.
samotny w pustym pokoju w którym
brakuje okien i drzwi. żony którą wczoraj
zabito w drodze do pracy. syna z którym
od dwóch tygodni spotykam się
na pobliskim cmentarzu. zostałem sam.
patrzę w miejsce po oknie. widzę tylko samotnego

ptaka.

linie papilarne

pozostaną ślady na murach miast
w których żyli ludzie a dzisiaj włączą się
szczury roznoszące dokoła swąd dżumy
cholery. po latach pozostaną
po nich odciski w pamięci ślady
małych nóżek niczym zapisy

linii papilarnych.

Przemysław Znojek

Wena

Spotkamy się na praskim bruku
 nierównym
 szarawym
 Pod pomnikiem świętego Wacława
 przodem do budynku muzeum
 odwróć się
 popatrz w dół
 czerwony neon BATA przykuje moją uwagę
 Zaczekam jeszcze kwadrans
 zanim się nie pojawiysz
 zawsze na CIEBIE czekam
 O tej samej porze

Hrabal na Bulovce

Gołąb przystanął na parapecie
 ołowiany
 dumny
 patrzy w moją stronę
 widzę go wyraźnie
 zbliżam się powoli
 chwytam białą, drewnianą klamkę
 czuję drażniące powietrze
 przeszywa mnie
 olejna, szpitalna zieleń
 niepokój
 sypę garść starego chleba
 wspomnienia
 każdy okruch
 słyszę dźwięki
 głosy
 wychylam się
 balansuję
 akrobata na Bulovce
 tracę równowagę
 spadnę, a może mnie złapiecie?

Wodnik

Przechodniu
 popatrz w taflę Wełtawy
 odłóż na chwilę telefon
 zostaw niedopite piwo
 nie zważaj na dźwięki ulicy
 wyobraź sobie
 Cisza w Pradze
 spójrz
 tam Wodnik na ciebie spogląda
 zielony
 wyimaginowany
 żyjący gdzieś w głębinach
 w podwodnym, szczęśliwym królestwie
 Poproś go
 a może spełni twoje dwa życzenia

Roman Warszawski

Zmruż oczy. Co widać po dwudziestu latach? Migotania!

MIGOTLIWOŚĆ W CZASACH POSTMODERNY

Pewnego razu poproszono **Jacquesa Derridę**, pierwsza szpadę postmoderny, by na chwilę oderwał się od teorii i filozofii i zechciał poświęcić kilka chwil wizualizacji. Padło pytanie: Jakby wyobrażałby sobie ponowoczesność w formie obrazu? Jaki byłby to obraz?

Filozof najpierw trochę się wzbraniał przed udzieleniem odpowiedzi. Pytanie go zaskoczyło. Po chwili jednak odparł:

– Ponowoczesność widzę oczywiście jako coś niejednorodnego, o płynnym, giętkim szkielecie – jeśli jest to w ogóle szkielet, a nie postszkielet. Postmoderna mieni się też zmiennością, płynnością, przechodzeniem jednego w drugie. Ponowoczesność widziana w ten sposób, bez przerwy wdzięczy się do mnie i pręży. Jest zaskakująca. W każdej chwili inna. Jest z jednej strony młoda, jak Wiosna Boticellego, z drugiej – wiekowa, stara, pierwotna, jak postacie z jaskini Lascaux. Jest fundamentalna. Taka, jakim naprawdę jest świat, choć mówienie o prawdzie, w przypadku postmodernizmu jest nadużyciem. Uwodzi. Migocze. Mruga.

To samo pytanie przy innej okazji zadano **Richardowi Rorty'emu**.

– Jak można sobie wyobrazić postmodernizm? Jaki obraz – jakbym musiał – bym namalował?

Otóż musiałby to być obraz dynamiczny, w ruchu, a więc raczej film. Byłyby w nim zmieniające się plamy jasności i ciemności. Jedne przechodziłyby w drugie, pożerałyby się, pochłaniały i wyłaniały na nowo. Obrazy musiałby być niejednorodne, zmienny, migotliwe.

A oto, co na ten sam temat powiedział **Paul Feyerabend**:

– Postmodernizm jest dla mnie pulsującą kulą. Nie jest to żadne ciało stałe, to wciąż gotująca się masa, która raz mówi „jestem tu”, a po chwili, tam gdzie była przez chwilę znika i wyłania się gdzieś indziej. Odbija w wielu swych załamaniach światło, w innych je pochłania. Niekiedy bije po oczach jasnością białych plam, by po chwili straszyc ciemnością.

Najbardziej elokwentny, pytany o to samo, okazał się **Zygmunt Bauman** – chyba największy kapitan postmoderny.

– Ponowoczesność – jako wizualne wyobrażenie – winna być obrazem świata kwantów i teorii kwantowej. Świata prawdopodobieństwa, nie pewności. Taki obraz jest bardzo ważny, bo pozwala nam dokonać w sobie nowego przewrotu kopernikańskiego. Przyjąc, że świat kwantów nie jest czymś wyjątkowym, lecz stanowi fundament i regułę

jak najbardziej uniwersalną, natomiast świat makroświata, w którym my się obracamy jest tylko przypadkiem szczególnym fizyki mikroświata.

– Ale – padło pytanie – jakie ma to odzwierciedlenie w wizualizacji?

– W rezultacie rzeczywistość zaczynamy postrzegać jako migotliwą masę, która uwodzi nas setkami barw. Do tego stopnia, że zmusza nas do postawy obronnej: musimy zmrużyć oczy.

Zmienność, płynność, migotliwość. Dokładnie jak – nomen omen – w „Migotaniach”. Kosmologiczne konotacje, pojawiające się w wypowiedziach czterech muszkieterów postmoderny, zdają się nieświadomie nawiązywać do tego, co stanowiło punkt wyjścia dla tytułu czasopisma – do poetyckiego tomu **Zbigniewa Joachimiaka** „Migotania, przejaśnienia, czerwone tunele” z roku 2000.

Dziś „Migotania” przez swoją zmienność, urozmaicenie, pewną eklektyczność i wielowarstwowość i... migotliwość, mogą uchodzić za manifest epoki, w której powstały. Jak mówi Zygmunt Bauman – wystarczy „zmrużyć oczy”. Po dwudziestu latach widać to znacznie lepiej niż wcześniej.

ROMAN WARSZEWSKI



Marek Naszczak

NAGRDA MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO DLA MIGOTAŃ

Miło nam poinformować, że 20-lecie istnienia naszej Gazety Literackiej zostało zauważone i docenione w miejscu gdzie tworzymy nasze pismo, tj. w Gdańsku. Władysław Zawistowski, Dyrektor Departamentu Kultury Urzędu Marszałkowskiego, wręczył nam listy gratulacyjne o treści :

Nagrodę specjalną Marszałka Województwa Pomorskiego w dziedzinie kultury, z okazji Jubileuszu 20-lecia istnienia Gazety Literackiej „Migotania” otrzymuje:

**Zbigniew Joachimiak
oraz
Roman Warszawski**

za stworzenie i wieloletnie prowadzenie „Migotań” - wyjątkowej w skali kraju gazety literackiej; z podziękowaniem za niesłabnącą energię we współtworzeniu pomorskiego krajobrazu literackiego

**Mieczysław Struk
Marszałek Województwa Pomorskiego
Gdańsk, czerwiec 2022 roku**





PLAKAT ARTYSTYCZNY

MARREK NA SZCZAK

